



Joanna
Szarańska

*i że ci nie
odpuścze*



SERIA
Z KALINĄ

*i że ci nie
odpuszczę*

Joanna
Szarańska

*i że ci nie
odpuszczę*



*Milence, Grzegorzowi
oraz blogowym przyjaciółkom*

Tak to się zaczęło...

– **A** teraz powtarzaj za mną: ja Kalina biorę ciebie Patryku za męża. No, powtarzaj!

– Ja Kalina... – zaczynam posłusznie, ale nagle zanoszę się głośnym chichotem i aż dostaję od tego czkawki.

Zamążpójście i związane z tym przygotowania to znakomita okazja do spotkania z przyjaciółkami i wspólnego wypicia kilku butelek białego półsłodkiego wina. Niektórzy określają podobne spotkania szumnym mianem „wieczorów panieńskich”, ale w tym wypadku wieczór panieński mamy już za sobą. Było na nim znacznie więcej osób i znacznie mniej wina.

Był za to striptizer w stroju mechanika samochodowego. Wymachiwał przed nami całym zestawem kluczy, a czynił to tak przekonująco, że zwrócił na siebie uwagę Kasi, mojej rudowłosej koleżanki z liceum.

– A ten? Proszę pana, do czego ten się używa? – żywo dopytywała lekko oszołomionego chłopaka.

– Chyba do czego tego? – poprawiła odruchowo Klaudia, równocześnie wpatrując się w pomarańczowy daszek czapeczki pana mechanika i wychylając kolejne martini. Po maturze Klaudia zaliczyła dwa semestry na filologii polskiej, co uznaje za powód do dumy.

– Do czego używa się tego klucza? – poprawiła się szybko Kasia, a zawstydzony pan, który najwyraźniej lepiej czuł się w skórze mechanika niż striptizera, ochoczo zabrał się do objaśniania funkcji poszczególnych elementów znajdujących się w skrzyneczce z narzędziami.

– Nuda! – orzekła, ziewając, Monika, zwana przez nas Prezesową ze względu na spektakularny awans społeczny zdobyty poprzez małżeństwo z właścicielem firmy produkującej rękawice ogrodowe. – Co to za wieczór panieński? Skoro striptizer woli rozprawiać na temat zalanych świec i świateł stopu? Ja wam powiem, że byłam na wakacjach w Egipcie i tam turystyka jest na bardzo wysokim poziomie. Turystyka i seksturystyka też! – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Tam striptizer nie odstawia takiej fuszery! – Wydęła usta w kolorze ostrej fuksji. – Jak mu się płaci za wyskakiwanie z portek, to wyskakuje!

Najwyraźniej przytyk Prezesowej trafił mechanika-striptizera w sedno, bo zerwał się chłop gwałtownie i zatoczył tyłkiem tak szerokie koło, że przytwierdzony do jego pasa śrubokręt uderzył siedzącą najbliżej Jolę w czoło i nabił jej guza wielkości śliwki węgierki.

– Oj! Sorry, sorry, sorry! – pisał roztańczony striptizer, podczas gdy my ratowałyśmy nieco zamroczoną Jolę lodem wydobytym ze szklanki z drinkiem i zawiniętym w kolorową serwetkę. – Wielkie sorry!

– Dobra, dobra! Masz tu stówkę i mykaj! – Klaudia zdecydowała, że pora zakończyć zabawę w warsztat samochodowy. Po chwili striptizera i jego skrzyneczki z narzędziami już nie było. Po dwóch chwilach spostrzegłyśmy, że nie ma także Prezesowej...

Mimo to wieczór panieński zaliczyłyśmy do udanych. Były kolorowe drinki, był striptizer i zabawa w babskim gronie niemal do białego rana. Co prawda Jola uskarża się na lekkie mrowienie w głowie, a Kasia na niedosyt wiedzy z zakresu mechaniki samochodowej, ale to mały szkopał. Nie można mieć

wszystkiego, a ja osobiście wolę mniej tłoczne spotkania, można rzec kameralne. Takie z przyjaciółkami i winem.



Przyjaciółki mam trzy i wszystkie kotłują się razem ze mną przed wielkim lustrem w moim pokoju. Oficjalna wersja mówi, że spotkałyśmy się, by omówić ostatnie szczegóły związane z jutrzejszą ceremonią, ale tak naprawdę chodziło o ukojenie nerwów, które towarzyszą mi przed Wielkim Dniem. W celu ukojenia tychże nerwów jedna z moich przyjaciółek, Iwa, kupiła cztery butelki półsłodkiego wina. W tym samym celu druga – Mirka – przyniosła dwie butelki Dorato zachomikowane od sylwestra. Jola dorzuciła czekoladę z orzechami i chipsy, za co niemal oberwała po głowie. Na swoje usprawiedliwienie wydobyla argument w postaci migreny, jednak niech nie myśli, że tak łatwo się wykpi. Przyjść na oblewanie jutrzejszego ślubu i nie oblewać?

Na tę chwilę nie ma już ani chipsów, ani czekolady, ani szampana, a białe półsłodkie wino zostało tylko jedno, i to tylko dlatego, że żadna z nas nie radzi sobie z korkociągiem... Jesteśmy mocno zamroczone i bardzo szczęśliwe. Ja się uspokoiłam i wyluzowałam. Towarzyszy mi tylko taka maluteńka obawa, że jutro mogę mieć problemy z koncentracją. Ale to nic, prawda? Przecież się nie pomyłę i nie poślubię obcego faceta, co?

Przy drugim winie padła propozycja, by przymierzyć suknię ślubną i sprawdzić, czy na pewno wszystko pasuje. Rozbieram się więc do stanika i majtek, a dziewczyny przynoszą suknię, która od kilku dni wisi na drzwiach szafy, szczelnie owinięta w pokrowiec, i wzbudza mój uśmiech, gdy tylko się budzę i na nią spojrzę.

Nie jestem w stanie sama jej założyć, więc ograniczam się do podniesienia ramion, a jedyna mocno trzymająca się na nogach Jola wchodzi na krzesło i zarzuca na mnie suknię od góry. Mirka sznurkuje gorset tak mocno, że aż oczy wychodzą mi z orbit, a piersi ze stanika. Iwa przynosi z szafy białe satynowe pantofelki i dziwi się, że mam zamiar założyć do ślubu tak wysokie platformy. Co będzie, jeśli w drodze do ołtarza potknę się i przewrócę?

– Będę leżeć – odpowiadam wesoło po chwili namysłu. Połączenie wina, szampana i czekolady sprawia, że niegroźne mi żadne wypadki losowe. Iwa zakłada mi lewy but na prawą stopę. Gdy jestem już gotowa, tłoczmy się przed taflą lustra.

– Wyglądasz cudownie! – wzrusza się Iwa, która spośród nas jest największą romantyczką; płacze na wszystkich ślubach, nawet tych w telewizji...

– Idealnie! – dorzuca Jola.

Mirka milczy, więc patrzę na nią niespokojnie. Co jej się nie podoba?

– To tylko taki głupi włoski przesąd – mruczy pod nosem i macha ręką lekceważąco. – Nie przejmuj się!

– Jaki przesąd? – piszczę przestraszona. – Mam coś niebieskiego i pożyczonego. I nawet stare mam!

– Moja ciotka wyszła za Włocha. I podobno u nich jest tak, że nie można przymierzać sukni ślubnej. To znaczy przymierzać wolno. – Mirka podnosi ze stołu ocalałą butelkę i jednym wprawnym ruchem otwiera wino, po czym kończy: – Ale nie można wyglądać przy tym przymierzaniu idealnie.

Patrzę na Jolę oskarżycielsko, bo to ona powiedziała, że wyglądam idealnie. Jeśli jutro coś się nie

powiedzie, to będzie tylko i wyłącznie wina Joli. Potem wzruszam ramionami i mówię, że w ogóle nie wierzę w przesady.

– I masz całkowitą rację! – Cieszy się Mirka. – Zresztą to włoski przesąd na włoskie wesela. Twoje jest polskie, więc przesąd nie działa, co nie?

Oczywiście, że wcale nie wierzę w przesady. To, że kupiłam niebieską podwiązkę, że mam pożyczony biustonosz i stare kolczyki z perełek babci Leokadii, o niczym nie świadczy! Mimo to na wszelki wypadek burzę sobie ręką włosy. Wyglądam jak czupiradło. Na pewno daleko mi do ideału...



Wszystkie cztery patrzymy w taflę lustra i nagle Iwa pyta, czy wciąż jestem zdenerwowana. Zaprzeczam, ale przyjaciółki mi nie wierzą.

– Jak można nie czuć zdenerwowania przed własnym ślubem? To niemożliwe! – wymądrza się Iwa, która nie ma nawet chłopaka, nie wspominając o perspektywach rychłego zamążpójścia.

Uparcie dopytują, czego się boję. W końcu ulegam i wyznaję, że przysięgi małżeńskiej. I okazuje się, że to dopiero początek. Przy ostatnim winie ćwiczymy słowa, które za kilkanaście godzin mam wypowiedzieć nie dla zabawy, ale na serio i na całe życie. Już na samą myśl o tym czuję przyjemne dreszcze i łaskotanie w dole brzucha.

– A teraz powtarzaj za mną! – Wracamy do punktu wyjścia. Iwa potrząsa moim ramieniem. – Ja Kalina biorę ciebie Patryku za męża. No, powtarzaj!

– Ja Kalina... – zaczynam dziarsko, ale cała ta sytuacja śmieszy mnie i sprawia, że zanoszę się głośnym chichotem, który przechodzi w męczącą czkawkę.

– Nie śmieć się, tylko mów! – Iwa musztruje mnie i znów zaczyna: – Ja Kalina biorę ciebie Patryku za męża!

– Ja Kalina... – zaczynam znów, głośno czkając, ale Iwa przerywa mi gwałtownie.

– Nie, nie, nie! To musi wyglądać inaczej! Na filmach zawsze wygląda to inaczej! Najpierw musimy zapytać, czy nikt nie zna okoliczności stojących na przeszkodzie zawarcia tego małżeństwa. – Gorączkuje się Iwa. Mirka przewraca znacząco oczyma, a ja krztuszę się ze śmiechu.

– Ale przecież u nas wcale się tak nie mówi! – protestuje Jola.

– Co ty tam wiesz! Nic nie wiesz! Wychodziłaś kiedyś za mąż? – Wstawiona Iwa szturcha Jolkę palcem wskazującym, aż ta przestraszona przyznaje, że rzeczywiście za mąż jeszcze nie wychodziła. – I co z tego, że u nas tak się nie mówi? My zrobimy tak, że się powie! Jak na prawdziwym amerykańskim filmie... – Kończy rozmarzona i chrząka. – Zajmijcie miejsca, przechodzimy do ceremonii!

Po chwili wysokim głosem księdza proboszcza Iwa zadaje pytanie mające tak wielki wpływ na losy mojego związku. Jola oświadcza, że małżeństwo nie może zostać zawarte, gdyż narzeczony ma z nią piątkę dzieci i do tego szóste w drodze... Zanosimy się śmiechem. Iwa trzyma się za brzuch i jęczy, Mirka turla się po dywanie, ja sama chciałabym to zrobić, ale przecież mam na sobie suknię ślubną... Tyle jeszcze kojarzę. Niskim głosem mojego narzeczonego Iwa wypiera się związku z Jolą i udziału w produkcji szóstki dzieci, a następnie powracający do głosu ksiądz udziela nam ślubu.

Koniec przedstawienia. Brzuch boli mnie już tak bardzo, że chyba zaraz się posusiam. Mirka wchodzi na krzesło i pomaga mi zdjąć sukienkę. Jola pada na stertę poduszek, zręcznie żonglując pustą szklanką po

soku. W majtkach, biustonoszu i moich pięknych ślubnych platformach biegnę do łazienki, aby zapobiec katastrofie. Tuż przy drzwiach potykam się o dywan i padam jak długa, o mało nie rozbijając sobie nosa o drzwi łazienki. Zdarłam skórę z kolana, które teraz piecze i pulsuje bólem, sama nie wiem, co gorsze. Przyjaciółki biegną na ratunek, ale podnoszę się i macham ręką na znak, że wszystko w porządku. Śmieję się, a łzy ciurkiem spływają mi po policzkach.



Ceremonia rozpoczyna się bez zakłóceń.

Zgodnie z planem, który tak misternie ułożyłam.

Najpierw główną nawą kościoła przechodzi mała dziewczynka w koronkowej sukience i dobranym pod kolor kapelusiku, sypiąc płatki różowych róż. Dziewczynka ma proste blond włosy i przerwę między zębami. Na kolanie lewej nogi kwitnie strup dorównujący rozmiarem temu, który sama noszę pod suknią. Czuję, że mam ochotę wyciskać tę małą.

Następnie z chóru rozlega się piękna i wzruszająca melodia grana na skrzypcach. Natychmiast wyciska mi kilka łez i budzi obawy o makijaż. Zauważam, że Jola też ociera oczy. Najwyraźniej nie tylko na mnie tak mocno działa muzyka!

Po kilku chwilach skrzypce cichną i na ambonę wchodzi nobliwy ksiądz proboszcz. Obejmuje surowym spojrzeniem sylwetkę moją i mojego narzeczonego. Jego ponura mina nie wróży niczego dobrego. Odczuwam nagły niepokój i staram się przywołać szczegóły spowiedzi przedślubnej. Czy jakieś wydarzenie z mojego dwudziestosiedmioletniego życia wywołało u księdza proboszcza oburzenie? Gdzieś w zakamarkach mojej świadomości majaczy wspomnienie pogadanki na temat czystości przedmałżeńskiej i niespokojnie zerkam na siedzącą za moimi plecami matkę. Chyba ksiądz nie zechce tego wyciągnąć i oświecić gości w kwestii mojego życia seksualnego?

W tej samej chwili kapłan wyszczerza do mnie zęby w parodii uśmiechu, zupełnie jakby czytał w moich myślach. Odchrząkuje i rozpoczyna uroczystą przemowę na temat dwóch serc, które się spotkały i podjęły decyzję, by dalej przez życie pójść razem. Tymi dwoma sercami jesteście my – mój ukochany i ja. Spoglądam więc na mojego wybranka rozanielonym wzrokiem, który zasnuła romantyczna mgiełka i sprawdzam, czy jest równie wzruszony jak ja. Okazuje się jednak, że spojrzenie Patryka utkwiło w butach księdza. Za to wzruszona do granic możliwości Jolka chlipie za moimi plecami aż miło!

Podczas mszy świętej moje myśli swobodnie szybują, oscylując pomiędzy menu weselnym, które ma zainaugurować tradycyjny polski rosół z makaronem przybrany łabędziem z ciasta ptysiowego, a nocą poślubną, na którą przygotowałam specjalny czerwony komplecik z kusymi majteczkami i fikuśnym piórkiem. Nagle reflektuję się, że wszyscy wstali i spoglądają na nas wyczekująco. W końcu nadeszła ta chwila!

Ksiądz informuje zebranych w kościele gości, po co się tutaj spotkaliśmy i co teraz nastąpi. Szczerze powiedziawszy, witam tę chwilę z westchnieniem ulgi, gdyż czuję, że mój pęcherz znów chce o sobie przypomnieć. Zaciskam dłonie na plastikowej rączce bukietu ślubnego i zastanawiam się, czy goście poczują się urażeni, jeśli przed przyjęciem życzeń skoczę na chwilę do toalety za zakrystią. W tej samej chwili ksiądz każe nam podać sobie dłonie i powtarzać.

Staję vis-à-vis mojego przyszłego męża i uśmiecham się do niego krzepiąco. Stwierdzam, że Patryk nie

wygląda dobrze. Jego przystojna twarz jest blada, na czole perli się pot. Uśmiecham się półgębkiem do własnych myśli. Albo mojemu narzeczonemu daje się we znaki zdenerwowanie, albo miniony wieczór obszedł się z nim równie niełaskawie, jak ze mną.

Pada regułka, która ma sprawić, że staniemy się mężem i żoną. Czuję motyle w brzuchu. Uskrzydlają mnie do tego stopnia, że zapominam o przepełnionym pęcherzu i pulsującym kolanie. Spoglądam prosto w oczy Patryka, który już nie bada stanu obuwia proboszcza, ale wpatruje się we mnie. Jestem skupiona jak nigdy, pragnę włożyć w to króciutkie słowo całą siłę mojej miłości. Otwieram usta i chcę wypowiedzieć magiczną przysięgę, która sprawi, że będę z ukochanym, dopóki śmierć nas nie rozłączy...

Ale uprzedza mnie Jolka.

Jak przez mgłę widzę, jak podnosi się ze swojego miejsca i zdejmuje okulary. Jest blada i spłakana. Iwa szarpie ją za sukienkę, chcąc usadzić na miejscu. No, czy ta Jolka zgłupiała? Nie wysiedzi kwadrans? Koniecznie musi do toalety, gdy ja składam przysięgę małżeńską?

Ale Jola nie ma zamiaru wychodzić do toalety. Prostuje się dumnie i obwieszcza osłupiałemu księdzu:

– To małżeństwo nie może być zawarte, proszę księdza. Pan młody wkrótce zostanie ojcem. Mojego dziecka.

Przez kościół przebiega fala szeptów, zaskoczeni goście nachylają ku sobie głowy i wymieniają się spostrzeżeniami. Widzę, że moja matka otwiera i zamyka usta, niczym ryba wyrzucona na brzeg. Iwa kręci głową. Mirka ukryła twarz w dłoniach. Jolka patrzy na mnie przeproszająco. Czuję, że za chwilę wybuchnę niepohamowanym śmiechem. No, czy ta Jolka zdurniała do reszty? Zapomniała, że to były głupie żarty? Taka gra? Pijacka zabawa?

Spoglądam na pobladłą twarz mojego narzeczonego i dociera do mnie, że to wcale nie zabawa. W następnej chwili biorę solidny zamach i idealnie zaprojektowany bukiet z białych róż i frezji ląduje u stóp proboszcza. Wychodzę z kościoła, nie patrząc na osłupiałych gości.

Rozdział 1

Niemrawo przeskakuję pilotem po kanałach, usiłując uciec przed reklamami, programami informacyjnymi i ckliwymi romansami. Reklam nie lubię, złych wiadomości otrzymałam już dosyć, a romanse? Miłości mam po dziurki w nosie. Mogę śmiało powiedzieć, że odbiła mi się czkawka. Jak tort weselny, który jedliśmy niemal przez dwa tygodnie.

„Zjeść trzeba – syknęła do mnie matka, gdy się obruszyłam, że nie tknę. – Przecież się nie zmarnuje. A swoją drogą, po cholere ci był trzypiętrowy tort, co?”

Odpowiedziałam wzruszeniem ramion. Skąd mogłam wiedzieć, że mój przyszły mąż to lowelas i pies na baby? Przecież gdybym cokolwiek podejrzewała, zamiast siedmiu kilo biszkopta przełożonego kremem śmietankowym zamówiłabym wuzetkę w cukierni na rogu! I rzuciłabym nią niewiernemu prosto w twarz!

Nie zostałabym zmuszona przez wojowniczą rodzicielkę do zjedania resztek i w rezultacie nie przybrałabym pięciu centymetrów w biodrach. Kopnęłabym Casanovę w cztery litery i to bynajmniej nie te, które służą do siedzenia. Tym samym nie stałabym się pośmiewiskiem całego kościoła z osłupiałym księdzem proboszczem na czele.

Wychodzi na to, że brak spostrzegawczości wcale mi się nie opłacał. Trzeba było mieć oczy dookoła głowy!



Zatrzymuję się na programie przyrodniczym i zasłuchuję się w hipnotyzujący głos Krystyny Czubówny, która przedstawia właśnie zwyczaje lęgowe wilków.

– Wilki łączą się w pary na całe życie... – słyszę i przewracam oczami.

– Chyba sama pani w to nie wierzy. – Wzdycham. – Żaden samiec nie łączy się w parę na całe życie. Chyba, że z innym samcem.

Wyciszam dźwięk i wyciągam się wygodnie na wąskim tapczaniku. Mam zamiar uciąć sobie króciutką drzemkę. Moje plany niweczy jednak matka, która bezceremonialnie gramoli się do pokoju, wlokąc za sobą odkurzacz. Jej mina wskazuje, że lepiej będzie, jeśli szybko wstanę, wygładzę smutne zmarszczki mimiczne naokoło ust i znajdę sobie jakieś zajęcie.

Niestety, nagle poruszenie nie zwodzi czujnej matrony. Podpiera się wojowniczo pod boki, gromi mnie wzrokiem. Mam wrażenie, że jeden z piorunów trafił mnie w pośladki.

– Kiedy masz zamiar wziąć się w garść? – pyta.

Udaję, że nie wiem, o co chodzi. Przybieram skruszoną, a równocześnie zdziwioną minę. Następnie udaję, że układanie czasopism leżących na parapecie okna jest zajęciem wyjątkowo pilnym i wymagającym niesamowitego skupienia. A ponieważ większość z nich to prasa dotycząca przygotowań

ślubnych, moje oczy szybko wilgotnieją, a ja zaczynam niepokojąco pociągać nosem. Za moimi plecami matka przekłada z ręki do ręki rurę odkurzacza i najwyraźniej nie wie, co powiedzieć. W końcu trafia na odpowiednią mądrość życiową i postanawia się nią ze mną natychmiast podzielić.

– Nie ty pierwsza, nie ostatnia. Lepiej, że szydło wyszło z worka przed ślubem, a nie po. Co prawda zaliczki przepadły, ale i tak taniej wyszło, niż jakbyś miała się rozwodzić. No i ślub kościelny możesz wziąć – gada jak nakręcona. – Z kimś innym, oczywiście – dodaje po chwili.

Trudno się z nią nie zgodzić. Dobrze, że sprawa się sypnęła, zanim swoim rozmarzonym głosem wypowiedziałam sakramentalne „tak”. Chyba muszę Jolce kwiaty w podziękowaniu wysłać, że ze swoim wyznaniem nie zwlekała do ostatniej chwili. A może lepiej paczkę pampersów?

Mimo to posyłam matce groźne spojrzenie.

– Mamo, co ty pleciesz!?

– Co mamo? Co mamo? – Rodzicielka odzyskała już rezon, a widząc, że z moich oczu nie tryskają strumienie łez, postanowiła wyłączyć taryfę ulgową. – Snujesz się po domu jak zombie. Aż przykro na ciebie patrzeć. Rozumiem, że pracę zaczynasz dopiero od września, ale jest czerwiec, a ty nie wychodzisz z domu! Nie widzisz ludzi, nie spotykasz się z przyjaciółkami! Albo weźmiesz się za siebie, albo zadzwonię do pani Jasi i załatwię ci łóżko na oddziale w Kobierzynie!

– To co ja mam robić? – pytam z nieszczęśliwą miną.

– Po prostu żyj – Ramiona odziane w podomkę w kropki wykonują gest wzruszenia. – Na początek mogłabyś się ubrać i pójść po ziemniaki do warzywniaka. Muszę tu odkurzyć. W całym domu panuje niewyobrażalny bałagan, ale oczywiście wszystko jest na mojej głowie – gdera matrona, potrząsając rurą od odkurzacza.

Pospiesznie wciągam świeżą koszulkę i džinsy. Matka odprowadza mnie dziwnym spojrzeniem, ale staram się nie zwracać na nią uwagi. Wychodzę z mieszkania, zgarniając po drodze zieloną torbę „ekologiczną” i niemrawo sunę w stronę pobliskiego sklepiku. Chcę uwinąć się jak najszybciej i wrócić w zacisze swojego pokoju. Mam nadzieję, że gdy wrócę, mama skończy już porządki i będę mogła zafundować sobie drzemkę.



Powoli zbliżam się do pawilonu z blachy falistej, który pełni na naszym osiedlu funkcję najlepszego zieleniaka. Matka twierdzi, że sprzedawane tutaj wiktuały są dorodniejsze i świeższe niż w innych tego typu sklepach. I supermarketach, dorzuca zawsze, łypiąc na mnie groźnie okiem. Bo moja mama to tradycjonalistka pełną gębą. Owoce kupuje w zieleniaku, chleb w piekarni, a jaja u baby ze wsi. Baba nie ma wszystkich zębów i zawsze nosi tę samą spódnicę, ale mamie to nie przeszkadza. Jaja z kolei nie mają żadnych pieczętek, za to czasem trafi się piórko przyklejone do skorupki kawałkiem gówienka. Ilekroć mama odkryje na jajku takie piórko, przychodzi z nim do dużego pokoju i triumfalnie macha przed oczami domowników, wołając entuzjastycznie:

– To się nazywa jajo prosto od kury!

– Po prostu jest okichane! – Oburzył się kiedyś ojciec. Od tamtej pory nie jada jajecznicy ani jajek w żadnej innej postaci. Twierdzi, że to z powodów zdrowotnych, jednak matka wie swoje. I nie może ojcu wybaczyć, bo on nie rozumie, że jajko musi kurze wychodzić z tyłka i basta!

Tymczasem zbliżam się do zielonego kiosku. Swoją drogą dlaczego większość zieleniaków jest pomalowana na zielono? Czy nie można by ich malować na czerwono, w barwie dojrzałych pomidorów? Lub wybrać kolor żółty jak fasolka szparagowa? Bardziej by się w oczy rzucał taki zieleniak i prezentowałby się bardziej optymistycznie. Zielony to co prawda kolor nadziei, ale chyba jednak nie ten zgniły odcień, który sugeruje, że w sklepiku znajdziemy nadgnięte warzywa?

Rozglądam się na boki w nadziei, że nie spotkam żadnej sąsiadki, która zaczęłaby odprawiać gorzkie żale nad moją smutną dolą narzeczonej porzuconej przed ołtarzem. Nie wstydę się, broń Boże! Nie przemykam kanałami, aby nie spotkać znajomych i nie narażać się na pełne współczucia spojrzenia i słowa: „Jak on mógł?”. Nie wiem, jak mógł. Ale najwyraźniej mógł i to nie raz, bo podobno wcale nie tak łatwo zająć w ciążę. Czytałam o tym, to wiem.

Najdziwniejsze jest to, że wszyscy, z którymi do tej pory rozmawiałam, zachowują się, jakby to Patryk rzucił mnie przed ołtarzem i poszedł sobie w diabły. A przecież to ja wzięłam zamach tym nieszczęsnym bukietem, który projektowałam ponad tydzień w specjalnym programie graficznym. To ja zafajdałam księdzu buty zmiażdżonymi główkami frezji i wybiegłam z kościoła, tupiąc nogami ze złości i starając się przypomnieć sobie wszystkie wulgaryzmy zasłyszane od czasów piaskownicy. I to ja przywaliłam narzeczonemu w nos, rozkwaszając go kamykiem z pierścionka zaręczynowego, gdy wybiegł za mną z głośnym „Ja ci to wszystko wytłumaczę!”.

Dlaczego więc wszyscy zachowują się tak, jakby przyszyły mąż zwiął mi sprzed nosa? Owszem, przyprawił mi rogi jak stąd do Poznania, ale w ostateczności to ja pogoniłam mu kota. I zmusiłam, żeby z własnej kieszeni zapłacił kamerzyście, organiście i skrzypkowi. Nie zwróciłam także pięknego pierścionka z białego złota. Był robiony specjalnie na zamówienie, z kamykiem pod kolor lazurowych oczu, jak twierdził Patryk. Muszę mu przypomnieć, że ma umówioną wizytę u okulisty w przyszłym miesiącu. Bo oczy to ja mam szare jak fale Bałtyku. Do lazuru im daleko, tak jak polskiej plaży do Lazurowego Wybrzeża!



Tymczasem wchodzę już w zacienione wnętrze warzywniaka i pochylam się nad plastikowymi skrzynkami, w których ułożono dary natury. „Tylko polskie” – zauważam slogan reklamowy wypisany koślawymi literkami na kawałku tekturki przytwierdzonym do półki za pomocą cienkiego drucika. Kiwam głową i wybieram kiść dorodnych bananów. Jak polskie, to trzeba korzystać.

Pospiesznie pakuję do ekologicznej torby resztę zakupów. Dwa kilo ziemniaków, pęczek koperku, pęczek rzodkiewki, kilogram czereśni. W ostatniej chwili decyduję się także na fasolkę szparagową i nachylam się nad koszykiem, by wybrać ładne, żółte strączki. Równocześnie wracam myślami do bilansu zysków i strat niedoszłego wesela.

To prawda, że zyskałam piękny pierścionek z szafirem i satysfakcję z pobicia wiarołomnego narzeczonego. I, jak mówi Iwa, nie wpakowałam się w związek bez przyszłości, który polegałby na gotowaniu kapuśniaku, praniu przepoconych skarpet i czekaniu na niewiernego małżonka, który szwenda się nie wiadomo z kim. Finansowo wiele nie straciłam, to fakt. Jak mówi moja matka, parę zaliczek poszło się... Ale rozwód kosztowałby mnie więcej. Jestem piękna, młoda i wolna. No, na pewno wolna...

Bilans przedstawiałby się całkiem całkiem, gdyby nie jeden mały szczegół. Straciłam coś cenniejszego

od zwykownego wesela na sto dwadzieścia osób, sukni wysadzonej kryształkami Svarowskiego i trzypiętrowego tortu śmietankowego. Straciłam przyjaciółkę i wiarę w uczciwość drugiego człowieka.

Na myśl o Jolce dostaję białej gorączki. Ładuję fasolkę do worka z taką pasją, że aż zgniatam strączki. Upycham na siłę, ugniatam. Kiedy przychodzi opamiętanie, widzę już dno skrzynki, a stojąca za ladą kobieta zaciera ręce z zadowolenia. Dopiero teraz zauważam przytwierdzoną do koszyka cenę: osiemnaście złotych za kilo! Klnę po cichu, ale robię dobrą minę do złej gry. Mam tylko nadzieję, że nie zabraknie mi pieniędzy...



Oczywiście zabrakło.

Kiedy waga pokazała, że w moim worku znajduje się trzy i pół kilo fasolki szparagowej, zakręciło mi się w głowie. Po podsumowaniu wszystkich zakupów ekspedientka zażądała sześćdziesięciu siedmiu złotych. Przez chwilę zastygłam w bezruchu z otwartymi ustami, jakbym nie rozumiała po polsku. Stojący za mną w kolejce klient chrząknął znacząco. Musiałam działać.

– Czy mogę zapłacić kartą? – dukam.

Ekspedientka patrzy na mnie z politowaniem.

– Z choinki się urwałaś, Kalinko?

– Hm, no tak – Czerwienię się po cebulki włosów. – Wygląda na to, że mam za mało pieniędzy. Miałam więcej. To znaczy, wydawało mi się, że mam więcej. W portfelu. Ale nie mam. Więc może z czegoś zrezygnuję. – Płacę się coraz bardziej. – Nie z fasolki – zastrzegam, widząc podejrzliwą minę ekspedientki. – Fasolka jest mi pilnie potrzebna. Całe trzy i pół kilo. Zostawię... banany. Choć z pewnością są pyszne. I polskie.

Teraz dla odmiany szeroko otwarte usta ma ekspedientka. Czuję, że pogrążam się coraz mocniej, więc ostatecznie piszczę jak mysz przydybana przez kota.

– Mogę donieść brakującą kwotę po południu? Po obiedzie skoczę do bankomatu.

Sprzedawczyni powoli kiwa głową. Myślę, że pierwszy raz w życiu widzi takie indywiduum. Z pewnością sądzi, że niedoszły ślub rzutuje na moją psychikę. Przechodzę załamanie nerwowe i lada dzień zacznę spacerować w ślubnej kreacji po osiedlowych alejkach. Z welonem okrywającym zapłakane oblicze, załamując dłonie i zawodząc jękliwie...

Stop! Boże, o czym ja myślę? Czy to naprawdę początek obłędu?

– Możesz przynieść mi zapłatę po południu – Ekspedientka wymawia słowa powoli, mierząc mnie podejrzliwym spojrzeniem. Oddycham z ulgą i już mam chwycić siatki i ewakuować się z tego miejsca bolesnego upokorzenia, kiedy czyjś głos zatrzymuje mnie w pół kroku.

– Nie trzeba. Ja zapłacę – słyszę.

Odwracam głowę, jednocześnie odprawiając modły, by okazało się, że nie mam racji. Że mój słuch mnie zwodzi i płata mi nieznośnego figła. Najwyraźniej wykorzystałam jednak dzienny limit szczęścia. Bo w uchylonych drzwiach warzywniaka stoi Jolka, wyciągając w moją stronę sto złotych...



Do mieszkania wracam rozdrażniona. O nie, to zbyt delikatne określenie. Jestem wściekła! Jak ta Jolka śmie! Po numerze, który wycięła mi do spółki z niewydarzonym Casanovą, zjawia się na moim osiedlu, robi zakupy w naszym rodzinnym warzywniaku i jeszcze oferuje mi pożyczkę?

A do tego wygląda kwitnąco, bezczelna!

Zniknęła nienaturalna bladość policzków, pod bluzką zarysował się ładny (i dość duży!) brzusek, a do tego urosły jej piersi! I to ma być sprawiedliwość? Powinna pomykać w worku pokutnym, a nie szczyrzyć do mnie zębiska w pełnym nadziei uśmiechu! I jeszcze ta propozycja, że zapłaci za moje zakupy! Jesteśmy przecież przyjaciółkami. Tak jakby sąsiedzi nie wiedzieli, że wraz z niewiernym Patrykiem przyprawiła mi rogi!

Co było robić? Widząc niezdrowe zainteresowanie ekspedientki i zgromadzonych w kolejce ludzi, przyjęłam Jolczyną stówkę i zapłaciłam za zakupy. Czułam, że moje uszy przybierają kolor wozu strażackiego. Już nigdy nie pójdę do tego sklepu! Mogą sobie sprzedawać polskie banany, niemieckie rzodkiewki i kukurydzę z Ekwadoru! Moja noga tam więcej nie postanie!

Zapłaciłam i niemal wybiegłam na ulicę, musiałam jednak zaczekać na ofiarodawczynię i rozliczyć się z nią do końca. I bynajmniej nie chodziło o pieniądze! Powitałam więc Jolkę wściekłym spojrzeniem i zdecydowanym ruchem palca wskazującego.

– Wiem, że na ciężarną nie wolno krzyczeć, więc zapytam spokojnie! Czego chcesz, flądro?

– Chciałam ci pomóc.

– Już mi pomogłeś, czego dowód widać gołym okiem. Czego za mną łazisz?

– Zauważyłam cię w sklepie...

– Więc ruszaj w swoją stronę.

– Ale ja szłam właśnie do ciebie!

Ręce mi opadły. Czy ona zwariowała? Pcha głowę do paszczy lwa? Przecież to oczywiste, że gdyby stanęła w progu mojego mieszkania, powitałabym ją nożem, którego moja matka używa do porcjowania mięsa! Wyrwałabym jej te doczepione kudły, co to udają, że są jej własne, zawlekłabym ją do wanny i poćwiartowała na kawałki. Zamrażarkę mamy pakowną i z pewnością taka Jolka zmieściłaby się bez problemu. Z kudłami czy bez.

Był tylko jeden problem. Jolka, owszem, jest flądram. Ale flądram ciężarną. Nie mogłabym zrobić jej krzywdy. Poczekam do porodu. W międzyczasie się zastanowię, co ją bardziej zaboli: utrata doczepionych kłaków czy wybielonych zębów.

Tymczasem musiałam się jej pozbyć. I to jak najszybciej. Bo biała gorączka już podchodziła mi do oczu.

– Posłuchaj – wycedziłam więc spokojnie. – Nie mamy o czym rozmawiać. Zafundowałaś sobie ciążę z moim przyszłym mężem. Zdradziłaś mnie bardziej niż on sam. Do tego bezczelnie zeżarłaś czekoladę na moim wieczorze panieńskim!

– To z nerwów! – broniła się Jolka. – Poza tym sama ją przyniosłam... I wcale nie na panieńskim, tylko przedślubnym...

– Guzik mnie to obchodzi! Nie mamy o czym rozmawiać, nie przychodź tutaj, nie plątaj mi się pod nogami i nie płac za moje zakupy, jakbyśmy nadal były *best friends*, dobra? Kasę przeleję ci na konto zaraz po powrocie do domu. Pa pa!

Pomachałam jej ręką i uciekłam w stronę bloku. Staralam się iść dostojnym, spokojnym krokiem, ale

coś mi się wydaje, że z tyłu to trochę inaczej wyglądało. Trzęsłam się jak galareta. Z ulgą schroniłam się za drzwiami klatki schodowej, a następnie mieszkania.

– Czy to nie Jolka? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos matki, która zawzięcie szorowała framugę kuchennego okna.

– Tak, to ona – mruknęłam, kładąc torbę z zakupami na blacie.

– Bezczelna! – zawyrokowała matka. Nagle jej wzrok spoczął na przyniesionych przeze mnie sprawunkach.

– Czyś ty oszalała? Po co ci tyle fasolki szparagowej?



– Wcale nie oszalałam – bronię się z urażoną miną. – Sama mówiłaś, że mam się wziąć za siebie i znaleźć jakieś zajęcie. To znalazłam. Będę robić przetwory.

– Z fasolki?

– No, z fasolki, fasolki. Co się tak dziwisz? Widziałaś kiedyś ogórki konserwowe? – Matka kiwa głową cokolwiek podejrzliwie. – A ja zrobię fasolkę konserwową!

– To tak można?

– Pewnie, że można. Widziałam przepis w Internecie.

Matka nie może wyjść z podziwu nad moją gospodarnością. Ja też. Mam tylko nadzieję, że w calutkim Internecie znajdę choć jeden przepis na konserwową fasolkę szparagową. Inaczej matka mnie zamorduje. Tymczasem biegnę do swojego pokoju, by zrobić przelew i zwrócić pieniądze na konto wiarołomnej przyjaciółki. Dług u tej flądry pali mnie żywym ogniem. I odbiera apetyt, i... Nagle mój wzrok pada na druczek awizo wypisany na moje nazwisko, oparty niedbale o ekran komputera.

– Mamo, co to jest? – wrzeszczę w głąb mieszkania.

– Nie wrzeszcz, przecież słyszę – wrzeszczy matka. Podchodzi do drzwi, wycierając dłonie w kraciastą ścierkę. Na widok awizo podnosi jedną wyskubaną brew. – No, awizo przecież. Nie widzisz? Było w skrzynce. Ojciec przyniósł, jak szedł po gazetę.

– Ale co za awizo? – zastanawiam się. Nie spodziewam się żadnej przesyłki.

– A skąd mam wiedzieć, jakie awizo? Awizo to awizo, tak? Pójdiesz na pocztę, to się dowiesz! – matka robi obrażoną minę i usuwa się z pokoju.

Świdruję niewielki druczek spojrzeniem, jakby miał mi wyznać, co kryje. Nagle pojawia się olśnienie. To z pewnością spóźniony prezent ślubny! Ktoś nadał paczkę, która błędziła tak długo, aż dotarła po fakcie. To znaczy faktu, czyli wesela, nie było, ale i tak muszę pójść na pocztę i przesyłkę odebrać. A także oczywiście otworzyć, obejrzeć i zdecydować. Czy odesłać, czy przyjąć ofiarowany przedmiot w poczet mojego dodatniego bilansu bezweselnego.

Czuję narastające podniecenie. Uwielbiam dostawać prezenty! Szczerze mówiąc, gdy planowałam wesele, aż przebierałam nogami z radości na myśl o tych wszystkich starannie zapakowanych pudełkach, które przyjdzie mi otwierać. Potrafiłam nawet wyobrazić sobie tę chwilę: Patryka siedzącego w fotelu i popijającego wino z wysokiego kieliszka i mnie na dywanie u jego stóp, w długiej plisowanej koszuli nocnej... Naokoło mnie dziesiątki kartonowych pudełek, pastelowych bibulek i czerwonych wstążek. Biorę do ręki każdy przedmiot i unoszę w górę, by zademonstrować ukochanemu mężowi. I tłumaczę:

„Zobacz, tym mikserem będziemy ubijać jajka na omlet z grzybami!”.

Oczywiście to tylko mrzonki. Goście, którzy opuszczali kościół po tym, jak Jola obwieściła wszem i wobec, że urodzi dziecko mojego narzeczonego, zabrali prezenty ze sobą. Niektórzy zostawili wiązanki, moja matka zebrała je potem w schludny stosik i położyła przed ołtarzem, gdzie wciąż stał nieco zamroczony proboszcz. Nie było wesela, więc i prezentów zabrakło, normalna kolej rzeczy! Ale teraz w dłoni trzymałam blankiecik, który mógł sprawić, że w moje posiadanie trafi choć jeden ślubny podarek! Ciekawe, co to będzie? Chyba coś ciężkiego, skoro listonosz nie przyniósł osobiście! Chyba nie zegar z kukułką?

Zapominam o cicho szemrzącym komputerze i długu u Jolki. Sprawdzam, czy w przegródce portfela tkwi dowód osobisty, po czym wyruszam na pocztę. Mam nadzieję, że chociaż tam nie spotkam Joli!



Na poczcie kolejka jak po papier toaletowy za komuny. Nie żebym pamiętała, jak wyglądały kolejki po papier za komuny, ale matka porównuje do nich wszystkie kolejki. I te na trzy osoby u fryzjera i te z trzema pętelkami, gdy przywożą swojską kiełbasę do sklepiku za rogiem. Poza tym chodzenie za papierem odbiło się dosyć silnie na psychice mojej biednej matki. Do tej pory z dzikim błyskiem w oku rzuca się na promocje w rodzaju osiem rolek plus dwie gratis. A jeśli papier jest zapachowy? Gryzie i drapie, choć nikt jej nie broni kupić, ile chce.

Tak czy siak kolejka na poczcie jest potężna, więc opadam na krzeselko pod ścianą i obserwuję podchodzących do okienka ludzi. To z pewnością lepsza rozrywka niż oglądanie własnych paznokci czy dłubanie w zębach, a to właśnie robi siedzący obok mnie nastolatek. Staram się nie spoglądać na niego zbyt często, ale jestem pełna podziwu. Wykonał już przegląd dentystyczny górnej szczęki, a teraz skubie dziurę w nogawce...

Tymczasem przy okienku rozpętała się mała awantura, więc przenoszę swoją uwagę z nastoletniego stomatologa na siwego pana w czapeczce z daszkiem.

- Tłumaczę pani, że mam awizo – denerwuje się staruszek.
- A ja panu tłumaczę, że nie ma przesyłki o tym numerze.
- Przecież nie mogła zaginać!
- Jak nie mogła, skoro zaginęła? – pyta wytapirowana pani w okienku.
- To przechodzi wszelkie pojęcie! – Staruszek wali pięścią w ladę. – Co wy tutaj, za przeproszeniem, robicie?
- Pracujemy proszę pana, pracujemy!
- Zdaje mi się, że kiepsko pracujecie, skoro moja przesyłka zaginęła, droga pani!
- No, przecież nie mogła zaginać! – denerwuje się pracownica poczty.
- No, ale jak nie mogła, skoro zaginęła? – Staruszek ponownie uderza dłonią w ladę, aż podskakują długopisy przymocowane na sprężynkach.
- Proszę pana, na pewno nie zaginęła. Może jej nigdy nie było?
- Ale przecież ja mam awizo! – I gadka rozpoczyna się od nowa.

W końcu przychodzi moja kolej i powoli zbliżam się do okienka. Nieco się denerwuję, bo a nuż moja przesyłka także zaginęła i obejdę się smakiem? Wytapirowana w okienku spogląda na mnie cokolwiek

podejrzliwie. Chyba nie myśli, że w kieszeni trzymam broń i chcę jej użyć, aby przeprowadzić napad na urząd pocztowy? Drżącą dłonią wyciągam z kieszeni zmięte awizo i lękliwie podaję w jej stronę.

– Dowód tożsamości, proszę! – ryczy na wydechu.

– Proszę! – Podsuwam jej wydobyty z portmonetki kawałek plastiku. Urzędniczka dokładnie sprawdza moje dane, potem zerka na mnie spod grzywy tapiiru, w końcu oddaje mi dokument i podsuwa kwitek do podpisu.

– Proszę pokwitować odbiór listu poleconego. Data i czytelny podpis, imię i nazwisko – instruuje mnie, ale ja wpatruję się w nią z rozchylonymi ustami i nie mam zamiaru podpisywać odbioru żadnego listu. Ja tutaj przyszedłam po paczkę!

– Chyba się pani pomyliła – oświadczam więc zdecydowanym tonem, na co wytapirowana otwiera szeroko oczy.

– Proszę?!

– Bo ja nie czekam na list, ale na paczkę. Z prezentem ślubnym – tłumaczę cierpliwie.

– Nie mam żadnej paczki dla pani. Mam list.

– A może... się gdzieś zapodziała?

– Co mi tu pani insynuuje? – Twarz za szybko przybiera kolor pomidorka koktajlowego. – Nam się tu nic nie zapodziewa!

– A list tamtego pana się zapodział! – wołam triumfalnie, a potem dodaję ciszej, proszącym tonem. – Niechże pani sprawdzi, czy nie ma dla mnie paczki! Ja nie chcę listu!

– Nie mam dla pani paczki! – ryczy urzędniczka. Czuję, że zaraz się rozpłaczę. Tak bardzo cieszyłam się na niespodziewany prezent ślubny, który mogłabym obejrzeć i może nawet zatrzymać. Czy tak trudno to zrozumieć?

W końcu poddaję się i chwytam długopis, aby pokwitować odbiór listu poleconego. Tapirowana wygląda na uszczęśliwioną, ja wprost przeciwnie. Chowam do torebki kopertę i niemal wybiegam z poczty. W drzwiach zaczepia mnie staruszek w czapce i chwytam mnie za łokieć.

– Niech się pani nie przejmuj. Oni tu wszystkie paczki gubią. W tym tygodniu już trzy razy byłem i trzy razy mi powiedzieli, że nie ma takiego numeru. Da pani wiarę?

Zerkam przelotnie na druczek w wykręconej artretyzmem dłoni, a potem na mówiącego. Nie wiem, co odpowiedzieć, bo widzę, że trzyma awizo z 1995 roku!



Wracam do domu nieco osowiała. Szybko jednak porzucam myśli o niechcianym liście. Kuchnia przypomina pole bitwy, z tym że zamiast armat i karabinów wszędzie walają się słoiki i zakrętki. A matka niczym srogi generał dyryguje pracą, równocześnie wyparzając kolejną porcję szkła. Zrezygnowany ojciec siedzi przy kuchennym stole i przebiera fasolkę.

– Co się tutaj dzieje? – Udaje mi się wykrztusić.

– Jak to, co się dzieje? Gdzieś ty była tyle czasu? Przecież robimy fasolkę konserwową!

– Jaką fasolkę?

– Konserwową. Przecież sama mówiłaś, że znalazłaś przepis na fasolkę konserwową. W Internecie. Przebieraj się szybciotko, myj ręce i do roboty. Pracy mamy huk! Bardzo jestem ciekawa tego przepisu!

Zresztą ciocia Irenka i babcia Leosia także. No, pospiesz się, co tak stoisz? – papla moja rodzicielka, szorując kolejne słoiki w wodzie z ludwikiem.

Biegnę do swojego pokoju i rzucam się w kierunku komputera. Pięknie się wmanewrowałam z tą nieszczęsną fasolką! Nie dość, że spędzę całe popołudnie w parnej kuchni, wyparzając słoiki i obgotowując weki, to jeszcze nie wiadomo, czy w ogóle istnieje coś takiego jak fasolka konserwowa! A jak się okaże, że czegoś takiego nie ma, to co zrobię? Będę improwizować, trudno. Inaczej mama gotowa mnie zamordować. Szczególnie, że nie wytrzymała, musiała zadzwonić do babci i pochwalić się, jakie to nowoczesne przetwory będziemy robić w tym roku!

W tym całym zamieszaniu zapominam o liście wsuniętym do torebki. Przetrzęsam sieć w poszukiwaniu odpowiedniego przepisu, z nerwów obgryzając paznokcie, bo nijak nie mogę znaleźć. W końcu odkrywam fasolkę konserwowaną. To chyba to samo co konserwowa, a jak nie, to trudno! Nie ma czasu na wybrzydanie. Matka kolejny raz każe mi ruszyć cztery litery. Biorę taką fasolkę, jaka jest!

Pospiesznie zapisuję recepturę na kartce z notesu i biegnę do kuchni. Podtykam przepis pod nos rodzicielki, by sprawdziła, czy wszystko co potrzebne znajdziemy w kuchennych szafkach. Na myśl, że musiałabym biec po brakujące składniki do osiedlowego warzywniaka, dostaję dreszczy. Miałabym się tam pokazać po pełnej upokorzenia chwili, gdy Jolka zaproponowała mi pożyczkę? Już tam nigdy przenigdy nie pójdę. Nigdy!

W tym momencie przypominam sobie o niezwróconym długu i kolejny raz znikam w swoim pokoju. Oczywiście matka nie pozostawia tego bez komentarza i słyszę, jak pomstuje, że nakupiłam fasolki, wymyśliłam sobie przetwory, a teraz się migam od roboty! I ona biedna znów wszystko musi zrobić sama, znów wszystko na jej głowie! Czy to stała reguła wszystkich matek, czy tylko moja się zacięła? Czy nie rozumie, że dług u Jolki wymaga podjęcia natychmiastowych kroków, czyli przelewu? Komu jak komu, ale tej flądrze nie chcę być niczego winna!

Pospiesznie wpłacam na konto ekspryjaciółki sto złotych. Po namyśle dorzucam jeszcze pięć złotych w ramach odsetek. Nie będzie się flądra szczycić, że okazała mi łaskę, o nie!

Rozdział 2

– *No* i co w końcu było w tym liście? – dopytuje Iwa, oblizując łyżeczkę. Siedzimy w kawiarnianym ogródku przy rynku i usiłujemy nie roztopić się w trzydziestostopniowym upale. Zajadamy się lodami i pijemy mrożoną kawę z czekoladowymi wiórkami. Jedyna różnica polega na tym, że tym razem przy naszym stałym, czteroosobowym stoliku zasiadłyśmy we trójkę. Dziewczyny chciały do kompletu zaprosić Prezesową, ale ta grzeje pupę w Egipcie. Jakby w Polsce czerwiec był chłodniejszy...

Szczerze mówiąc, czerwiec jest tak upalny, że nie miałam najmniejszego zamiaru opuszczać swojego przytulnego pokoiku. Przytaszczyłam z biblioteki całą torbę książek, kupiłam sobie litr lodów i wstawiłam do zamrażarki dwulitrową colę. Chciałam wyłożyć się do góry pośladkami i dowiedzieć, co Bridget Jones widziała w tym, co to go Hugh Grant grał. W filmie jeszcze rozumiem, ale w książce? Zanim jednak zdążyłam przewrócić trzecią stronę, do mojego sanktuarium wparowały Iwa i Mirka, pomstując, że nie wychodzę do ludzi. Ponad ich ramionami zauważyłam triumfującą minę matki. Mimo że opędzałam się od nich jak od komarów nad jeziorem, zmusiły mnie do szybkiego prysznic i zmiany flanelowych szortów z plamą po ketchupie na letnią sukienkę. Nawet nie wiedząc kiedy, znalazłam się na zalanej słońcem ulicy.

A teraz zajadałam drugą porcję lodów i wahałam się, czy wyznać przyjaciółkom, co zawierała nieszczęsna koperta.

- No, właśnie! Mów, mów – popędza mnie Mirka. – Co to za list? Życzenia ślubne?
- Poniekąd – Kiwam głową zawstydzona.
- Jakie poniekąd? Co to znaczy poniekąd?
- W środku były życzenia z okazji ślubu i voucher.
- Voucher? – krzyczą zgodnym chórem.
- Na wakacje? – dopytuje Mirka. – Może w Egipcie?
- Nie, niezupełnie na wakacje – Uśmiecham się pod nosem, bo wiem, co za chwilę nastąpi. – To pobyt w spa. Tydzień relaksu w starym dworku, który został przemianowany na spa. Dla dwóch osób.
- Weź mnie! – wrzeszczą jedna przez drugą, a ja w odpowiedzi parskam niekontrolowanym śmiechem. Znam je lepiej, niż myślą. Teraz rzucają sobie nienawistne spojrzenia, jakby nie były najlepszymi przyjaciółkami, ale dwoma rekinami biznesu walczącymi o awans i podwyżkę. Trzeba szybko załagodzić sytuację.
- Niestety – Potrząsam głową. – To voucher imienny, zapisany na mnie i Patryka. Nawet nie wiem, czy mi przysługuje. Nie nazywam się Kalina Cieplak, prawda? – Nagle markotnieję.
- Szkoda – wzdycha Mirka. Iwa wymierza jej pod stołem kopniaka, tak silnego, że Mirka aż podskakuje. Prędko się poprawia. – To znaczy szkoda, że nie możemy jechać z tobą. Bawiłybyśmy się koncertowo!
- Nigdzie się nie wybieram. – Skrobię łyżeczką dno szklanego pucharka, ale po lodach pozostało tylko

wspomnienie. – To prezent od starej, zdziwaczałej ciotki Patryka. Wyobraźcie sobie, że popisała na nim jakieś cyfry! Numery totka czy ki diabeł? Poza tym dam sobie głowę uciąć, że voucher był przeznaczony bardziej dla złotego chłopca niż jego naiwnej narzeczonej. O, wiem, co zrobię. – Ożywiam się nagle. – Wyślę ten voucher Jolce! Niech się rozpieści przed porodem... Może nie znikną jej wszystkie rozstępy? – dorzucam mściwie.

– Czyś ty o... szalała? – krzyczy na mnie Mirka. – Chcesz oddać takie wczasy? Pakuj torbę i w drogę! Gdzie ten dworek?

– Nie mam pojęcia. Gdzieś przy granicy.

– Czechosłowackiej?

– Taaa... – Iwa klepie Mirkę w czoło. – Tu masz Czechosłowację, siostró. Zatrzymałaś się w rozwoju na poziomie zerówki i roku dziewięćdziesiątego.

– Znaczą się: czeskiej? – docieka Mirka.

– Co ty masz z tymi Czechami? – Śmieję się. – Wcale nie przy czeskiej, przy ukraińskiej raczej. Ale ja się nigdzie nie wybieram. Jest zbyt gorąco i w ogóle... Jeszcze się zgubię.

– Gorąco, gorąco. – Iwa kręci głową zdeglustowana. – Starowina pewnie ostatnie pieniądze wydała, żeby wam spa opłacić, a ty grymasisz? A tam pewnie mają basen...

– Basen? – Nadstawiam ucha. – Tak myślisz?

– No raczej, w każdym spa mają basen. A już w takim dworku to na bank! – podsycza Mirka.

– Ale to jest bardzo daleko i w ogóle, jeszcze się zgubię... – Czuję, że troszeczkę mięknię. To przez ten upał. Tymczasem Mirka przybiera poważną minę.

– Uważam, że głupio zrobisz, jeśli nie pojedziesz. Jakies zadośćuczynienie ci się należy, nie?



– Chciałabym się dowiedzieć, gdzie to się wybieramy?

Oho! Jeszcze dobrze nie ściągnęłam przykurzonej walizki z pawlacza. Jeszcze nie zebrałam na kupce tygodniowej zmiany majtek i staników. I nie kupiłam kremu z super faktorem trzydzieści. A moja matka już wie, że gdzie się wybieram. Stoi nade mną, podpierając boki i zwracając się do mnie w pierwszej osobie liczby mnogiej, co wcale nie wróży dobrze. Powinnam pamiętać, że moja rodzicielka lubi być informowana na bieżąco.

– Wybieramy się do spa – mamroczę, przetrząsając szufladę w poszukiwaniu kostiumu kąpielowego. Przysięgłabym, że go tutaj widziałam, gdy porządkowałam szafy przed feralnym dniem ślubu, a teraz gdzieś się schował. I z pewnością tylko jedna osoba zna jego nowe położenie. A dokładniej ta, która właśnie unosi cieniutką brew w radosnym zdumieniu.

– My? My jedziemy do spa? – wykrzykuje radośnie.

– Nie, mamó, nie my. Ja jadę do spa.

– No to czemu mówisz, że my? – Z jej tonu przebija rozczarowanie. Znowu jest zła.

– Ty mówisz, że my – usiłuję sprostować.

– Ja mówię? Przecież ja o żadnym spa nic nie wiem!

Zrezygnowana porzucam poszukiwania czerwonego kostiumu w szykowne białe kwiaty i siadam w fotelu. Poczekam, aż mamie wróci dobry humor i delikatnie zapytam, gdzie też mógł zawędrować.

Tymczasem postanawiam wytłumaczyć zawiedzionej rodzicielce, skąd pomysł wyjazdu i dlaczego jadę solo.

– Pamiętasz to awizo z poczty? To, które ojciec przyniósł? – Kiwa głową. – No, więc poszłam i odebrałam list. A w liście była kartka z życzeniami i voucher do spa. A ja jadę ten voucher wykorzystać – ćwierkam radośnie. – Zabrać cię nie mogę, bo to voucher imienny. Szkoda. – Składam usta w słodki, pełen żalu dzióbek. – Byłoby fajnie razem pojechać...

Przezornie pomijam fakt, że voucher jest wypisany na nazwisko, którego nie noszę. Nie jestem głupia, wiem, że matka wszystkimi siłami odwodziłaby mnie od ryzykownego wyjazdu. Wraz z Iwą i Mirką zgodnie doszliśmy do wniosku, że najlepiej udawać, iż ślub doszedł do skutku. Mąż się pochorował, więc żonka przyjechała, by samotnie zakosztować luksusu. Jeśli spytają o nazwisko, powiem, że zostaję przy swoim, o czym „kochana ciocia” nie mogła wiedzieć. Ale przecież imię mam niespotykane, skąd by się wzięła druga Kalina? I zaproszenie ściskam w rękę, więc chyba luksus mi się należy?

Początkowo nie miałam zamiaru jechać, ale przyjaciółki uświadomiły mi, że źle robię. Jakaś rekompensata mi się należy. I za wstyd przed zgromadzonymi w kościele gośćmi i za zmarnowane trzy lata obłudnego związku. I nawet za te dodatkowe centymetry w biodrach, które pojawiły się po pochłonięciu resztek tortu. Dlatego zdecydowałam, że pojedę i ze spa skorzystam. I żadne nazwisko mi w tym nie przeszkodzi.

Sprawdziłam już mapę Google i zamówiłam przez Internet bilet autobusowy do Nowego Sącza. Bo okazało się, że to spa wcale nie pod granicą ukraińską leży, ale całkiem bliźutko, przy granicy województwa. Nie powiem, ucieszyło mnie to. Zawsze to trudniej się zgubić, no i bilet tańszy. Gdyby wybieg z nazwiskiem się nie udał i trzeba było wracać do domu, wiele nie stracę.

Późnym wieczorem, gdy taszcę do przedpokoju wypchaną walizkę, przypominam sobie, że na voucherze napisano, żeby potwierdzić przyjazd. Zerkam do dużego pokoju, gdzie na tapczanie pochrapują rodzice i szybko wybieram numer podany na kartoniku. Nerwowo postukuję paznokciem we framugę drzwi, a linia telefoniczna niesie mnie gdzieś ponad dachami domów i wierzchołkami drzew. W końcu zmęczony kobiecy głos odpowiada na moje wezwanie. Zduszonym szeptem recytuję, jak się nazywam – odrobinę naginam prawdę – i kiedy przyjeżdżam. Odkładam słuchawkę z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, gdy dociera do mnie, że chyba rozmawiałam z automatem...

Przez chwilę stoję niezdecydowana, kręcąc na palcu sznur od telefonu, ale w tej chwili matka przewraca się na bok z głośnym gwizdnięciem. Umykam więc do swojego pokoju, czując się jak wtedy, gdy miałam czternaście lat i popalałam papierosy na balkonie. Naciągam kołdrę po same uszy. Przynajmniej wiedzą, że przyjeżdżam, myślę.



Krakowski dworzec o szóstej rano wcale nie wygląda zachęcająco. I nic to, że oświetla go pomarańczowe słońce, kładące promienie na płytach chodnikowych i zmoczonych rosą ławeczkach. Z jednej z takich ławeczek właśnie unosi się widmo w oparach alkoholowych i wyciąga do mnie rękę.

– Panienska poratuje na bułeczkę.

Rozglądam się niespokojnie na boki, ale wszystko wskazuje, że w bezpośrednim sąsiedztwie nie ma nikogo poza mną i cierpliwie czekającym mężczyzną. Wzdycham teatralnie i sięgam do kieszeni

w poszukiwaniu drobnych. Jak na złość mam tylko dychę.

Niech stracę. Wyciągam papierek w stronę widma.

– Proszę – burczę, starając się brzmieć uprzejmie i odpychając równocześnie.

Widmo grzecznie skłania mi się w pas i odwraca na pięcie. Po kilku krokach jakby przytomnieje i zwraca w moją stronę uśmiechnięte usta, spomiędzy których wystaje jeden ząb.

– A panienka reflektuje na precelka? Z sezamkiem czy solą?

– Dziękuję – dukam. – Nie jestem głodna.

– A rozumiem, rozumiem. Dietka znaczy się. – Konspiracyjnie mruży oko. – Jak na mój gust panienka nie potrzebuje żadnej diety. Kobitka musi mieć tu... – Szczypie się w brzuch. – I tu. – Wypina w moją stronę kościste pośladki. Pospiesznie odwracam się i odchodzę, więc nie widzę, gdzie trafiają szczypiące palce przy kolejnym „tu”. Goni mnie jeszcze gromkie: – Dzięki za dychę! – I zbiegam schodkami na niższy poziom dworca.

Znajduję stanowisko, z którego ma odjeżdżać mój autobus i z westchnieniem ulgi staję obok grupki podróżnych. Mimo że pół nocy spędziłam na planowaniu zabiegów, którym poddam się na miejscu, jestem rześka i mam świetny humor. Na myśl o czekającym mnie wypoczynku uśmiecham się szeroko i oddycham pełną piersią. Wyjmuję z torebki okulary przeciwsłoneczne i wsuwam je na nos. Nie, żeby było to konieczne o szóstej rano, ale przecież jadę na wczasy, no nie?

Podjeżdża autobus i rzucamy się, by załadować bagaże. Potem gęsiego wchodzimy do pojazdu i okazujemy nasze bilety. Kierowca ma błękitną koszulkę i sumiastego wąsa. Kiedy wyciągam w jego kierunku bilet, puszcza do mnie oczko. Jestem pod tak wielkim wrażeniem, że staję w miejscu i dopiero chrząknięcie kolejnego wspinającego się po schodkach pasażera sprawia, że przytomnieję i ruszam dalej. Mimo to odwracam się co kilka kroków i widzę wzrok kierowcy odprowadzający mnie w lusterku. W końcu opadam na siedzenie i opieram głowę o szybę. Z trudem powstrzymuję się, by nie wyjrzeć ponad głowami współpasażerów, chcąc sprawdzić, czy mężczyzna nadal mruga.



Droga mija dość szybko. Mam ze sobą *Dziennik Bridget Jones* i odtwarzacz MP3, słone paluszki i litrową colę. Siedząca obok mnie kobieta zagląda mi przez ramię. W końcu nie wytrzymuje.

– Ona i tak będzie z tym drugim. – Wzrusza ramionami.

– Kto?

– No, ta Bridżet! Z tym grubym będzie na końcu. Z Markiem jakimś takim.

Nazwać Marka Darcy'ego grubym? Czuję, że czerwienię się po cebulki włosów. Zamykam książkę i biorę potężny haust powietrza.

– Wiem, z kim będzie.

– Skąd?

– Film oglądałam. – Upijam łyżeczek coli. Jeszcze nie nagrzała się w dusznym wnętrzu autobusu, więc może ochłodzi moją rozpaloną twarz. Sugestia, że Mark Darcy był gruby, srodze mnie oburzyła.

– Tak? To po co czytać, jak się film oglądało? – Kobieta patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Bo film to nie to samo, a ja lubię czytać. – Zgrzytam zębami. I po chwili dorzucam ironicznie. – Szkoda, że nie zawsze mam ku temu warunki...

– A to też prawda, że nie zawsze to samo – zgadza się sąsiadka, nie słysząc mojego przytyku lub skrętnie go ignorując. – Takie *Rozlewisko* na przykład. Czytałam książkę, potem obejrzałam serial i zupełnie jakby się z choinki tam urwali. Czytała pani?

– Nie czytałam, przykro mi.

– A może oglądała pani? Tam Joasia Brodzik grała.

– Nie lubię telewizji.

– A film o Bridżet pani oglądała! – wykrzykuje triumfalnie, jakby przyłapała mnie na nie wiadomo jakim kłamstwie.

– Ale w kinie!

– No, to zupełnie co innego! – Kiwa głową. – Wie pani, oni tak ładnie w filmach o tej miłości opowiadają. W życiu to tak nie ma. Oglądam dużo seriali, wie pani, i tam przychodzi ślub i wielka heca. Bo pan młody przespał się z druhną, za przeproszeniem. A panna młoda go łup w mordę! – Ruchem łokcia demonstruje, co panna młoda robi swojemu przyszłemu mężowi, obficie pryskając przy tym śliną, a ja usiłuję wtopić się w okno. Patrzy na mnie roziskrzonym wzrokiem. – A w normalnym szarym życiu to tak nie ma. Albo nudne weselicho, że wszyscy popijają i leżą pod stołem. Albo panna młoda spuszcza głowę i udaje, że nie chodzi o jej chłopca. Ja to bym wzięła siekierę i... – Bierze kolejny zamach łokciem. Szybko jej przerywam.

– Dokąd pani jedzie?

– Do Sącza. Wnuki bawić. A pani?

– A ja jadę się troszkę porozpieszczać. Do spa.

– O rany! Po pani widać, że paniusia miastowa. Do spa jeździ.

– No, nie taka znowu miastowa – mamroczę cicho. – Jadę pierwszy raz. Nawet nie wiem, czego się spodziewać. Może mnie tam w jakiejś glinie utopią?

– Glina dobra rzecz. Jak kopię w ogródku, to się nią cała utaplam. Potem mam taką mięciutką skórę... Aż mąż się wydziera, że znów nakupowałam tych drogich kremów. – Chichocze.

– No to może z gliny skorzystam. – Uśmiecham się.

– A gdzie to spa?

– W Kamionkach.

– W Kamionkach? – dziwi się kobiecina. – Tam nie ma żadnego spa.

– Mam zaproszenie. Z adresem i numerem telefonu i w ogóle.

– A no jak numer telefonu jest, to pewnie musi być. Przecież gdyby nie było, nie mieliby telefonu, no nie? Pewnie coś nowego otworzyli. Teraz co chwila jakieś luksusy wynajdują. Normalnego człowieka na to nie stać. – Zerka na mnie podejrzliwie, bo skoro mnie stać, to znaczy, że normalna nie jestem.

– To prezent – tłumaczę, nie wiem po co i chowam się za zasłoną z książki.



Mark Darcy gruby? Czy ona oczu nie ma? Nie mogę jednak skupić się na czytaniu, jak echo powracają do mnie słowa kobiety, że w Kamionkach nie ma spa. Z pamięci wyskakuje zapis rozmowy telefonicznej z automatem. Mam nadzieję, że nie trafię na jakiś remont czy przerwę urlopową?

Przecież jadę tam z zamiarem rozpieszczenia się od stóp do głów i z tego zamiaru rezygnować nie

zamierzam. Mam wrócić do Krakowa rozpieszczona. Wypiękniona. Wypachniona. Wymasowana. Ze skórką miękką od kąpieli w glinie. Z tą myślą kupiłam bilet autobusowy i odebrałam matce czerwone bikini w białe kwiaty, które bezczelnie mi podprowadziła.

Gdzie w nim chodzi, nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Obraz mojej matki w skąpym czerwonym bikini jest dostatecznie traumatyczny.

Nagle przesywa mnie radosna myśl.

Ty idiotko! Dzwonisz po dwudziestej drugiej i chcesz, by odebrał człowiek?

Człowiek, który o tak nieludzkiej godzinie nie tylko nie pracuje i nie odbiera telefonów, ale być może nawet śpi? Lub figluje z innym człowiekiem pod pierzynką? To oczywiste, że obsłużył cię automat telefoniczny i nie ma w tym nic podejrzanego.

Uspokojona własnym wywodem myślowym przewracam kartkę i zagłębiam się w świat Bridget. Sąsiadka miała rację! W normalnym szarym życiu to tak nie ma.

Jest o wiele gorzej!



Kiedy wysiadam na dworcu w Nowym Sączu, uświadamiam sobie, że owszem, sprawdziłam połączenia do tego zanego miasta, ale już jak dostać się stąd do Kamionek to nie za bardzo. Stoję więc teraz w czerwcowym skwarze, topię się i uginam pod ciężarem walizki, równocześnie rozglądając na boki i wypatrując życzliwej duszy, która wskaże mi odpowiedni kierunek.

To prawda, że z geografii nigdy nie byłam mocna. Kiedy chciałam zdawać maturę z tego przedmiotu, nauczycielka niemal na kolanach błagała mnie, żebym tego nie robiła, bo obniży jej średnią... Wzięłam więc historię, a geografia już na wieki wieków została moją piętą achillesową. Tutaj jednak nie pomogłaby nawet ocena celująca na egzaminie. Po prostu środków transportu jest zbyt wiele!

W końcu nabieram w płuca rozgrzanego powietrza i ciągnąc po bruku walizkę, ruszam między podróżnych.

– Przepraszam, jak się dostać do Kamionek?

– Przepraszam, na Kamionki to którym autobusem?

– Jedzie pan do Kamionek?

– Gdzie są Kamionki?

Krażę po dworcu, ale nikt nie potrafi mi pomóc i wskazać odpowiedniego pojazdu. Jeszcze chwila i wpadnę w czarną rozpacz. Zaszło mi w ustach, muszę skorzystać z toalety, sandałki, które kupiłam specjalnie na wyjazd, boleśnie piją mnie w duży palec lewej stopy. A do tego podejrzewam, że ten cały list z voucherem mi się po prostu przyśnił. Nie ma żadnych Kamionek, nie ma więc i spa w starym dworku. A co za tym idzie, nie będzie kąpieli w glince, relaksu i miękkiej skórki.

Opadam na najbliższej stojącą ławkę i zamierzam właśnie pogrążyć się w czarnej rozpacz, kiedy ktoś delikatnie klepie mnie po ramieniu. Nade mną stoi uśmiechnięta blondynka w różowej sukience i japonkach.

– Do Kamionek nie jeżdżą żadne autobusy. To okropna dziura. Tak głęboka, że bardziej już się nie da! – Śmieje się.

– No to jak się tam dostać? – Czuję, że kielkuje we mnie ziarenko nadziei.

– To proste. Musisz jechać autobusem na Krosno i poprosić kierowcę, żeby zatrzymał się na przystanku obok kapliczki na drzewie. Stamtąd to jakieś... cztery kilometry. Ktoś na pewno wskaże ci drogę.

– A co stamtąd jeździ?

– Nic nie jeździ! Przecież mówię, że to okropna dziura. Po co ty tam jedziesz w ogóle?

– Do... spa... niałych znajomych. – W porę gryzę się w język. O, nie! Już nikomu nie zdradzę, że jadę do spa. Nie chcę, by kolejna osoba – nawet tak wesoła i sympatyczna – wmawiała mi, że w Kamionkach żadnego spa nie ma.

– A do dworku pewnie? – Domyśla się dziewczyna.

– Tak, do dworku! – Rozpromieniam się. Rozglądam się konspiracyjnie na boki i pytam, zniżając głos do szeptu. – Dlaczego nikt nie potrafił mi powiedzieć, jak się tam dostać?

– Bo Kamionki to...

– Okropna dziura, wiem. – Kiwam głową ze zrozumieniem. – Ale ty wiedziałaś.

– Bo stamtąd pochodzę. No, może niezupełnie z Kamionek, ale całkiem bliźutko. Gosia jestem. – Wyciąga do mnie opaloną dłoń z jasnoróżowymi paznokciami.

– Kalina. Wobec tego pojedziemy razem? – Cieszę się na samą myśl.

– Nie, ja się stamtąd wyrwałam zaraz po liceum i ani myślę wracać. Nie ma po co. Żadnej pracy, żadnych perspektyw. Teraz mieszkam tutaj i codziennie dziękuję za to Bogu i rodzicom. A ty skąd jesteś?

– Z Krakowa.

– A ja w Krakowie studiuję. Może wybierzemy się razem na zimne piwko? Gdy już wrócisz z Kamionek oczywiście.

– Chętnie. – Wymieniamy się numerami telefonów. Dawno nie spotkałam tak miłej i uczynnej osoby. Teraz popycha mnie w kierunku zielonego autobusu.

– To ten autobus. Pamiętaj, kapliczka na drzewie. Miłego urlopu!

Biegnę w kierunku pojazdu i w ostatniej chwili wskakuję na stopnie. Nie zdążyłam wsunąć walizki do bagażnika i teraz boleśnie obijam o nią kolana. Proszę kierowcę, by wskazał mi przystanek przy kapliczce na drzewie, po czym pytam, ile potrwa podróż. Okazuje się, że trochę ponad kwadrans. Nie wiem, ile to jest, ale liczę, że za godzinkę zafunduję sobie pierwszy masaż...



Stoję na poboczu i wpatruję się w kapliczkę zawieszoną na drzewie, w nadziei, że natchnie mnie i wskaże, co dalej. Znalazłam się na skrzyżowaniu, które asfaltową nitką wśród łąk i pól wiedzie do wytęsknionych Kamionek. Wiem, że wiedzie, bo wskazuje na to zielony drogowskaz, na którym ktoś czarnym sprejem napisał „dópa”. Przenoszę spojrzenie z kapliczki na charakterystyczną pisownię i czuję, że po mojej własnej, hm, pupie, cieknie strużka potu. Nie ma jeszcze południa, ale w cieniu rosłej lipy są co najmniej trzydzieści cztery stopnie!

I właśnie to powstrzymuje mnie przed wyruszeniem w kierunku, który wskazuje upačkany drogowskaz. Obawiam się, że zanim pokonałabym cztery kilometry, o których wspominała Gosia, zamieniłabym się w strużkę wody i spłynęłabym do zarośniętego gęstymi chaszczami rowu. Albo w suchy patyczek, po którym później przemaszerowałoby stado mrówek. Ponieważ żaden ze wspomnianych scenariuszy mi nie odpowiada, postanawiam zaczekać na rozwój wypadków.

Przecież Kamionki nie mogą być odcięta od świata osadą, gdzie psy szczekają tylnymi partiami ciała, prawda? Nie mogą być, gdyż w takich miejscach nikt nie otwiera ekskluzywnego biznesu, jakim niewątpliwie jest spa! Zakładam więc, że Gosia przerysowała obraz swojej rodzinnej miejscowości. A co za tym idzie, z pewnością wkrótce pojawi się pojazd, który pomoże mi pokonać te cztery kilometry. Z tą myślą ustawiam walizkę na poboczu szosy i delikatnie na niej siadam.

Opróżniam butelkę z ostatnich kropelek coli. Ten zakup nie był dobrym pomysłem. Po pierwsze: cola jest słodka i ciepła, co sprawia, że po jednym łyku natychmiast mam ochotę wziąć jeszcze trzy. A po drugie: co to jest, litr napoju na podróż z dwiema przesiadkami? Siedzę więc na mojej walizce, uderzam pustą butelką o kolana i zastanawiam się, czy gdzieś w pobliżu jest rzeka, z której mogłabym zaczerpnąć wody. O tym, że w wodzie znajdują się pałeczki i inne drobnoustroje, wolę nie myśleć. To sytuacja awaryjna. Sytuacja zagrożenia życia przegrzaniem i śmiercią z pragnienia. Na wszelki wypadek usiłuję nie myśleć o żadnych cieczach, bo od tego jeszcze bardziej zasycha mi w ustach. Staram się nie myśleć także o konieczności skorzystania z toalety. Wyjmuję więc książkę i zatapiam się w przygodach Bridget.

Pogrążam się w lekturze do tego stopnia, że nie zauważam stojącej przy mnie dziewczyny. Mam wrażenie, że pojawiła się znikąd: nie było jej, a teraz jest. Ma twarz upstrzoną piegami, długą spódnicę, a na głowie czerwoną chustkę w białe grochy. Patrzy na mnie całkiem przyjaźnie.

– Jedzie do Kamionek? – pyta. W pierwszej chwili nie wiem, co odpowiedzieć, w końcu dyskretnie rozglądam się na boki i stwierdzam, że dziewczyna w chustce zwraca się do mnie. Tyle, że w bardzo dziwnej formie. Chyba musi być spokrewniona z moją matką.

– Tak. Czy pojedzie jakiś autobus?

– Nie. – Dziewczyna potrząsa głową. – Nie pojedzie.

– Wobec tego, co pojedzie?

– Stary Jan pojedzie – odpowiada. – Chce pić? – pyta, zerkając na pustą butelkę w mojej ręce.

– Bardzo! – Zrywam się na równe nogi. Dziewczyna sięga po koszyk i wyjmuje z niego metalowy dzbanek. Moja matka, która pochodzi z gospodarskiego domu i wychowała się na wsi, mówi na taki dzbanek „kanka”. Teraz patrzę, jak dziewczyna nalewa do obitego kubka czerwonego napoju. To woda z sokiem albo kompot. Jak się okazuje, to drugie.

– Niech pije na zdrowie. – Dziewczyna podaje mi kubek. – Kompot z młodych czereśni.

– Pycha! – Wypijam duszkiem cały kubek i dziewczyna dolewa mi szczerze do pełna.

– Zawsze gotujemy kompot z młodych czereśni. Najpierw trzeba zalać owoce wrzątkiem, żeby robale wyszły, a potem gotować – tłumaczy z szerokim uśmiechem. Parskam napojem tak gwałtownie, że cała walizka robi się mokra i lepka. Pragnienie minęło jak ręką odjął. Tymczasem dziewczyna przygląda się mojej walizce ze zmartwioną miną. – No i patrzy, co narobiła. Cała torba zniszczona.

– Wyschnie. – Macham ręką lekceważąco. Staram się nie patrzeć w kierunku dzbanka z kompotem. Na samą myśl o sposobie jego przyrządzenia, wszystko we mnie bulgocze i wiruje.

– Ale plamy od cukru zostaną – słyszę.

– To stara walizka.

– Po co jedzie do Kamionek? Do dworku?

– Do dworku.

– Pani Eliza mówiła, że przyjedzie. – Kiwa głową.

– Naprawdę? – Stukilogramowy kamień spada mi z serca. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

Właścicielka spa – niejaka pani Eliza – odsłuchiwała wiadomość i spodziewa się mojego przyjazdu. Zostanę przywitana wodą z minerałami i maseczką z alg. A być może nawet miską... czereśni?

– Mówiła, że jest starsza – drąży tymczasem dziewczyna.

– Kto?

– No, ona. – Bez skrępowania wskazuje na mnie palcem. – Pani Eliza mówiła, że jest starsza.

– Mam dwadzieścia siedem lat. Nie jestem już taka młoda – bronię się bez przekonania. Co ona sobie myśli? Że tylko stare baby jeżdżą do spa i moczą zwiędnięte tyłki w kąpielach z błota? Mojemu cellulitowi także przyda się kuracja i przypomnienie, że zjawił się o wiele za wcześnie!

– No, stara panna jak ta lala! – Parska śmiechem. Rzucam jej pełne wyrzutu spojrzenie, ale kiedy na nią zerkam, widzę jej usianą piegami twarzyczkę i szczerą błękitną oczętą. Nie umiem się na nią gniewać. Śmieję się więc razem z nią. Zaraz jednak poważnieję, bo mój pęcherz przypomina o sobie coraz uporczywiej. Nachylam się ku dziewczynie i szeptem wyrażam swoją prośbę.

– Czy gdzieś w okolicy... – Zataczam dłonią bliżej nieokreślone koło. – Jest toaleta?

– Toaleta?

– No, WC. Klozet – tłumaczę, czerwieniąc się. Dlaczego mówienie o tak prostej i ludzkiej czynności, jaką jest sikanie, jest takie skomplikowane i żenujące? Dlaczego przyprawia nas o rumieniec wstydu i zmusza do zniesienia głosu do szeptu? W końcu poddaję się i z westchnieniem wyznaję. – Chce mi się siku!

– A, sikać chce! – Dziewczyna zanosi się śmiechem. – Trzeba było od razu tak mówić. No, to idziemy!

– Schyla się po koszyk z takim entuzjazmem, że nie pozostaje mi nic innego, jak złapać rączkę walizki i ruszyć za nią. Wesoło trajkocząc na temat pogody, upału i popołudniowej burzy, która z pewnością się przyplącze, prowadzi mnie w kierunku gęstych zarośli. Odsłania zieloną zasłonę i czyni dłonią zapraszający gest, jakby otwierała przede mną drzwi do pokoju w Sheratonie.

Posyłam jej nic nierozumiejące spojrzenie.

– Gdzie ta toaleta? – pytam.

– Toaleta, tutaj? – Śmieje się. – No, niech nie będzie taka miastowa paniusia. Nikt jej czterech liter nie podejrzy. Wysikać, podetrzeć listkiem i lecimy, bo nam Stary Jan odjedzie i na nogach do Kamionek pójdziemy. – Zerka w niebo. – A burza tuż tuż...

Nie wiem, czy to za sprawą wzmianki o burzy, czy też o czterokilometrowym spacerze, ale jednak decyduję się skorzystać z zielonego wychodka. Staram się nie myśleć o mrówkach, pajakach, a tym bardziej o kleszczach. Robię, co muszę i wyskakuję na drogę, gdzie czeka na mnie dziewczyna w chustce.

– W samą porę przyszła. – Kiwa mi głową z uśmiechem. – Stary Jan już jedzie.

– Gdzie? – dopytuję, usiłując wytrzeć dłonie mokrą chusteczką, która wyschła.

Nagle moje oczy otwierają się szeroko i mogę się założyć o stówkę, że wyglądają jak dwie piłeczki do ping ponga. Wskazuję palcem drabiniasty wóz i zaprzęgniętego do dyszła siwego konia.

– To jest Stary Jan? – dukam. Ale dziewczyna już wrzuca koszyk na wóz i schyla się ku mojej walizce.

– No, co się tak dziwi? – Wrusza ramionami. Wszystko w niej jest uśmiechnięte, nawet te lekko zaokrąglone ramiona. – Furmanki nigdy nie widziała?



Mam powody podejrzewać, że Stary Jan nie jest do końca trzeźwy, ale brakuje mi czasu i siły, by wyrazić swoje oburzenie. Jestem zajęta uporczywym trzymaniem się szczebli drabiniastego wozu. Mam wrażenie, że jeśli na chwilę puszczę choć jedną rękę, stoczę się prosto pod koła. Lewą stopą podtrzymuję walizkę, powoli łapie mnie skurcz. Od ciągłego wpatrywania się w wyszczerbiony asfalt kręci mi się w głowie.

Tymczasem siedzącej obok mnie dziewczyny nic nie rusza. Oparła się plecami o drabiniasty bok, odsłaniając opalone kolana i wystawiając twarz do słońca. Z pewnością po takiej dawce słońca jej piegi będą jeszcze czerwiejsze. A może znikną pod opalenizną? Nie znam się, ale spoglądam na nią z niemym podziwem. Tymczasem ona patrzy na moją walizkę.

– Tam trzyma malowidła? – pyta.

Malowidła? A, pewnie jej chodzi o kosmetyki. Z pewnością myśli, że skoro jadę do spa, jestem jedną z tych wyfiokowanych niunierek, które nie wychodzą z domu, o ile nie nałożą pięciu kilogramów tapety. Chciałabym jej powiedzieć, że pomyliła mnie z Jolką, ale w sumie, co w tym złego, że weźmie mnie za światową elegantkę? Kiwam więc głową twierdząco.

– Nie potrzebuję tego wiele – tłumaczę. – Jednak parę rzeczy mieć muszę.

– No pewnie – zgadza się. – A jak ma na imię?

– Kalina. A ty?

– Mówią na mnie Szparka! Chyba łatwo się domyślić dlaczego?

Podnoszę na nią zszokowane spojrzenie i z wrażenia puszczam szczeble. W tej samej chwili Stary Jan woła „prrrrr” i siwek staje z mocnym szarpnięciem. Łąduję na pupie, rozmyślając o dziwnym przewisku dziewczyny. Patrzę w jej roześmiane błękitne oczy i uświadamiam sobie, że znam tylko jedno znaczenie słowa szparka... W tej samej chwili ona sama otwiera usta i demonstruje imponującą przerwę między dwiema jedynekami. Parskam śmiechem, a ona mi wtóruje.

– Ludzie to mówią, że nikt nie ma takiej szparki jak ja.



Kamionki wcale nie są dziurą zabitą dechami. Są gorsze! Tutaj nawet dechy pokradli, o czym świadczą szczerbate, zmurszałe płoty otaczające równie zmurszałe domy. Stoję u boku Szparki na krzyżówce, gdzie wysadził nas Stary Jan i staram się nie okazać przerażenia. Niby rozglądam się na boki, ale tak naprawdę mam ochotę wziąć nogi za pas i tylko świadomość faktu, że właścicielka spa czeka na moje przybycie, powstrzymuje mnie przed tym dezerterskim krokiem.

Oddycham pełną piersią i patrzę z nadzieją na stojącą obok dziewczynę.

– No, to gdzie ten dworek?

– Do dworku to trzeba jeszcze z kilometr przejść – trajkocze.

– Co?! Jeszcze kilometr? – Chyba wyglądam na załamana. Myślałam, że przed obiadem potaplam się w błotku, zaliczę masaż i maseczkę na popękane naczynka, ale wszystko wskazuje, że ciotka Patryka wykupiła nam wczasy na końcu świata. W obecnej sytuacji mam wątpliwości, czy załapię się na kolację!

Muszę wyglądać na zrezygnowaną, bo Szparka poklepuje mnie pocieszająco po plecach i lekko popycha w stronę zakurzonej polnej drogi.

– Niech się nie boi, odprowadzę ją do dworku. Nie zabłądzi.

– Ale na pewno masz czas? – Jestem zadowolona z towarzystwa, niemniej odczuwam małe ukłucie

wyrzutów sumienia, że zabieram komuś czas i zawracam głowę.

– Nie mam nic do roboty. Idziemy.

Ruszamy więc drogą wśród pól, a ja dość szybko zapominam, że przed momentem nazwałam to miejsce gorszym od dziury zabitej dechami i z podziwem chłonę krajobrazy zielonych łąk i złotych łąnów. Gdzieś tam suszą się zabawne kopki siana. Jest pięknie! A tam pod lasem, czy to naprawdę sarna? Żywa?

– Pewnie, że żywa. – Wzrusza ramionami zasapana dziewczyna. – Przyszła się napić do strumienia. W taki upał to każdemu chce się pić. Chce kompotu? – dopytuje, przystając.

Zaprzeczam gwałtownie, choć na języku mogłabym wyhodować kaktusa. Kiedy jednak widzę, jak po brodzie Szparki cieknie różowy płyn, przełykam ślinę i stwierdzam, że ona ma rację. Nie mogę być taką miastową paniusią. Sikałam w krzakach, to i kompot z robalem wypiję.

Robimy krótki przystanek pod ogromnym dębem, a Szparka wyciąga przed siebie długi palec wskazujący.

– Widzi te drzewa? – Kiwam głową, choć nie jestem pewna, o które drzewa może jej chodzić. Tutaj wszędzie są drzewa. I łąki. I pola. – To park koło dworku – wyjaśnia. – Za pięć minut będziemy. Ale się pani Eliza ucieszy!

– Naprawdę? – Dziwię się. – A to tak kiepsciutko jest? – pytam, myśląc o luksusach, jakie oferuje spa.

– No, kiepsciutko, kiepsciutko! – zgadza się dziewczyna.

Trudno, wdycham cichutko. Może nie będzie kąpieli w kozim mleku, ale glinę chyba mają? Nie muszę pływać w basenie. Odpocznę sobie, pooddycham świeżym powietrzem i popatrzę na te piękne krajobrazy. Toż to raj na ziemi!



Po pięciu minutach, zgodnie z zapowiedzią dziewczyny, mijamy żelazną bramę i wchodzimy na teren parku. Z podziwem oglądam wielkie drzewa i zielone krzewy, z których dobiega ptasi śpiew. Ale Szparka nie pozwala mi na dłuższe kontemplowanie przyrody i ciągnie mnie ku pochylonej nad rabatką postaci.

– Przeprowadziłam ją – oświadcza z radosnym chichotem.

Postać prostuje się powoli i spod runda wielkiego słomianego kapelusza spoglądają na mnie bystre oczy.

– No, widzę – mówi. – Ale kogo?

– No, ją – niecierpliwi się Szparka. – Jechała do dworku i bała się, że zabłądzi. To przyprowadziłam.

– Wspaniale! – Mierząca mnie zaciekawionym spojrzeniem kobieta zdejmuje gumową rękawiczkę i wyciąga opaloną dłoń. – Eliza Pawłowicz. Z kim mam przyjemność?

– Kalina Radecka.

– Radecka? – Właścicielka spa szpera w pamięci, przyglądając mi się badawczo.

– To znaczy... Cieplak. Teraz już Cieplak. – Gubię się w zeznaniach. Na śmierć zapomniałam o przygotowanym scenariuszu. Mam przecież udawać żonę Patryka Cieplaka i wykorzystać voucher wystawiony na jej nazwisko. – Przyjechałam z Krakowa – dodaję szybko.

– Ach! Z Krakowa! – Nazwa miasta działa niczym sławetne hasło „sezamie otwórz się” i twarz kobiety

opromienia radosny uśmiech. – No to wszystko jasne! Dziękuję ci, Kasiu! – zwraca się do rozradowanej Szparki, a mnie łapie pod ramię i ciągnie w głąb ogrodu. – Chodźmy do domu! Odświeży się pani, a później porozmawiamy o szczegółach!

Gdzieś za naszymi plecami Szparka opuszcza właśnie teren posiadłości i krzyczy do mnie radośnie:
– Wpadnę do niej jutro!

Domyślam się, że ma na myśli moją skromną osobę, więc odwracam się ku niej i wesoło macham. Muszę przyznać, że podczas tej dziwnej wyprawy poznaję samych sympatycznych ludzi. Szparka, dziewczyna na dworcu. No, może pani w autobusie nie była jakaś super sympatyczna, ale ostatecznie nie łupnęła mnie z łokcia, prawda? Za to pan od obwarzanka zasługuje na pełne uznanie!

Tymczasem chwytam rączkę walizki i staram się dogonić właścicielkę dworku. Równocześnie próbuję objąć spojrzeniem krajobraz mijanego parku. Wydaje się ogromny i na pół dziki, co tylko dodaje mu uroku. Betonowa alejka jest popękana i wybrzuszona korzeniami wiekowych drzew. Co rusz potykam się o wystający kamień i duży palec u lewej stopy przypomina, że dość już przeszedł tego dnia. W samą porę docieram do stóp szerokich kamiennych schodów, które prowadzą do piętrowego budynku o odrapanej burej elewacji. Ktoś, kto planował urządzić tutaj spa, z pewnością nie przyłożył się do remontu, o nie!

Wbiegam po schodkach i wchodzę przez drzwi, które uchyla przede mną usłużna właścicielka. Jedno muszę przyznać, gości witają tutaj z fasonem! Wchodzę do dużego hallu i rozglądam się zaciekawiona na boki. Gdzie recepcja?

– Proszę za mną – słyszę głos pani Elizy i podążam za nim wzrokiem. Właścicielka uchyla drzwi na lewo i prowadzi mnie do wielkiej biblioteki. A raczej do pomieszczenia, które stałoby się biblioteką, gdyby ktoś zapełnił tysiące pustych półek podpierających ściany. Tymczasem książki zalegają w przykurzonych kartonach, co rani moje bibliofilskie serce.

Właścicielka siada za biurkiem, a ja zajmuję miejsce naprzeciwko niej.

– Cieszę się, że pani przyjechała. – Uśmiecha się do mnie ciepło. Przyglądam się jej z zainteresowaniem. Przekroczyła sześćdziesiątkę, ale jest szczupła i zwinna. I posiada imponujący czarny warkocz. Mogę się założyć o ostatnią stówkę na moim koncie, że ten kolor nie pochodzi z salonu fryzjerskiego ani z tubki z drogerii! Tymczasem ona, jakby czytając w moich myślach, marszczy czoło i mówi. – Myślałam, że jest pani starsza.

Najwyraźniej klientela tutejszego spa bywa nieco posunięta w latach, myślę sobie.

– Na pewne rzeczy nigdy nie jest się za młodym – odpowiadam wesoło.

– Otóż to! – Śmieje się. – To się nazywa zdrowe podejście do sprawy!

– Stwierdziłam, że potrzebuję odmiany. Ostatni okres nie był dla mnie najlepszy – wyznaję z niespodziewaną szczerością. – Powiedziałam sobie: raz kozie śmierć. I oto jestem!

– Świetnie! Jestem zachwycona, że pani się zdecydowała. Kilka osób w ostatniej chwili zrezygnowało z przyjazdu. Szczerze mówiąc, uważam to za irytujące. To znacząco dezorganizuje pracę!

– Z pewnością! – zgadzam się ochoczo.

– To miejsce z duszą. Nie każdy potrafi je docenić.

– Zapewniam panią, że ja potrafię. Nigdy nie byłam w tak pięknym dworku! A ten park... – Kręcę głową, bo nie przychodzi mi na myśl żadne porównanie. Pani Eliza wygląda na zadowoloną.

– Wobec tego, jest pani gotowa na nowe doświadczenia? – Uśmiecha się. – Kiedy zaczynamy?

– W każdej chwili! Odświeżę się, rozpakuję i oddam w pani ręce!

– Wspaniale! Zaczniemy więc od wypełnienia dokumentów, dobrze?

– Oczywiście. – Kiwam głową, równocześnie grzebiąc w walizce za dowodem osobistym i voucherem.

Kobieta kładzie przede mną arkusz papieru i długopis. Z entuzjazmem przechodzę do wypełniania kolejnych rubryk, gryząc końcówkę długopisu i zastanawiając się, po co im informacja o moim dotychczasowym przebiegu zatrudnienia. Składam zamaszysty podpis i oddaję papiery właścicielce. Ta uśmiecha się szeroko.

– Witamy na pokładzie, pani Kalino! Mam nadzieję, że praca u nas okaże się przyjemna i stanie się dla pani źródłem satysfakcji.

Rozdział 3

Leżę w chłodnej pościeli i liczę barany. A raczej pajęczyny uwieszone u sufitu i połyskujące w świetle zaglądnącego do pokoju księżycy. I po raz kolejny zadaję sobie w duchu pytanie, jak mogłam wpakować się w taką kabałę. Czy los nie doświadczył mnie dostatecznie mocno w ostatnim czasie, że musi podsuwać mi takie sytuacje?

Wracam myślami do rozmowy z właścicielką dworku.

– O Boże! – wykrzyknęłam, zrywając się z biurka, kiedy podsunęła mi umowę o pracę.

– Czy coś się stało?

– Nic, to znaczy... – Zawahałam się i spojrzałam w kierunku kobiety podejrzliwie. – Nie jestem pewna, czy dobrze trafiłam? Czy to na pewno Kamionki?

– Tak. – Skinęła głową.

– I dworek?

– Nieco zaniedbany, ale jednak dworek. O co chodzi, pani Kalino?

– I to tutaj jest spa? – Usiłowałam złapać się ostatniej deski ratunku.

– Więc o to chodzi. – Westchnęła właścicielka, przybierając zbolaną minę. – Będzie spa, będzie. Ja wiem, że renowacja starego dworku, bez znanej nazwy i to jeszcze w takiej lokalizacji to żaden zaszczyt, ale zobaczy pani, to miejsce kiedyś będzie słynne.

– Nie wątpię, ale...

– Czy chodzi o pieniądze? Oferuję za mało? Większość artystów nawet nie pofatygowało się, żeby obejrzeć Kamienny Krąg.

– Kamienny...

– Krąg. – Pani Eliza uśmiechnęła się cokolwiek nieśmiało. – Proszę się nie śmiać, ale taka już ze mnie romantyczka. Byłam zakochana w tym serialu i... – Nagle zerwała się z biurka i chwyciła mnie za rękę. Jej wzrok był roziskrzony i pełen nadziei. – Proszę pójść za mną! Coś pani pokażę!

Pozwoliłam podprowadzić się do szerokich drewnianych schodów prowadzących na piętro. Po takich schodach musiała zbiegać Scarlett O'Hara w *Przeminęło z wiatrem*. Być może takie schody wiodły do sypialni bohaterki *W kamiennym kręgu*, serialu, o którym moja matka do tej pory nie może zapomnieć. I nie ona jedna, jak się okazało. Tymczasem weszłam za właścicielką po skrzypiących stopniach i zbliżyłam się do wąskiej galerii. Wieńczyło ją wielkie okno, a z niego rozpościerał się najpiękniejszy widok na ziemi. Zapatrzyłam się na falującą zielen łąk i złoto pól... Na szemrzącą w dole rzekę i połąć żółtego piachu. I nagle usłyszałam, jak mówię:

– Zgadzam się. Będę dla pani pracować. Co mam namalować?



Pamiętacie, jak wspominałam, że geografia była najbardziej zniechęcającym przedmiotem w szkole? Kłamałam. Owszem, nie pałam miłością do tej dziedziny, niemniej były zajęcia, których bałam się jak diabeł święconej wody i które obdarzyłam najzacieklejszym uczuciem nienawiści, na jakie było mnie stać.

Plastyka. Lekcje rysunku. Jak zwał, tak zwał.

Stało się to po tym, jak w drugiej klasie podstawówki nauczyciel kazał wyklejać kurczaczka. Kurczaczek miał być z włóczki, kordonka, czegokolwiek. Niestety, w naszym domu tego „czegokolwiek” nie było. Wykleiłam więc kurczaczka z papieru toaletowego, bardzo ładnego, żółciutkiego, nawiasem mówiąc. O ten papier matka stoczyła bitwę w drogerii na rogu, podbijając oko sąsiadce z parteru, pani Woźniakowej. Nie rozmawiają do dziś, ale to nieważne.

W każdym razie zaprezentowałam mojego kurczaczka z dumą artystki. Do dziś pamiętam słowa nauczyciela, pana Wątróbki:

– Oto klozetowa odmiana kurczaczka wielkanocnego!

Moi koledzy prędko to podchwycili i od tej pory codziennie witało mnie gromkie „cip cip” albo „klozetowy kurczak”. Od tamtej pory unikałam wszelkiej inwencji na lekcjach plastyki. Robiłam wszystko byle jak i psułam swoje świadectwa marnymi trójkami.

Wspominam o tym, żebyście mogli się zorientować, co właśnie zrobiłam.

Okłamałam właścicielkę dworku, podając się za artystkę malarzkę i zgodziłam się dokończyć fresk na galerii. Piękny widok roztaczający się z okna rzucił mi się na psychikę i zaćmił zdolność logicznego myślenia. W tamtej chwili zrobiłabym wszystko, by nie musieć wyjeżdżać, podałambym się za malarzkę, kucharkę, a nawet pana z gazowni.

Teraz, kiedy emocje już opadły, a ja zmagam się z bezsennością gorącej czerwcowej nocy, uświadamiam sobie, że popadłam w okropne tarapaty. Podszywanie się pod inną osobę jest przecież karalne! A gdyby nawet nie było, to przecież ja nie potrafię namalować koła, nie mówiąc o fresku!

Z żalem stwierdzam, że z rana muszę przyznać się pani Elizie do dokonanego oszustwa i wyznać, co tak naprawdę mnie tutaj przywiodło. A potem? Potem czeka mnie powrót do zadymionego, skwarowego Krakowa i moczenie tyłka w parku wodnym.

Przecież jedyny pędzel, jaki umiem trzymać w dłoni, to ten od pudru!



Budzi mnie brzęk tłuczonego szkła i rumor. Przez moment leżę bez ruchu i usiłuję przypomnieć sobie, gdzie jestem i co tutaj robię. No tak. Kamionki, stary dworek, w którym nie ma spa, jest za to niedokończony fresk, który ja mam dokończyć. Chociaż nie umiem malować. Ale dlaczego obudziłam się w środku nocy?

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie rozlega się głośny wrzask. Czuję, że cała truchleję. Mam ochotę zanurkować pod kołdrę, co zresztą natychmiast czynię. Nie wiem, co się tutaj dzieje, ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nazajutrz wracam do Krakowa, koniecznie!

W ostatniej chwili wystawiam koniuszek nosa, a następnie lewe ucho. Słyszę kolejny huk, po którym następują głośne jęki. Może to miejsce jest nawiedzone?

Nie, jednak nie. Ktoś wzywa pomocy.

MacGyverem nie jestem, ale trochę głupio udawać, że śpię, gdy ktoś potrzebuje ratunku. Być może pani Eliza potknęła się na schodach i runęła w dół? Może leży w hallu ze skrzyconą kostką lub złamaną ręką? Bo że żyje, to pewne. Wydiera się głośniej, niż moja matka, kiedy woła nas na obiad!

Staram się pokonać paraliżujący mnie strach, wyplątuje się spod okrycia i na palcach ruszam w stronę drzwi. Uchylam je i zerkam na korytarz. Egipskie ciemności. Jęki słyszę jednak wyraźnie, więc powoli ruszam w kierunku schodów i przechylam się przez balustradę. U podnóża schodów leży jęcząca postać.

Pochyliłam się nad nią i rozpoznaję kucharkę, która wieczorem podawała nam kolację. Ma pucołowate policzki i wąsik pod nosem. I zaciąga śmiesznym akcentem. Teraz jednak leży i pojękuje, przewracając oczyma.

– Co się dzieje? – słyszę nad sobą przestraszony głos pani Elizy. Wzruszam ramionami i wyjaśniam, że spałam sobie w najlepsze, gdy usłyszałam wrzask, huk, jęk, a potem ponownie huk.

– I tłuczone szkło – przypominam sobie.

– Mój Boże! – Pani Eliza rozgląda się na boki nieco oszołomiona, a długi czarny warkocz uderza ją po plecach. – Okradli nas, okradli! Nadziejo, nic ci nie jest?

Dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że zwraca się do kucharki. Tymczasem Nadzieja z trudem podnosi się do pozycji siedzącej, równocześnie przyciskając dłoń do potylicy.

– Dostałam w czambo – tłumaczy.

– Nic ci nie jest? – dopytuje się pani Eliza łzawym tonem. – Żyjesz, Nadziejo?!

– Żyjeh, żyjeh.

– Mój Boże, co tu się dzieje!

– Trzeba zadzwonić po policję – podsuwam.

– Mój Boże, rzeczywiście, trzeba. – Właścicielka rozgląda się na boki nieprzytomnie.

– Mam komórkę – oświadczam.

– Dobrze, to zadzwoń, Kalinko, zadzwoń. A ja zajmę się Nadzieją.

Biegnę do pokoju, gdzie na niewielkim stoliczku przy łóżku leży moja komórka. Pospiesznie wybieram numer alarmowy.

– Policja.

– Dzień dobry. Znaczy dobry wieczór. Znaczy... – Gubię się, w końcu wzdygam. – Chciałam zgłosić włamanie.

– Nazwisko?

– Włamywacza? Nie znam.

– Jakiego włamywacza? Pani nazwisko!

– Radecka. To znaczy Cieplak – płaczę się.

– To Radecka czy Cieplak?

– A po co to panu? – niepokoje się.

– Proszę mi podać nazwisko. Muszę zweryfikować, czy nie jest pani dowcipnisiem.

– O tej godzinie? – Czuję narastającą irytację. – Nie jestem dowcipnisiem. Nazywam się Kalina Radecka. I chcę zgłosić napad i włamanie.

– Gdzie?

– W Kamiennym Kręgu.

– Jaja sobie pani robi?

Trzask słuchawki. Stoję oniemiała. W końcu wybieram numer ponownie.

– Policja. – Ten sam głos.

– Eeee, mówi Kalina Radecka. Proszę się nie rozłączać. Nie robię sobie jaj.

– Mam nadzieję. – Głos jest cokolwiek obrażony. – Gdzie to włamanie?

– W Kamiennym Kręgu. To taki dworek w Kamionkach, wie pan gdzie?

– No, to trzeba było od razu mówić, że w dworku, a nie wymyślać rebusy. Czy są poszkodowani?

– Tak, kucharka dostała w czambo. To znaczy w głowę.

– Czym?

– Nie wiem.

– Czy coś zginęło?

– Niestety, nie mam pojęcia. Proszę przyjechać i porozmawiać z właścicielką.

– Tutaj ja decyduję, co mam robić! Proszę się nie wtrącać!

– Ja tylko odpowiadam na pana pytania!

Rozłączam się i wracam do hallu, gdzie pani Eliza obkłada kompresem z lodu głowę biednej Nadziei.

Kucharka jęczy i usiłuje opowiedzieć, co się stało.

– Usłyszałam trzaski i wyszłam do korytarza. Nagle słyszełam łomot i coś zbiegło po schodach z góry.

– Z góry? – dziwi się właścicielka.

– Z samej góry zleciało i łup mnie w czerep! Wyłożyłam się i nie mogłam wstać, bo mi się takie mroczone przed oczami kręciły! A to to podleciało do drzwi i szarpie klamki. Ale widać nie mogło otworzyć i rzuciło czymś w okno. Szyba w drobny mak, a toto uciekło! – Nadzieja posyła pani Elizie oskarżycielskie spojrzenie. – Wejściowe drzwi zaś się zacięły! Naoliwić trza!

– Niesamowite! – Pani Eliza kręci głową z nieszczęśliwą miną. – Po co się tutaj włamywać, przecież my nic nie mamy! – Nagle przypomina sobie o mnie i patrzy pytająco: – I co z tą policją?

– Zdaje się, że już jadą – odpowiadam.

I rzeczywiście, między drzewami parku migają samochodowe reflektory, a po chwili przed dworkiem hamuje radiowóz. Z wozu wyskakuje młody jegomość z sumiastym wąsem, wygładza na sobie mundur, sięga na siedzenie pasażera po czapkę i lustruje uważnym spojrzeniem fasadę dworu. Jego poczynania śledzą dwie i pół pary oczu, jako że Nadzieja jedno oko zasłania kompresem z lodu i ściereczki.



Policjant dziarskim krokiem pokonuje schody i staje przed nami. Bez zbędnych ceregieli przechodzi do sedna.

– Komisarz Karol Broszko. Proszę wskazać miejsce dokonania przestępstwa.

– Tutaj! – Pani Eliza występuje przed szereg i zatacza ręką koło. – Tutaj zostało popełnione przestępstwo.

– Rozumiem. Doskonale. Czy ktoś został poszkodowany?

– Nadzieja. Nadzieja została uderzona w głowę.

– W tył czy przód głowy?

Pani Eliza z namysłem przygląda się kucharce, która obkłada lodem lewe oko.

– W tył. To był tył głowy. Boczny tył.

– Czyli możemy uznać, że sprawca zaatakował znienacka?

– Nie, proszę pana władzy. Ze schodów – wtrąca swoje trzy grosze Nadzieja.

– Proszę nie przerywać – prycha Karol Broszko, po czym zwraca swoje służbowe oblicze ku właścicielce dworku. Obrażona Nadzieja dla odmiany przykładła kompres do prawego oka. – Proszę kontynuować! – poleca komisarz.

– Nadzieja została uderzona, upadła i narobiła krzyku. Wtedy właśnie przybiegłam do hallu. Pani Kalina już tutaj była i ratowała biedną Nadzieję...

– No właśnie. – Sumiasty wąs zwraca się teraz ku mnie, nad wąsem błyska podejrzliwe spojrzenie. – Proszę opowiedzieć, jak to było.

Czuję, że ogarnia mnie zdenerwowanie. Jeszcze nigdy nie miałam do czynienia z policją. No, może dwa razy. Wtedy, gdy pod Wawelem oblewałyśmy z przyjaciółkami zdaną maturę, wykorzystując w tym celu domowe wino doprowadzone z piwnicy ojca Mirki. I później, gdy Patryk przekroczył dozwoloną prędkość na Zakopiance, bo myślał, że to autostrada. W obu przypadkach skończyło się na reprimendzie, choć jeśli ktoś pytałby mnie o zdanie, to akurat jemu trzeba było dosolić z pięć stów...

Podejrzewam jednak, że tym razem wpakowałam się w niezłą kabałę!

– Obudził mnie dźwięk tłuczonej szyby i huk – zaczynam niepewnie. – Później usłyszałam jęki i zesłam na dół sprawdzić, co się dzieje. Myślałam, że ktoś spadł ze schodów – tłumaczę. Drobnny szczegół, czyli to, że w przypływie stresu schowałam się pod kołdrę, przezornie zatajam. – I tyle! – kończę zadowolona, że poszło mi tak gładko.

Jak się jednak okazuje, moja odpowiedź komisarza nie satysfakcjonuje.

– Zaraz, zaraz! Ja zdecyduję, kiedy będzie „tyle” – oświadcza ważnym tonem i przewraca stronę notesu w czarnej skórzanej oprawce. Ciekawe, dlaczego tylko czyta pytania, a nie notuje odpowiedzi? Czyżby w środku miał przygotowaną ściągę, jak prowadzić przesłuchanie i o co pytać? Tłumię cisnący się na usta śmiech i posyłam mu poważne spojrzenie.

– Proszę powiedzieć, w jakim charakterze przebywa pani w dworku?

– Jestem... – zaczynam pewnie, ale szybko milknę. Jeśli powiem, że jestem malarką, która przyjechała odrestaurować fresk na galerii, okłamię policjanta, inaczej mówiąc, złożę fałszywe zeznanie. Jeśli wyznam, po co tak naprawdę tutaj przyjechałam, nie tylko zdradzę się przed właścicielką, ale jeszcze wyjdę na idiotkę, która przyjechała relaksować się w spa, które jeszcze nie istnieje. Gorączkowo analizuję swoje położenie i w końcu decyduję się na półprawdę. – Zgodziłam się namalować fresk na galerii.

– Aha, czyli artystka? – Kiwam głową. W podstawówce występowałam w Nowohuckim Centrum Kultury, więc chyba jestem artystką? – Proszę mi przypomnieć, jak się pani nazywa?

– Kalina.

– Jak to drzewo?

– Nie, jak ten krzak. – Rozeźlona pozwalam sobie na sarkazm.

– Kalina jak krzak. W porządku, a co dalej?

– Radecka. To znaczy Cieplak. Znaczą Radecka.

– To Radecka czy Cieplak? – Komisarz zsuwa czapkę na tył głowy i świdruje mnie wzrokiem. Czuję, że jestem czerwona jak burak, na szczęście w hallu panuje półmrok.

– Miałam się nazywać Cieplak, ale nie wyszło i nazywam się Radecka.

– A co nie wyszło, przepraszam?

– Małżeństwo nie wyszło. – Wzdycham i zerkam w kierunku właścicielki, czy te sensacje robią na niej jakieś wrażenie. Pani Eliza dyskretnie ociera czoło Nadziei i udaje, że nie słucha. – Dobra, zostawmy sprawy matrymonialne. Nazywam się Radecka.

– To ja zdecyduję, co będziemy zostawiać. Urodzona? – Zdradzam datę i miejsce swoich narodzin. Karol Broszko uśmiecha się pod wąsem. – Dwadzieścia siedem lat, no, no. Stara panna, co?

– Wypraszam sobie!

– Ja tutaj decyduję, co będzie wypraszane! Imiona rodziców?

– Jan i Lucyna.

– Dobrze, teraz proszę przynieść dowód osobisty. Zweryfikujemy.

Zgrzytając z irytacji zębami, ruszam w kierunku swojego pokoju, aby dostarczyć komisarzowi niezbędny dokument. Słyszę jeszcze, jak ściszym głosem prosi panią Elizę o pożyczanie długopisu, bo własny zostawił na posterunku, a musi zapisać zeznanie „tej młodej”. Pocieszające, że mimo bycia starą panną jestem „tą młodą”.



Gorzej, że nigdzie nie mogę namierzyć swojej walizki, a co za tym idzie portfela i dokumentów! Drżącymi rękoma przetrząsam pokój: wąską drewnianą szafę, wnękę pod oknem, zaglądam nawet pod łóżko. Czuję, jak ogarnia mnie coraz większe zdenerwowanie. Pamiętam, że wtaszczyłam tutaj walizkę przed kolacją. Zresztą musiałam ją mieć, skoro wydobyłam z niej piżamę, czyli krótkie spodenki ze Snoopym i rozciągniętą koszulkę na ramiączkach. Nawet odłożona na stolik nocny Bridget Jones stanowi dowód na to, że walizka była w tym pokoju!

Mój Boże. Uświadamiam sobie nagle, że ktoś zakradł się do mojego pokoju, kiedy spałam, zabrał walizkę, a następnie ogłuszył biedną Nadzieję! Ale dlaczego?

Ostatni raz ogarniam spojrzeniem wnętrze pokoju i spieszę do komisarza Broszko, aby donieść o kradzieży walizki! Policjant mierzy mnie nieprzychylnym spojrzeniem.

– Twierdzi pani, że dokumenty, które miały potwierdzić pani tożsamość, znajdowały się w walizce, która została skradziona?

– Tak jest. – Kiwam głową.

– Bardzo wygodne, nie uważa pani?

– Proszę?!

– Mówię, że to bardzo dziwne, że dokumenty zaginęły akurat w tej chwili. Nie możemy potwierdzić, kim pani naprawdę jest! Być może pani przybycie do dworku wcale nie jest dziełem przypadku? Być może zjawiała się pani tutaj, aby napaść na Nadzieję i obrabować posiadłość?

– Panie Karolu! – Widząc moją minę, właścicielka decyduje się interweniować. – Co za historie pan opowiada? Oczywiście, że przyjazd pani Kaliny nie jest dziełem przypadku! Zaprosiłam ją!

– Być może, być może. Wszystko zweryfikujemy! Teraz skupmy się na dochodzeniu. Odkryjemy, jak naprawdę było! Być może... – zwraca się do mnie. – Pani sądzi, że policja z maleńkiego posterunku nie potrafi przeprowadzić dochodzenia, ale zapewniam panią, że jest w błędzie. Jaką drogą sprawca wszedł do domu?

– Najpewniej przez drzwi. – Pani Eliza robi skruszoną minę. – Nie zamykamy ich na noc...

– Na miłość boską, pani Elizo. – Komisarz kręci głową zniechęcony. – Panie same prosiły się o nieszczęście! Rozumiem, że złodziej opuścił dom tą samą drogą?

– Wybił szybę i wyskoczył przez okno. – Wskazuje pani Eliza.

– Dlaczego, skoro drzwi były otwarte?

– One się czasem zacinają... Szczególnie, gdy naciska się klamkę od środka.

– Czym wybił szybę?

– Nie wiemy.

– Zobaczmy. Panie tutaj zostaną, aby nie zatrzeć śladów.

Spoglądamy na siebie nieco skołowane, ale posłusznie siadamy na schodach i czekamy, aż Karol Broszko zakończy oględziny. Po chwili zjawia się i demonstruje nam obleczoną w lateksową rękawiczkę dłoń, a na niej kilka okruchów szkła.

– Kiedy panie przyjrzą się dokładnie, dostrzegą na szkle strzępy jasnego materiału. Czy pani walizka była jasna? – zwraca się do mnie.

– Tak, była beżowa – odpowiadam.

– Sprawca nie mógł opuścić domu wejściem głównym, więc wybił szybę, rzucając w nią walizką i zbiegł przez uzyskaną szczelinę. Czy zgadzają się panie ze mną?

Potwierdzają to trzy skinienia głową i pełne podziwu spojrzenia dwóch i pół pary oczu.

– Drogie panie, obawiam się, że to poważna sprawa. Będę zmuszony wezwać posiłki.

– Posiłki? – Pani Eliza wytrzeszcza oczy.

– Tak, droga pani. Wszystko wskazuje, że to sprawa dużego kalibru.



Po burzliwej i nieprzespanej nocy przychodzi słoneczny, ciepły poranek. Pani Eliza decyduje, że śniadanie zjemy w ogrodzie i każe nakryć niewielki stolik na wypielęgnowanym, zielonym trawniku. Rozpieram się na krześle i cieszę oko otaczającą mnie przyrodą. Być może sam dworek nie wywarł na mnie wielkiego wrażenia, ale trzeba przyznać, że park jest piękny! Podobnie jak cudowna okolica, dla której posunęłam się do kłamstwa!

Na samą myśl o tym markotnieję, co nie uchodzi uwadze właścicielki. Odstawia dzbanek, z którego właśnie nalewa kawę do małych filiżanek i ściska moją dłoń.

– Nic się nie bój, Kalinko! – Po nocnych perypetiach stwierdziła, że będzie się do mnie zwracała po imieniu, a swoją decyzję przypieczętowała rozlaniem orzechówki do trzech mikroskopijnych kieliszków.

– Zobaczysz, że wszystko się wyjaśni i odzyskasz swoje rzeczy.

– Nie boję się. – Uśmiecham się lekko.

– To całe włamanie nie ma najmniejszego sensu! – duma tymczasem pani Eliza, mocząc usta w parującej kawie. – Gdyby miało miejsce za dwa, trzy dni, to zupełnie co innego.

– Dlaczego pani tak mówi?

– Zdradzę ci mały sekret. – Uśmiecha się. – Ten dworek należał do brata mojego dziadka ze strony matki. To był piękny majątek, pola, lasy, park, sam dom także był piękny. – Pani Eliza spogląda na szare mury smutnym wzrokiem. – Niestety, po wojnie wszystko przejęło państwo, tak to wtedy bywało. Dworek

miał dużo szczęścia, przynajmniej nie urządzono w nim zagrody dla PGR-owskich krów, niemniej niszczał latami. Kiedy przyjechaliśmy tutaj pod koniec lat dziewięćdziesiątych: ja, moja siostra i matka – dom był ruiną. Na galerii rozrosła się jarzębina, dasz wiarę? Matka popłakała się, kiedy to zobaczyła. Pamiętała ten dwór jeszcze sprzed wojny, długi podjazd wśród drzew, kamienne schody z rzeźbioną balustradą, fontannę na tyłach domu. Obiecałyśmy jej z siostrą, że zrobimy wszystko, by majątek wrócił do rodziny. Poświęciłyśmy na to mnóstwo czasu i jeszcze więcej pieniędzy. Niestety, mama nie dożyła tej chwili. Została pochowana na cmentarzu w Kamionkach.

– Bardzo mi przykro. – Słuchając jej opowieści, poczułam dreszcze, gdy oczyma wyobraźni zobaczyłam ten dwór sprzed prawie stu lat i przyjęcia w ogrodzie...

– Niestety, taka kolej rzeczy. – Wzrusza ramionami pani Eliza, ale widzę, że wspomnienie matki i jej marzenia są dla niej przykre. – Postanowiłyśmy z siostrą, że przywrócimy temu miejscu dawne piękno, ale sama widzisz, że to ogromna i kosztowna inwestycja. Byłyśmy zmuszone połączyć przyjemne z pożytecznym i sprawić, by dworek sam zaczął na siebie zarabiać. Stąd pomysł, by powstał tutaj luksusowy pensjonat połączony ze spa, być może kiedyś ze stadniną koni... Jak za dawnych lat. Moja siostra to światowa dama i zna się na tych wszystkich pierdółkach i maseczkach. Zapisała się na specjalny kurs. No i kupiła dwie kozy, żeby fundować gościom kąpiele w kozim mleku... Póki co mamy ser na śniadanie. Chcesz trochę?

– I co dalej? – drażę zaciekawiona. – Przecież nikt się tutaj nie włamał, by uprowadzić kozę?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale widzisz, porządkując strych, natrafiłyśmy na skarb!

– O matko! – Czuję, że od tych rewelacji kręci mi się w głowie. – Prawdziwy skarb?

– Prawdziwy, najprawdziwszy! Portret stryjecznego dziadka namalowany przez słynnego artystę malarza. Ja się na tych artystach nie znam, nawet nazwiska nie zapamiętałam, ale ty jako malarka na pewno docenisz geniusza!

– Och, z pewnością. – Czerwienieję jak piwonia pod płotem i szybko zmieniam temat. – Myśli pani, że włamywaczowi chodziło o obraz? Czy jest bardzo cenny?

– Podobno to ostatnie przedśmiertne dzieło artysty i może być warte nawet i ze trzy miliardy. Stare, oczywiście.

– Oczywiście! – zgadzam się, czując, że brakuje mi tchu. W co ja się znowu wpakowałam?

– Niestety, obraz był bardzo zniszczony, więc moja siostra zawiozła go do renowacji. I właśnie za dwa, trzy dni powinni być z powrotem. Stryjeczny dziadek zawiśnie na galerii i stanie się największą atrakcją tego dworu! A zaraz po nim twój fresk! – Pani Eliza niemal podskakuje z radości.

– Przyciągniecie więc nie tylko miłośniczki maseczek, ale i pasjonatów sztuki. Gratuluję pomysłowi!

– Och, to pomysł mojej siostry. Ja zupełnie nie mam głowy do biznesów. Najlepiej czuję się, pieląc grządki i przycinając krzewy. To moja pasja. Za to moja siostra kocha te wszystkie nowinki. Wiesz, że nawet zamieściła w Internecie naszą ofertę? Można nas kupić w postaci vouchera czy jakiegoś innego diabelstwa. Szczerze mówiąc, przyprawia mnie to wszystko o dreszcze, ale nie zdołałam jej tego wyperswadować. Podobno nasza oferta cieszy się wielkim zainteresowaniem...

– Naprawdę?!

– Oczywiście, kiedy ludzie dzwonią, Liliana dokonuje rezerwacji na przyszły rok, mówiąc, że jesteśmy tak oblegani, że nie ma wolnych terminów! Uzyskane pieniądze od razu inwestujemy, to niemal jak kredyt w banku, tyle że bez odsetek. Sprytnie, prawda?

– Bardzo sprytnie! – Czuję, że jeszcze chwila i wyznam tej miłej kobiecie, jak bardzo ją oszukałam, że w walizce trzymam wykupiony voucher do spa, którego jeszcze nie ma, a jedyne malowanie, jakie uznaję, to makijaż twarzy i to zupełnie nieprofesjonalny.

Zaraz, zaraz! Przecież moja walizka została skradziona, a wraz z nią przepadł jedyny dowód mojej winy! Jakby czytając w moich myślach, pani Eliza przybiera smutną minę.

– Oj, dziecko! Ja ci tu o biznesach opowiadam, a ty pewnie w walizce wszystkie akcesoria miałaś? I czym teraz będziesz malować?

Robię nieszczęśliwą minę i wzdycham głęboko.

– Nie martw się, Kalinko. Zadzwoń do Lili i każ jej kupić wszystko, czego potrzebujesz! A przez te dwa dni odpoczniesz sobie, poopalasz się. Ten złodziej pewnie myślał, że miastowa, bogata panienska przyjechała i połakomił się na twoje rzeczy! Ale nasz komisarz złapie łotra, przecież posiłki wezwał. A jeśli już o posiłku mowa, chcesz tego koziego serka?



Po śniadaniu pani Eliza odpływa do swoich rabatek, a ja decyduję się obejść posiadłość i obejrzeć dworek i otaczający go park. Najwyższa pora udać się także na galerię i zmierzyć nieprofesjonalnym okiem fresk, po którym wkrótce mam maziać pędzlem.

Maziać, dobrze powiedziane!

Właśnie wspinam się po stromych schodach, gdy w kieszeni moich szortów odzywa się komórka. Muzyczka z czołówki Smerfów sugeruje, że dzwoni Iwa. Z pewnością zżera ją ciekawość, o zazdrości już nawet nie wspominając. Opieram łokcie o parapet okna, z którego roztacza się widok na rzekę i wciskam zieloną słuchawkę.

– Czego chcesz, kobieto? – witam ją radosnym pytaniem. – Dlaczego przerywasz mi relaks i zmuszasz do wyjścia z kąpieli błotnej?

– Och, przepraszam panią bardzo. – Ton Iwy brzmi na cokolwiek obrażony. – Nie wiedziałam, że pani grafik jest aż tak napięty! Co będzie następne? Smaganie wierzbowymi witkami po gołej pupie? A może łydźki selera jako główny posiłek dnia?

– Posiłek już był. A witki przemyślę, obiecuję. Z pewnością po kuracji witkowej zniknie mój cały cellulit!

– Taaak, cellulit i cała reszta skóry razem z nim. Ty się nie natrzęsaj, ja w poważnej sprawie dzwonię! Byłam wczoraj u twojej matki!

– Ojej, brzmi groźnie! Co tym razem nawywijała? Opalała się topless na balkonie?

– Głupia jesteś! Twoja matka spisała się na medal.

– No, to teraz naprawdę zaczynam się bać. Co się dzieje?

Iwa streszcza mi rozmowę z moją matką. Jak się okazuje, do drzwi mieszkania rodziców zastukał nie kto inny, ale mój własny niewierny Casanova. Rodzicielka miała wielką ochotę spuścić go na łeb na szyję po schodach, ale nie mogła, bo wszystko beczelnie obserwowała sąsiadka z naprzeciwka. Ograniczyła się więc tylko do kilku „kulturalnych epitetów” i wymachu prawą nogą. W wyniku tego ostatniego domowy pantofel uderzył Casanovę w jego... organ.

– Cóż, rzeczywiście matka zachowała się na poziomie! – stwierdzam uradowana obrazem bliskiego

spotkania trzeciego stopnia, jakie nastąpiło między pantoflem mojej matki a klejnotami eksnarzeczonego.

– Ale czego ten ku... tafon chciał? Chyba nie przyszedł się pogodzić?

– Skąd! Pod blokiem czekała na niego ciężarna Jolka. Powiedział twojej matce, że koniecznie musi zajrzeć do twojego pokoju, bo masz coś, co należy do niego.

– Ale co? – pytam zaintrygowana.

– No i właśnie tutaj jest pies pogrzebany! Przyszedł po awizo. A kiedy twoja matka go wyśmiała i powiedziała, że list był adresowany do ciebie i już go odebrałaś, zażądał wydania vouchera, bo tobie się nie należy!

– Co?! Mnie się nie należy? – Czuję, jak wszystko we mnie zaczyna się gotować z wściekłości. – Ma tupet twierdzić, że mi się nie należy? Za to, co mnie spotkało z jego strony, dobre Seszele mi się należą! Niech się cieszy, kuta fon jeden, że zadowoliliam się wioską, o której nie słyszał nawet urząd statystyczny! Jemu, jemu się nie należy nawet kozi bobek, niech nie myśli, że się będzie w mleku wylegiwał. Co za palant!

– No, palant z pierwszego tłoczenia, ale ty mi powiedz lepiej, co on ma z tym voucherem? Czy to spa jest aż tak luksusowe, że mu żal dupsko ściska?

Rzeczywiście, to dosyć dziwne. Nawet jeśli Casanova wypatrzył spa w Internecie, to dworek nie prezentuje się zbyt zachęcająco. Wątpię, by siostra pani Elizy kusila gości ekskluzywną wanną z hydromasażem i sauną, bo takich luksusów tutaj po prostu jeszcze nie ma. A znam swojego byłego niedoszłego na tyle, by wiedzieć, że półdziki park i widok na łąkę żółtego piasku nad rzeką nie wzbudziły drżenia jego serca. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi na myśl to to, że oboje z Jolką chcą mi zrobić na złość i pozbawić ostatniej przyjemności. Po moim trupie!

Iwa przywołuje mnie do porządku i dopytuje o kąpiele, masażę i maseczki. I basen. Staram się nie naginać prawdy i dyplomatycznie wybrnąć z kłopotliwego pytania:

– To naprawdę piękne miejsce, ale nie jest jakieś bardzo luksusowe. Stary dworek wśród drzew, zabytkowe wnętrza, boskie widoki, bardzo sympatyczna obsługa i swojskie jedzenie. Mleko od prawdziwej kozy. No, sama nie wiem, co ci mam jeszcze powiedzieć...

– No, jak to co? Rozpieszczasz się czy nie?

– W sumie to jeszcze nie – przyznaję skruszona. – Wyobraź sobie, że minionej nocy mieliśmy włamanie. Wszystko stanęło na głowie.

– Włamanie? Mój Boże! Gdzieś ty wylądowała! – Niemal widzę Iwę przed oczyma, jak czyni znak krzyża na obfitej piersi. – Zabieraj się stamtąd i to szybko!

– Nigdzie się nie wybieram! – Śmieję się. – Tutaj jest cudownie! Zostanę, ile się tylko da, ale musisz mi pomóc!

– No, dawaj! Możesz mnie nawet prosić, bym przyjechała i osłaniała cię własną piersią. Zjawię się jeszcze dzisiaj!

– Musisz mi coś wysłać. Paczką priorytetową, a najlepiej ekspresową!

– Co takiego?

– Nic wielkiego, kilka par majtek, staniki, jakieś szorty i bluzki. I sukienkę. Musisz zabrać z mojej szafy, tylko się, broń Boże, nie wygadaj mojej matce. Powiedz, że pożyczyłam od ciebie sukienkę i musisz ją pilnie odzyskać.

– No, ale po co ci to? Zabrałaś tak wypchaną walizkę, że nie mogłaś jej dopiąć!

– Okradli mnie. Zostałam o jednej zmianie odzieży, pizamie i książce z biblioteki.

– Jak to cię okradli?!

– No, przecież ci mówię, że w nocy było włamanie. Zapisz adres. Musisz wysłać paczkę jeszcze dziś.

Nie mogę chodzić w tym samym ubraniu przez tydzień!

Upewniam się, że skołowana Iwa zapisała zamiary na dworek. Nie znam dokładnego adresu, ale Kamionki są tak małe, że listonosz bez problemu powinien odnaleźć mnie tutaj. Nie mają tu chyba wielu takich posiadłości?

Przypominam sobie o fresku i rzucając ostatnie tęskne spojrzenie za okno, ruszam w głąb galerii. Byłam tutaj wraz z panią Elizą zaraz po przyjeździe, ale nie poświęciłam nieszczęsnemu malowidłu zbyt wiele uwagi. Teraz mierzę je spojrzeniem i wzdycham z ulgą. Nie wygląda na skomplikowane!

Scena na fresku to obraz kipieli wodnej, z której wyłania się rusałka czy inna nimfa. Pani Eliza chce, by pokryć obraz świeżymi farbami i nadać mu głębszych kolorów. Mówi, że w takiej bladej postaci jest niemal niewidoczny. Chciałaby także, żebym gdzieś domalowała cembrowinę studni. Ma to być nawiązanie do nazwy dworku: Kamienny Krąg. Jestem pewna, że dam radę! Cóż to domalować kilka kamieni i maziać pędzlem po tym, co już jest namalowane? Prawie jak kolorowanie obrazków w przedszkolu! Łatwizna!



Uspokojona schodzę do hallu. Jak się okazuje, w samą porę, bo Nadzieja biega po parterze niezwykle zaaferowana i nawołuje malarkę. Uświadamiam sobie, że przecież chodzi o mnie i truchtem ruszam za rzutką kucharką, dopytując, co się dzieje. Okazuje się, że przyjechał Stary Jan z poleceniem, by niezwłocznie odwieźć mnie na posterunek.

Oblewa mnie zimny pot.

Mój Boże, komisarz Broszko z pewnością odkrył moją prawdziwą tożsamość, a co gorsza, nie porzucił swoich mrzonek, że to ja napadłam na biedną Nadzieję! A jeśli posyła po mnie, żeby dokonać aresztowania? Co ja biedna zrobię w areszcie i to jeszcze w nieświeżych ciuchach? Czy dostarczą mi paczkę od Iwy?

Mimo natłoku myśli przybieram dzielną minę, poprawiam włosy i ruszam w kierunku zaparkowanej na podjeździe furmanki. Dobiega mnie jeszcze stanowczy krzyk Nadziei.

– Tylko, żeby na obiad nie spóźniła się, bo odgrzewać nie będę.

Gramolę się na drabiniasty wóz i staram się przycupnąć obok worka z paszą. Stary Jan obserwuje moje zmagania spod zmarszczonych brwi. W kąciку uchylonych ust trzyma mocno sfatygowanego papierosa. Nagle cmoka i donośnie woła:

– Jazda, Romeo! Wiśta wio!

Przezornie łapię się szczebli wozu i pozwalam mojemu ciału kołysać się wraz z chybotliwym wozem. Kiedy mijamy bramę, uświadamiam sobie, że chyba się przesłyszałam.

– Przepraszam panie Stary Janie, ale czy mogę o coś zapytać?

– Pewni!

– Czy ten koń naprawdę ma na imię Romeo?

– Nie inaczej, panienko.

– Ale... dlaczego?

– A co to kuniowi nie wolno być romantykiem?

– No chyba wolno – zgadzam się po chwili namysłu.

Stary Jan obraca się w moją stronę i przez chwilę mierzy mnie spojrzeniem, po czym jego poraną zmarszczkami twarz rozjaśnia uśmiech. Klepie zachęcająco miejsce obok siebie i zaprasza, bym zajęła ławeczkę. Ponieważ specjalnie dla mnie zatrzymuje furmankę, ostrożnie przechodzę na przód wozu i siadam u jego boku – chociaż najchętniej położyłabym się na płasko, przywierając brzuchem do zakurzonych desek. Staram się nie patrzeć pod końskie kopyta ani w miejsce, skąd właśnie wylatuje wyprodukowany przez Romea nawóz. Siedzę wyprostowana jak struna, dłonie zaciskam na ławeczce tak mocno, że aż kostki bieleją.

– Najlepszy pod ogórki! – Stary Jan wyszczerza zęby, wskazując końską kupę.

– Z pewnością. – Kiwam głową. Nie wiedzieć czemu przez myśl przemyka mi, że w Krakowie musiałyby po swoim koniu posprzątać, tak jak Iwa po psie. Tylko skąd wzięłoby taki duży worek? No, chyba że reklamówkę z supermarketu! Tutaj wszystko wydaje się prostsze.

Aby odwrócić uwagę od nawozu, na powrót podejmuję temat Romea.

– Mówi pan Stary Jan, że ten koń jest romantykiem?

– A pewni!

– A czym objawia się jego romantyzm?

– To grubsza sprawa, panienko. To taki kuń, co kwiotki zrywa na podwórzu. A i film miłosny lubi obejrzyć w telewizji.

– Film? Ale jakim cudem? – Śmieję się, wyobrażając sobie Romea rozpartego w fotelu i podjadającego chipsy owsiane.

– A no, normalni. Jak idzie film w telewizji, podchodzi do okna i wsadzo łeb do izby. I patrzy. Jak się mu podoba, to rzy i łebem trzepie.

– O matko! – Czuję, że za chwilę posiusiam się ze śmiechu. W tej samej chwili Romeo odwraca ku mnie łeb i radośnie podrzuca grzywą. – Komedia chyba też lubi?

– Tyż lubi. Ale troszki mniej – przyznaje Stary Jan.



Tymczasem wjeżdżamy do centrum wsi, czyli miejsca, gdzie niepozorne domy gniotą się przy dwóch uliczkach. Stary Jan zatrzymuje się przed sklepem samoobsługowym i pomaga mi zsiąść z wozu. Wskazuje mi budynek posterunku, a sam decyduje się poczekać pod sklepem, bo jak mówi, „kuniowi zaschło w gardle”. Żegnam się z nim i z duszą na ramieniu ruszam w kierunku siedziby policji. Jeszcze nigdy nie byłam w takim miejscu i czuję wielkie zdenerwowanie. Poważnie myślę o tym, żeby rzucić wszystko w diabły i dać nogę. Poprosić Starego Jana, by zawiózł mnie na krzyżówkę i wrócić do domu. Jednak przypominam sobie, że w kieszeni mam trzy czterdzieści. Nie kupię za to litrowej coli, a co dopiero mówić o podróży do Krakowa...

Wkraczam na posterunek z niepewną miną i pierwszą rzeczą, jaka rzuca mi się w oczy, jest moja własna walizka. A raczej to, co z mojej walizki zostało...

Karol Broszko wychodzi zza biurka, zapina guzik munduru i podaje mi rękę.

- Witam, pani Cieplak.
- Radecka – prostuję.
- Proszę?
- Nazywam się Radecka.
- A tak, rzeczywiście, przepraszam. Stara panna, pamiętam.
- Nie jestem..
- W porządku, spokojnie. Wezwałem panią, ponieważ musi pani uzupełnić zeznanie.
- Przecież ja już wszystko powiedziałam!
- To ja zdecyduję, czy pani powiedziała już wszystko. Proszę usiąść. Napije się pani wody?
- Poproszę. – Od zapachu Romea nieco zaschło mi w gardle. Siadam za biurkiem, starając się nie poruszyć leżącej na nim walizki. Broszko przynosi szklanekę wody i stawia ją przede mną na biurku, następnie wskazuje rozbebeszoną walizkę.
- Czy rozpoznaje pani ten przedmiot?
- Tak.
- Czy z całą pewnością jest pani przekonana, że ta walizka należy do pani?
- Przecież mówię.
- Proszę odpowiadać na pytania!
- Tak!
- Walizka została znaleziona w pobliskim zagajniku. Ubrania i przedmioty osobistego użytku leżały rozrzucone naokoło. Co pani miała w tej walizce?
- Ubrania i przedmioty osobistego użytku. – Zgrzytam zębami.
- No przecież wiem. Pytam, co pani miała w niej ponadto!
- Portfel i dokumenty.
- Portfel i dokumenty także odnaleziono. Pytam, co jeszcze tam było?
- Nic więcej!
- Musiało coś być, skoro włamywacz zadał sobie tyle trudu, by to zdobyć. Przypominam, że posunął się do napaści!
- Ale tam naprawdę nic nie było. – Czuję, że za moment się rozpłaczę.
- Ach więc to tak? Nie chce pani współpracować z policją?
- Ależ chcę! – zapewniam z całą mocą.
- Proszę przejrzeć rzeczy w walizce i sprawdzić, czego brakuje.
- Bez entuzjazmu przerzucam swoje łaszki. Iwa miała rację, napakowałam tego zdecydowanie zbyt wiele. Ubrania są brudne i pomięte, ale cieszę się, że je widzę. Do niektórych rzeczy jestem bardzo przywiązana! Przesuwam błękitną sukienkę i staram się upchnąć pod nią czerwone stringi. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zabrać ze sobą komplet, który przygotowałam na noc poślubną. Niemniej pocieszające jest to, że moja bielizna jest na miejscu w walizce, a nie w rękach złodzieja – erotomana.
- Karol Broszko śledzi moje ruchy bystrym spojrzeniem. Sięgam do bocznej kieszeni i wydobywam portmonetkę i dokumenty. Podsuwam kawałek plastiku pod nos policjanta, ale ten zbywa mnie machnięciem ręki.
- Już sprawdziłem pani tożsamość – obwieszcza.
- I co? – Otwieram szeroko oczy.

– I nic. Nazywa się pani Radecka. Kalina, jak krzak!

Pomijam tę uwagę milczeniem, gdyż kolejny stukilogramowy głaz spada mi z serca. Najwyraźniej komisarz sprawdził moje nazwisko, ale profesji nie poświęcił uwagi. Inaczej wiedziałby, że nie jestem artystką malarką, ale zwykłą bibliotekarką, która od września będzie układać na regałach książki, wypisywać karty czytelników i ściągać zbyt długo przetrzymywane lektury.

Zapinam walizkę i zdejmuję ją z biurka, ustawiając przy lewej nodze. Karol Broszko protestuje.

– Co pani wyprawia?

– Zabieram swoje rzeczy!

– W żadnym wypadku! Przecież to dowód w sprawie!

– Jakiej sprawie? – dziwię się. – Przecież nic nie zginęło!

– Ale ucierpiała kucharka!

– Ale nie została uderzona moją walizką! A ja potrzebuję rzeczy na zmianę!

– Wobec tego proszę je sobie kupić!

– Gdzie? W supersamie?

– Nie wiem. – Komisarz wzrusza ramionami – Ale wiem, że walizki wydać nie mogę. To dowód, na którym zostały zabezpieczone odciski palców!

– Czyje?!

– A skąd ja mam wiedzieć czyje?

Powoli tracę cierpliwość. Rzucam się na szklanekę wody i wypijam płyn do dna. Potem wzdycham dość teatralnie i posyłam komisarzowi wściekłe spojrzenie.

– To co ja mam teraz zrobić?

– Proszę wrócić do dworku i czekać na rozwiązanie sprawy. Sprawca zostanie ujęty i odzyska pani swoje rzeczy. Dziękuję za przybycie, jest pani wolna. – Podkręca wąsa i rzuca mi uwodzicielskie spojrzenie. – Ja wiem, że tak światowa kobieta jak pani może się w naszych Kamionkach nudzić, ale musi pani wiedzieć, że mamy tutaj bardzo przytulną restaurację. Gdyby pani zechciała, to ja chętnie...

– Dziękuję – przerywam mu prędko, zrywając się z miejsca i niemal biegnąc w stronę wyjścia. – Niestety, jestem bardzo zajęta. Nie przyjechałam tutaj, aby szukać towarzystwa, ale żeby pracować. Ciężko pracować! – Czuję, jak zdradliwy rumieniec barwi moje policzki.

– Proszę to przemyśleć. – Karol Broszko uśmiecha się pobłaźliwie, uderzając o otwartą dłoń moim dowodem osobistym. Zerka przelotnie na dokument. – Latka lecą, a męża nie widać!



Wybiegam na ulicę, złorzecząc pod nosem i wpadam na Szparkę. Dziewczyna siedzi na niskim murku okalającym posterunek i osłania oczy przed słońcem. Uśmiecha się szeroko, odsłaniając imponującą przerwę między zębami.

– Słyszałam, że ukradli jej galoty! – Wita mnie perlistym śmiechem. Jej wesołość jest zaraźliwa. Siadam obok niej na murku i wystawiam twarz do słońca.

– Owszem. A ten palant... – Wskazuję kciukiem za siebie. – Nie chce mi ich oddać. I co mam teraz zrobić?

– Niech się nie martwi. Coś wymyślimy.

Podsuwa mi materiałową torbę z zielonego płótna. Z identyczną moja matka chodzi na zakupy. W torbie Szparki nie ma jednak zakupów, ale zawiniątko, a w nim kilka sztuk odzieży: długa zwiewna spódnica w kwiaty i kilka podkoszulków w żywych kolorach. Jest nawet bielizna. Mam ochotę wyściskać tę dziewczynę!

– Zawsze trzeba mieć pod ręką nowe zapasowe majtki! – Śmieje się tymczasem Szparka, zeskakując z murku. – Na wypadek wypadku!

– Albo włamania – dodaję.

– Albo włamania. Idzie do dworku?

– Kto? – Szybko się reflektuję. – A, ja? A co ze Starym Janem?

– Poszedł na oranżadę. Przed wieczorem nie wróci. – Kręci głową dziewczyna.

– No to szkoda na niego czekać – wzdycham rozczarowana, bo nie uśmiecha mi się spacer w tym upale, a z Romeem i jego furmanką zdążyłam się już oswoić.

– No to chodźmy! – Podekscytowana Szparka niemal podskakuje w miejscu. – Odprowadzę ją do dworku. Może Nadzieja placek upiekła?

– Chodźmy! – Zarzucam na ramię zieloną torbę i ruszam za swoją towarzyszką, rozglądając się na boki i chłonąc atmosferę niewielkiej osady.

Czuję się, jakbym wyruszyła w podróż w czasie i cofnęła się o jakieś pięćdziesiąt lat, choć przeczy temu kolorowy afisz przed supermarketem i nieliczne anteny satelitarne połyskujące na dachach. Przed mijaną posesją parkuje luksusowy samochód, a oparty o drzwiczki mężczyzna rozmawia przez telefon komórkowy, odprowadzając nas wzrokiem. I mężczyzna, i samochód, a nawet niewielki supermarket wydają się zupełnie nie pasować do tego sielskiego krajobrazu, gdzie zza drewnianych sztachet płotu wyzierają kolorowe główki kwiatów, a na skrzyżowaniu stoi maryjna kapliczka z powiewającymi na wietrze wstążkami. Ja sama wydaję się tutaj nie pasować, wyróżniam się krótkimi szortami i sandałkami z Deichmanna. Tylko krocząca obok mnie dziewczyna wpasowuje się w ten obraz, jakby była jego częścią. A wraz z nią falująca przy kostkach spódnica i wiklinowy koszyk.

Wędrujemy przez wieś, a usta Szparki nie zamykają się nawet na króciutką chwilę. Opowiada o mijanych budynkach i bez skrępowania przytacza historie napotkanych ludzi. Niektórzy uśmiechają się do nas przyjaźnie, inni kiwają głowami z daleka, jeszcze inni podejrzliwie zerkają zza płotów. Czuję się jak jakieś dziwadło na wybiegu i w końcu mówię o tym swojej towarzyszce.

– To dlatego, że policja ją o napad podejrzewała! – Śmieje się dziewczyna.

– Mnie?! – Rozglądam się płochliwie na boki. – Przecież to moją walizkę skradziono!

– Ale jest jedyna obca we wsi, to kogo mają podejrzewać? Ja tam wiem, że jest niewinna. Dobrze jej z oczu patrzy.

– Dzięki – mruczę pod nosem. Staram się przybrać pogodny wyraz twarzy, ale duszę się z wściekłości. Gdybym dorwała w swoje ręce niewydarzonego komisarza, skręciłabym mu kark. Niby taki miłutki, przytulne restauracje oferuje, a za plecami robi ze mnie kryminalistkę? I dlaczego właściwie nie utrzymuje szczegółów śledztwa w tajemnicy, ale trąbi o nich na prawo i lewo?

Nagle paraliżuje mnie nieprzyjemna myśl.

Może komisarz Karol Broszko wcale nie docenił mojej wysublimowanej urody, ale chciał się ze mną umówić, by pociągnąć mnie za język?

Choć nie przejawiam najmniejszej ochoty na randkę z wąsatym stróżem prawa, czuję, że resztką

dobrego nastroju uchodzi ze mnie jak powietrze z przebitej piłki. Co innego przecież być adorowaną damą z wielkiego miasta, a co innego pospolitą przestępczynią. Potencjalną oczywiście.



Dochodzimy właśnie do bramy parku, kiedy zauważam pędzącą nam naprzeciw Nadzieję, choć słowo „pędzić” zupełnie do niej nie pasuje. Nadzieja wydaje się żywą reklamą swojej kuchni, która z pewnością do dietetycznych nie należy. Jest okrągła i biegnąc, kołysze się na boki. Tuż za nią powiewają wstążki sztywno wykrochmalonego fartucha i uwolnione z koczka włosy.

– Niestety, panienko! – dobywa się z jej sapiącego wnętrza, gdy w końcu do nas dobiega i opiera strudzone ciało o ramię Szparki. – Straszne nieszczęście!

Czuję, jak na moim karku podnoszą się włoski i oblewa mnie zimny pot. Zapominam o nieszczerej propozycji matrymonialnej i podejrzeniach komisarza. Zapominam nawet, że nie jestem tą, za którą się podaję. Kucharka wygląda, jakby zobaczyła ducha. Musiało zatem wydarzyć się coś naprawdę okropnego. Muszę dowiedzieć się co i to natychmiast!

– Co się stało? Kolejne włamanie?

– Gorzy! Panienko, gorzy! Goście zjechały!

– Jacy goście?!

– Do dworku goście zjechały. Na noclegi czy na relaksy jakieś. Nie zrozumiałam, bo tak śmiesznie gadają. Z Warszawy przyjechali albo skądś! Pani Eliza w popłoch wpadła i mówi: leć na policję. Myślałam, że każe ich aresztować, ale ona mi mówi: po Kalinkę leć na policję. To leciałam.

Dopiero teraz dociera do mnie, co się dzieje. W dworku pojawili się niespodziewani goście, na których przyjazd pani Eliza nie była przygotowana. Czuję się w obowiązku pomóc tej sympatycznej kobiecie, która oferowała mi pracę. I to nawet nie sprawdzając dokumentów!

Spieszmy więc do dworku. Po hallu kręci się zdenerwowana właścicielka. Na mój widok jej twarz rozjaśnia wyraz ulgi, podbiega i ściska mi dłonie.

– Nie mam pojęcia, jak do tego doszło! Do tej pory Liliana anulowała wszystkie rezerwacje i nikt nigdy nie przyjechał. Pomóż mi, Kalinko, co mam zrobić z tymi wszystkimi ludźmi?

– Trzeba im wytłumaczyć, że to pomyłka i że spa jeszcze nie funkcjonuje!

– Próbowałam, ale do nich nic nie dociera. Twierdzą, że wykupili dwutygodniowy turnus i nie mają najmniejszego zamiaru rezygnować. A jeśli nie zostaną obsłużeni, zamieszczą tak niepochlebne opinie w Internecie, że więcej tu ludzka noga nie postanie! – Pani Eliza gorączkuje się tak mocno, że aż czerwienieje jak indyk. – A! I że jeszcze nas do sądu podadzą! O odszkodowanie!

– Bez przesady! – Śmieję się, ale widząc jej nieszczęśliwą minę, przybieram poważny wyraz twarzy. – No to co z nimi robimy?

– Nie mam bladego pojęcia. – Rozkłada ręce bezradnie. – Tłumaczyłam ci, że ja się na tych luksusach w ogóle nie znam.

– Ilu ich jest?

– Czwororo. Dwie pary pod siedemdziesiątkę. Zaprowadziłam ich do pokojów, na szczęście te miałyśmy przygotowane już od dawna. Kazałam siedzieć, odpoczywać i czekać. I powiedziałam, że przyjdzie po nich moja asystentka – recytuje zadowolona z siebie pani Eliza.

– Pani asystentka? No to problem mamy z głowy, niech się nimi zajmie.

– No nie do końca z głowy. – Pani Eliza robi skruszoną minę. – Miałam na myśli ciebie.

– Mnie? Ale ja się nie znam na spa! – Zbaraniała opadam na to, co akurat jest w zasięgu, czyli na najniższy stopień schodów.

– No to jest nas już dwie. – Wzdycha i siada obok mnie, opierając łokcie na kolanach. – Po co ja się dałam Lilianie w to całe spa wmanewrować? Trzeba było agroturystykę otworzyć – skarży się płaczącym tonem pani Eliza.

– Trzeba było. – Kiwam głową.

– Ale Lila marudziła, że to już przeżytek, że teraz ludzie nie chcą jeździć na wieś, krowy oglądać. Że szukają luksusów i odnowy biologicznej. I sztuki – dodała z westchnieniem. – A gdzie tam portretowi stryjecznego dziadka do krowich wymion?

– Też racja – zgadzam się ponownie.

– I co my teraz z tymi ludźmi zrobimy?

– Nie wiem!

– Siedzą i beczą, a sprawa jest prosta! – rozlega się nagle głos Szparki. – Najpierw trzeba im jeść dać i do parku wypuścić. Niech se położą. A potem się coś wymyśli.

Patrzymy na dziewczynę z niemym podziwem w oczach. Pani Eliza zrywa się z nowym entuzjazmem, jej oczy błyszczą. Całuje oniemiałą Szparkę w obydwie rumiane policzki i łapie mnie za rękę.

– Musimy opracować plan! – krzyczy.

Nie wiem, co to znaczy, ale już się boję. Ostatni plan, jaki przyszło mi układać, był to plan dnia mojego ślubu. Co, jak powszechnie wiadomo, zakończyło się katastrofą!

Rozdział 4

– **R**az, dwa, trzy i cztery! I piłka nad głowę! Wyżej! Trzymamy, trzymamy! I kręcimy bioderkami. Tańczymy lambadę!

– Balon! – sapie pani Zosia, rzutka siedemdziesięciolatka w fioletowych legginsach.

– Proszę?

– To jest balon, nie piłka! – Wskazuje jajowaty przedmiot w swoich dłoniach. Przy okazji demonstruje idealnie pomalowane paznokcie, jakich pozazdrościłaby jej nawet flądrowata Jolka!

– Tak, oczywiście! – Kiwam głową z entuzjazmem, bo chcę jak najszybciej zakończyć sesję aerobiku i zagonić swoich podopiecznych pod prysznicę. Po dwudziestu minutach podskakiwania w rytm *Ai se eu te pego* czuję każdą kosteczkę, każdy mięsień i każdą kroplę potu spływającą po plecach. Czteroosobowa grupka gości dworku i spa W Kamiennym Kręgu wydaje się w zdecydowanie lepszej formie. Wyglądają na zachwyconych i chyba już zapomnieli, że kiedy zjawili się tutaj przed trzema godzinami, właścicielka nie chciała wpuścić ich za próg.

Kiedy Nadzieja nakrywała niewielki stolczyk w cieniu lipy i serwowała gościom kanapki z kozim twarogiem i szczypiorkiem, w gabinecie pani Elizy rodził się plan, czym zadowolić wybrednych gości ze stolicy. A przede wszystkim czym zamaskować braki, bo przecież dworek nie był przystosowany do luksusowych zabiegów, na jakie z pewnością liczyli.

Na początek więc zdrowy, naturalny posiłek, podany w malowniczej zieleni ogrodu. To musiało zauroczyć gości, byłam tego żywym dowodem! Kozi twaróg, szczypiorek prosto z grządki pod oknem salonu i wiejski chleb. Co prawda pochodzący z miejscowego supermarketu, ale przecież na jakiejś wsi go upieczono, prawda? Do tego miska świeżych czereśni, po które gibka Szparka wspinała się na sam czubek drzewa. Podobno na czubku drzewa są dojrzalsze i mniej robaczywe. A przynajmniej taką trzeba mieć nadzieję.

Następnym punktem, jaki został zapisany w skórzanym notesie pani Elizy, była przechadzka po parku i kontemplowanie dzikiej lub półdzikiej przyrody. Za przewodniczkę miała robić sama właścicielka, która jako zamiłowany ogrodnik amator była w stanie zwrócić uwagę klientów na pielęgnowane przez siebie krzaczki.

Jak się okazało, spacer pobudził naszych drogich gości i w tym momencie na scenę mogła wkroczyć świeżo mianowana asystentka. Uzbrojona w sprzęt grający i pięć kolorowych baloników, zagoniłam wesołą gromadkę na trawnik, gdzie miały się odbyć pierwsze zajęcia z aerobiku. Tym właśnie sposobem wymachiwałam teraz prawą nogą w powietrzu i dyrygowałam:

– Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa... Panie Edziu, wyżej nóżkę, wyżej! Uwaga, zmieniamy! Piłeczka pod kolanem i hop, raz dwa i z powrotem, obrót!

– Wolniej! – sapie z ekstazą w oczach pani Elwira. – Już nie mogę!

– Jeszcze dwa razy! – upominam srogo. – Wszystko musi biec zgodnie z programem, pani Eluniu, bo nie

zadziała!

– No dobrze! – Kiwa głową pani Elwira, biorąc solidny zamach i gubiąc klapka japonka. – Ojej!

Odprowadzam spojrzeniem wirujące w powietrzu obuwie i decyduję się zakończyć trening. Mimo zmęczenia fizycznego czuję się świetnie. Zdaje się, że jestem stworzona, by prowadzić tego typu zajęcia, mam zapędy dyktatorskie i zero litości w sobie. Wyłączam boomboksa i sięgam po ręcznik, uśmiechając się do swoich podopiecznych. Pani Zosia wachluje się ręcznikiem i pada na plastikowe krzesło. Pan Stasiu rozsiada się na trawniku. Pani Elwira kuśtyka w ślad za swoim klapkiem, ale po chwili wraca i zagląda mi ciekawie w twarz:

– Ile kalorii zrzuciliśmy, pani Kalinko?

– Tysiąc dwieście! – rzucam bez zastanowienia. Pani Elwira kręci głową z niedowierzaniem.

– Naprawdę? A mówili w telewizji, że to takie trudne.

– Telewizja kłamie! – obwieszcza pan Edward, odkręcając butelkę niegazowanej wody.

– Dobry trening pozwala szybko zrzucić zbędne kalorie! – oznajmiam profesjonalnym tonem i prędko obciążam nogawki szortów, by w oczy gości nie rzucił się mój cellulit.

Tymczasem od dworku spieszy pani Eliza. Wychodzę jej naprzeciw.

– Jak poszło? – pyta szeptem.

– Myślę, że w porządku. Chyba ich trochę zmęczyłam.

– Może szybciej zasną.

– Co teraz?

– Masaż. – Wzdycha głęboko.

– Co?! – Parskam śmiechem.

Ale pani Eliza już biegnie do gości i pyta, czy są zadowoleni z zajęć na świeżym powietrzu. Z czterech gardeł dobywa się gorące potwierdzenie. Są bardzo zmęczeni, ale czują się wspaniale. Pani Kalinka jest świetna, wzburzyła w nich krew! Z pewnością szybko dziś nie zasną. Są gotowi na kolejne atrakcje!

Właścicielka obraca się ku mnie, a serdeczny uśmiech powoli ustępuje miejsca wyrazowi rozpaczki.

– Wobec tego proszę się odświeżyć i zapraszam na masaż! Kto pierwszy? – rzuca szczebiotliwie.

– Może ja? – Mruga okiem pan Edzio.

Czuję, że za chwilę parsknę śmiechem, uciekam więc do kuchni, gdzie Nadzieja z pomocą Szparki przygotowuje kolację. Gotować co prawda nie potrafię, ale przed godziną nie potrafiłam także prowadzić zajęć z aerobiku, czyż nie? A teraz? Trenuję, że aż krew się burzy!



Wieczorem leżę w łóżku i uświadamiam sobie, że miniony dzień obfitował w tak wiele wrażeń, iż zupełnie zapomniałam o włamaniu, kradzieży mojej walizki i całym tym bajzlu dotyczącym pobytu w dworku. Czy to nie dziwne, że zjawiłam się tutaj, licząc na luksusowy wypoczynek, a teraz sama obsługuję przybyłych gości, przybierając minę ważnej asystentki i upominając pana Edzia, że nie wolno zdejmować natki pietruszki z kanapek, bo to bogate źródło witaminy C?

Analizuję ostatnie godziny i ze zdumieniem stwierdzam, że przybyli wydają się całkiem zadowoleni. Po energetycznym aerobiku zalegli na leżakach, które Nadzieja rozstawiła na trawniku za domem i wyrażali głośne zachwyty nad widokiem połyskującej w dole rzeki. Pan Stasiu wyraził chęć kąpieli, więc pani

Eliza zaplanowała na kolejny dzień wycieczkę nad rzekę, stwierdzając poważnym tonem, że kąpiel w zimnej rzece jest stałym punktem kuracji. Równocześnie zapraszała kolejnych gości na zabieg szybkiego masażu.

Prowadziła ich do biblioteki, która na czas pobytu gości został przemianowana na salon masażu. Tam czekała promiennie uśmiechnięta Szparka. W śnieżnobiałym fartuchu Nadziei, nieco skróconym nożyczkami, chustce na głowie i uzbrojona w karafkę oleju Kujawskiego wyglądała na prawdziwą specjalistkę. Zwinnymi ruchami małych dłoni pozbywała się napięcia ze zmęczonych mięśni naszych gości. Nikt, kto przyglądałby się jej pracy, nie odgadłby, że pół godziny wcześniej odbierała instrukcje od zaaferowanej kucharki.

– Ugniataj jak ciasto na placek. Nie za mocno. Ale i nie za letko! Potem ubij, jak na kotleta. I przyszczypnij, jakbyś pierogi lepiała!

Porady Nadziei okazały się na wagę złota. Opuszczający gabinet goście wznosili peany na cześć Szparki.

– W tych rączkach tkwi moc! – zawołał pan Stasiu, całując utłuszczone dłonie masażystki.

– E, jaka tam moc, niech nie czaruje, to olej. – Śmiała się zarumieniona dziewczyna.

Kiedy wszyscy goście zostali już należycie ugnieceny, ubici i obszczypani, nakryto do kolacji. Dość wczesnej, bo, jak tłumaczyła pani Eliza zachwyconym gościom, po osiemnastej jeść już nie wolno, bo pójdzie w boczki. Panie przyklasnęły temu pomysłowi z odpowiednim entuzjazmem, panom się nieco żałośnie westchnęło, ale wyboru nie było. Spa to spa, jak się płaci za kurację, to z kuracji korzystać trzeba. Goście zostali usadzeni przy tym samym stoliku pod lipą, gdzie spożywali popołudniowy posiłek i wyczekiwali niecierpliwie, jakie tym razem frykasy przygotuje dla nich Nadzieja.

Tymczasem kucharka miała twarde orzech do zgryzienia. Spiżarnia była zaopatrzona niezbyt szczerze, bo ileż jedzenia potrzeba trzem kobietom, nawet jeśli jedna z nich waży ponad sto kilo? Poza tym oczywista sprawa, że dla gości z Warszawy trzeba przygotować specjalne smakołyki, nie po to przecież grube pieniądze za wczasy płacą, żeby jeść kaszę gryczaną z gulaszem? Nadzieja główkowała wiele godzin, aż w końcu z kłopotu wybawiła ją Szparka, która obwieściła, że skoro wczasy są odchudzające, to kolacja też musi być odchudzająca. Proste, nie?

Jeśli nawet goście byli zdziwieni bądź rozczarowani, gdy postawiono przed nimi talerze, to nie okazali tego. A trzeba przyznać, że Nadzieja przeszła samą siebie, jeśli idzie o dekorację przygotowanego dania. Na każdym talerzu leżały dwa jasnozielone liście sałaty, połówka czerwonego pomidorka i dwa plastry ogórka. To wszystko posypane zostało świeżo poszatowanym koperkiem i upstrzone kleksem jogurtu naturalnego.

I to właśnie była podana gościom kolacja.

– Smacznego! – huknęła gromko Nadzieja, spiesząc do kuchni, gdzie na gazie perkotał odgrzewany z obiadu gulasz.

– Dziękujemy! – wydukał żałośnie pan Edzio, usiłując nabić pomidorka na widelec.

Po kolacji goście gromadzili się w saloniku, który od tej pory miał pełnić funkcję pokoju rekreacyjnego i jadalni. Pan Edzio rozglądał się naokoło z nieszczęśliwą miną. W końcu wyznał, że chciałby obejrzeć wiadomości na jedyńce.

– Niestety. – Pani Eliza rozłożyła ręce z bezradnym uśmiechem. – W naszym ośrodku stawiamy na aktywny wypoczynek. Nie mamy telewizora.

– Nie? – Mężczyzna wyglądał na rozczarowanego. – Oj, chyba zatęsknię za moją plazmą...

Szybko został zakrzyczany przez kobiety. Pani Elwira fukała jak obrażona kotka, że nie można być uzależnionym od technologii i że brak telewizora w dworku jest naprawdę cool.

– Co wobec tego będziemy robić? – martwił się pan Stasiu.

– Może zagramy w karty? – zaproponowała z szelmowskim uśmiechem pani Zosia. – To także gimnastyka, tyle że dla głowy!

– No to może złotóweczkę od partyjki? – nieśmiało wyszeptał pan Edzio. Reszta towarzystwa przyklasnęła z entuzjazmem i po chwili cztery głowy pochyliły się nad karcianym stolikiem.

Partyjek rozegrano całkiem sporo i jeszcze rozgrywano, gdy objedzona gulaszem po same uszy wtaczałam się po schodach do swojego pokoju. Zajrzałam do saloniku, by wesołemu towarzystwu życzyć dobrej nocy i przypomnieć, że przed śniadaniem mamy zrobić malutką przebieżkę po parku.

Coraz pewniej czuję się w roli asystentki oraz instruktorki fitness i powoli zapominam, co przywiodło mnie do starego dworku w Kamionkach. Wiem jedno: leżąc w kąpieli z glinki i wcinając liście sałaty, nie miałabym szans na tak emocjonujący urlop! Mimo wszystko mam nadzieję, że tej nocy nie odwiedzi nas żaden amator cudzych walizek i że to koniec afer kryminalnych. I że w ogóle od tego momentu będzie już spokojniej.

Z tą myślą układam się wygodniej pod cienką narzutą i przymykam oczy, umykając w błogi sen. Nie mogę wiedzieć, że to dopiero początek kłopotów, bo i skąd?

Rozdział 5

Kolejny poranek witam szerokim uśmiechem. Przeciagam się w pościeli i zezuję za okno, czy natura uraczyła nas pogodnym, czerwcowym dniem. Mój pokój wychodzi na frontowy trawnik i kawałek parku, więc drzewa nieco ocieniają widok, ale z miejsca, w którym leżę, mogę dostrzec fragment błękitnego nieba. Jest dobrze, myślę, i zrywam się z łóżka z nowym zastrzykiem energii. W tej samej chwili padam na posłanie z głośnym okrzykiem bólu!

No tak. Do wysportowanych nigdy nie należałam. W szkole średniej opuszczałam większość zajęć wuefu, twierdząc, że mój okres trwa dwa tygodnie. Nauczyciel czuł się na tyle zażenowany, by nie drażyć tematu i akceptować fakt, że moja aktywność fizyczna na jego lekcjach ogranicza się do zbierania piłek po treningu siatkówki. A kiedy narodziła się moda na siłownię i moje koleżanki rozpoczęły wyścig, która posiada najbardziej wypasiony karnet, ja tupałam do biblioteki po kolejne powieści Nory Roberts i Lisy Jackson.

Teraz zbieram żniwo w postaci bolesnych zakwasów!

Pojękując, kuśtykam do łazienki, aby zażyć porannej toalety. Następnie wciągam na siebie pożyczone od Szparki ciuchy i przez chwilę zadowolonym spojrzeniem lustruję swoje odbicie w wysokim lustrze. Zwiewna spódnica w brązowe esy-floresy wije się dookoła moich kostek, a jasna bluzeczka podkreśla świeżo nabytą opaleniznę. Obiektywnie muszę przyznać, że prezentuję się całkiem całkiem. Nic dziwnego, że komisarz zamarzył o słodkim tête-à-tête w moim towarzystwie, a warszawiacy oświadczyli, że burzę ich krew!

Na myśl o przebywających w dworku gościach przypominam sobie o obiecany porannym joggingu. Moje mięśnie wydają cichy jęk protestu, ale nakazuję im się uciszyć.

– Musimy się troszeczkę poświęcić – tłumaczę swoim udom, równocześnie rozmasowując je pocieszającym gestem. – Inaczej warszawiacy obsmarują panią Elizę w Internecie, a musicie przyznać, że jest bardzo miła! I pomyślcie, jaka nagroda was czeka! Będziecie twarde i jędrne! Żegnaj pomarańczowy potworze!

Przekonawszy poszczególne części swojego ciała, że jogging o szóstej rano to jest to, czego właśnie potrzebują, zdejmuję spódnicę i przyoblekam swoje własne szorty, wcześniej obwąchując je krytycznie. Nie są zbyt świeże, ale mam nadzieję, że paczka od Iwy jest już w drodze i wkrótce będę mogła przebierać wśród szmatek.

Kiedy zjawiam się na dole, okazuje się, że moi podopieczni już czekają. Pan Edzio biega w miejscu i wita mnie rześkim okrzykiem. Pani Elwira zastanawia się, czy porzucić ukochane japonki na rzecz lśniących nowością adidasów. Pani Zosia zakłada na nadgarstki kolorowe frotki, przekrzykując pana Stasia, że są niezbędne, konieczne i bez nich ani rusz!

Zaganiem rozgdakaną gromadkę i ruszamy truchcikiem między parkowe drzewa.



Po joggingu goście spieszą odświeżyć się przed śniadaniem, a ja biegnę do kuchni, gdzie mam nadzieję wypić kubek kawy i przegryźć jakąś kromkę. Siadam przy nakrytym ceratą stole i obserwuję krzątającą się Nadzieję. Do kuchni wpada zziajana Szparka.

– Dzień dobry! – szczebiocze, opadając na wolne krzesło. Przed sobą kładzie pękaty woreczek. Widząc moje pytające spojrzenie, wysypuje na dłoń jakieś ziarno. – Co się dziwi? Normalna polska pszenica. Zmiesza się z olejem i będzie masaż złuszczeniowy. Przynajmniej plecy ich swędzieć nie będą – tłumaczy z poważną miną.

– To się nazywa peeling. – Uśmiecham się, przesypując między palcami ziarenka.

– A jak się nie złuszczy, to koza zje – dodaje Nadzieja.

Za drzwiami rozlegają się szybkie kroki, po czym do kuchni wpada pani Eliza. Na sobie ma zielone ogrodniczki i słomiany kapelusz. Za szeroki pasek wetknęła krótki sekator. Bynajmniej nie prezentuje się jak bizneswoman i właścicielka spa, i to właśnie jest w niej takie cudowne.

– Kalinko, jakich materiałów potrzebujesz do malowania? Muszę skontaktować się z Lilianą, żeby wszystko kupiła!

Żuję skórkę chleba i intensywnie myślę, co powiedzieć. Na farbach się nie znam. Z lekcji plastyki pamiętam, że maluje się albo akwarelami albo plakatówkami. Akwarele jakieś takie wodniste są i niewyraźne, więc chyba lepsze plakatowe? Skoro jak nazwa wskazuje, maluje się nimi plakaty, to do fresku chyba też się nadają?

– Zwykłych farbek, najzwyklejszych! Plakatówek – tłumaczę więc zaaferowanej właścicielce, która wszystko skrzętnie notuje w swoim notesiku. – I pędzelek. Nie za gruby. Najlepiej dwa pędzelki. Jeden całkiem cienki, a drugi nie za gruby.

– A grubego nie? – pyta poważnym tonem pani Eliza.

– No to gruby niech też będzie – zgadzam się dla świętego spokoju. Grubszym chyba szybciej te kamienie namaluję.

– Pędzle to w schowku pod schodami leżą – wtrąca swoje trzy grosze Nadzieja, tłukąc się garnkami na kuchence. – Kazała pani dziesięć kupić, jak okna były malowane.

– Rzeczywiście, pędzli u nas do wyboru do koloru!

– A farbki moja siostra pożyczyci – chichocze Szparka. – Co będzie na panią Lilę czekać, jak nie wiadomo nawet, kiedy przyjedzie? Popołudniu przyniosę!

– No to problem farbek mamy z głowy! – cieszy się pani Eliza, zaglądając do półmiska. – Co serwujemy na śniadanie?

– Twaróg kozi – ponuro obwieszcza Nadzieja. – Ze śmietaną i cukrem.



Po obiedzie pani Eliza pakuje kosz piknikowy i zabiera rozemocjonowanych gości na wycieczkę. Plan obejmuje kąpiel w rzece i plażowanie na piasku. Pan Stasiu zaciera ręce i demonstruje mi czepek kąpielowy. Z rozczarowaniem przyjmuje wiadomość, że w najgłębszym miejscu rzeka sięga pasa i ciężko będzie nurkować... Panie wyglądają na zadowolone, pakują ręczniki i olejki do opalania, wkładają

kostiumy kąpielowe i narzucają na nie lekkie sukienki. Pani Elwira z ulgą wsuwa stopy w japonki.

Żegnam odchodzącą grupkę radosnym machaniem, równocześnie w głowie układając plan, jak najlepiej spożytkować wolne popołudnie. Odkąd tutaj przyjechałam, nie miałam okazji zaznać takiej swobody. Muszę to wykorzystać. Obejmuję spojrzeniem teren i mój wzrok pada na pozostawione przez gości leżaki. Tak, to wyśmienity pomysł! Goście zażywają kąpeli w zimnej rzece, ja zażyję kąpeli słonecznej. Wyłożę utrudzone aerobikami i joggingami ciało asystentki-trenerki na wygodnym siedzisku i będę relaksować się w ciszy i spokoju. Pozwolę słońcu muskać swoje ciało delikatnymi promieniami, posłucham ptasich śpiewów dochodzących z zarośli i przygotuję sobie kawę mrożoną. Z wielkim kleksem bitej śmietany, którą, jak zauważyłam, Nadzieja ukrywa w szufladzie ze sztuczcami.

Z tą myślą przemykam do kuchni, która o tej porze dnia jest przyjemnie ocieniona i cicha. Nadzieja odpoczywa w swoim pokoju, od czasu do czasu dobiega stamtąd lekkie pochrapywanie. Poza tym jedynymi dźwiękami, jakie mi towarzyszą, jest szmer lodówki i beczenie kóz zza okna. Pospiesznie przygotowuję zimny napój i schylam się właśnie, by wydobyć ze schowka zachomikowaną śmietanę, kiedy moich uszu dobiegają kroki i przytłumione głosy.

Czuję, jak włoski na karku stają mi dęba, a ciało przenika chłód. W tej samej chwili dociera do mnie, że oburącz ściskam oszronioną szklanę z kawą mrożoną i to od niej bije to przejmujące zimno. Poza tym stoję boso na kamiennych płytkach. Zmuszam się, by odstawić napój i zrobić kilka kroków w kierunku drzwi. I właśnie wtedy padają słowa.

– Jesteś pewien, że nikogo nie ma?

– Wszyscy poszli nad rzekę. Została tylko kucharka, ale ona ma mocne spanie. A gdyby nawet się obudziła, nie przeszkodzi nam w niczym. Przekręciłem klucz w drzwiach jej pokoju.

– A ta mała w krótkich portkach?

Mój Boże! To chyba o mnie! Pospiesznie oddalam się od drzwi, więc nie słyszę odpowiedzi. Nie mam czasu na podsłuchiwanie! W domu są złodzieje! Bandyci, którzy posunęli się do kradzieży mojej walizki i uwięzienia kucharki w jej własnym pokoju. Muszę prędko znaleźć jakieś schronienie, zanim tutaj wejdą i mnie zamordują!

Gorączkowo przeczesuję spojrzeniem niewielką powierzchnię kuchni. Zaglądam do szafki pod zlewem, próbuję uchylić okno... Ostatecznie wciskam się za lodówkę. Przywieram plecami do ściany i wstrzymuję oddech.

W samą porę, bo drzwi kuchni uchylają się z cichym skrzypnięciem i ktoś wchodzi do środka. Porusza się wolno, ostrożnie stawiając stopy. Zatrzymuje się kilka kroków od mojej kryjówki, słyszę nieco przyspieszony oddech. Oczyma wyobraźni widzę, jak rozgląda się na boki, lustrując pomieszczenie. I patrzy wprost na przygotowany przeze mnie napój.

Z kołyszącymi się na powierzchni kostkami lodu.

Jestem przerażona.

Więc tak ma wyglądać koniec mojego nędznego żywota?

Zginę, ponieważ kostki lodu nie rozpuściły się wystarczająco szybko?

Czuję, jak wzdłuż mojego kręgosłupa spływa kropla potu. Łaskocze mnie tak mocno, że jestem zmuszona zacisnąć zęby na pięści, aby nie zacząć krzyczeć. Zaciskam także oczy, mocno, ze wszystkich sił, aż pojawiają się kolorowe plamy.

I właśnie wtedy dociera do mnie, że drzwi ponownie skrzypnęły i w kuchni zapanowała przenikliwa

cisza. Zanim zdążę pomyśleć, wysuwam się ze swojej kryjówki i podbiegam do wyjścia. Głosy w hallu są przytłumione, więc nie rozumiem, o czym mówią. Przyklękam i usiłuję dojrzeć przez dziurkę od klucza, co się tam dzieje.

Serce bije mi jak szalone.

Nikogo nie widzę, ale cichy szmer rozmowy świadczy o tym, że złodzieje nie opuścili dworku. Nagle przed moimi oczyma przemyka postać. Jestem niemal pewna, że to mężczyzna, który przed momentem odwiedził kuchnię. Jego twarz zasłania czarna kominiarka. Pewnie dlatego tak sapał. Było mu gorąco!

Przywieram plecami do ściany i modlę się, by z tego gorąca nie zechciał zająć do kuchni po wodę. Nie wiem, jak długo tak stoję, ale wydaje mi się, że mijają godziny. Język całkiem mi zeszywniał z tego upału. Tęsknie spoglądam w kierunku szklanki z kawą. Być może już nie jest mrożona. Być może nawet jest ciepła. Ale z całą pewnością jest mokra, a to w tej chwili ma dla mnie największe znaczenie.

Odrywam się od ściany i próbuję bezszelestnie przemknąć ku upragnionej cieczy. Jestem już blisko, wystarczy tylko wyciągnąć rękę. Mam! Zaciskam dłoń na szklance i podnoszę ją do ust, obserwując, jak w środku chlupocze smakowity jasnobrazowy napój. Czuję na języku wilgoć. I cukier. Dużo cukru. Na razie tylko w wyobraźni, ale zaraz chciwie uchylam wargi i przechylam szklanekę, aby zakosztować nektaru bogów...

W tej samej chwili drzwi otwierają się z potężnym impetem. Uderzają w ścianę, dokładnie w to miejsce, gdzie stałam przed minutą. Szklanka wyslizguje mi się z dłoni i roztrzaskuje na milion kawałków, plując napojem kawowym. Czuję, że w moim gardle rodzi się krzyk, a ponieważ nie mam lepszego pomysłu, pozwalam mu wydrzeć się na zewnątrz w rozpaczliwym: Aaa!



– No i czego się tak drze? Ze skóry ją obdzierają? – dziwi się Szparka. Kładzie przede mną pudełko plakatówek i najpierw krytycznie lustruje roztrzaskaną szklanekę i plamy po kawie na moich stopach, a następnie obity tynk za drzwiami. – O kurczę. Ciągle mi matka powtarza, że drzwi nie umiem spokojnie zawierać. Ale że otwierać też nie?

Do jednej ręki bierze łopatkę, do drugiej zmiotkę na krótkim kiju i zabiera się za sprzątanie szkła. Każe mi spokojnie stać, żeby mi się nic nie wbiło w stopę. Wyrzuca resztki szklanki do wiaderka pod zlewem i łapie kolorową gąbkę. Po chwili podłoga lśni.

– No, może się już ruszyć – poganiam mnie. – Nie ma nic do roboty? Farby przyniosłam!

– Widziałaś ich? – pytam szeptem.

– Kogo? – dziwi się.

– Złodziei! Byli tutaj! Dosłownie parę minut temu! – wybucham histerycznym potokiem słów. – Słyszałam, jak rozmawiają w hallu, a potem jeden wszedł do kuchni! W ostatniej chwili znalazłam kryjówkę.

– Gdzie się schowała? – Szparka otwiera oczy tak szeroko, że aż przypominają piłeczki pingpongowe.

– Za lodówką!

– Nie powiedziałaś mi, że się zmieści! – Mierzy krytycznym wzrokiem moją figurę, a potem wnękę pomiędzy ścianą a lodówką.

– Ale się zmieściłam! – złoszczę się. – W nerwach człowiek nie takie rzeczy robi! Widziałaś ich czy

nie?

– Nie!

– Ale oni tutaj byli! Jeden miał na twarzy kominiarkę!

– Jezus Maria! Prawdziwy przestępca! – Szparka czyni znak krzyża na piersi. – Dobrze, że jej nie zamordowali!

– Kogo?

– No jej! Dobrze, że wlaźła za lodówkę!

– O matko, zapomniałam o Nadziei! Musimy ją uratować!

– Wziąć patelnię?

– Jaką patelnię?

– No a czym ratować będziemy?

– Kluczem! Uwięzili Nadzieję w jej własnym pokoju!

Spieszmy do pokoju kucharki. Kiedy jednak zbliżamy się do niego, okazuje się, że zza drzwi dobiega miarowe pochrapywanie. Nieświadoma zagrożenia Nadzieja nadal oddaje się popołudniowej drzemce!

Przekręcam klucz w zamku i na drżących nogach wracam do kuchni. Szparka podąża za mną jak wierny psiak. Siadamy przy stole i w milczeniu czekamy na powrót właścicielki. Jednak już po paru minutach stwierdzam, że takie siedzenie jest nie dla mnie. Zbyt wiele myśli przelatuje przez głowę. Muszę znaleźć sobie zajęcie. I to konkretne. Wymagające skupienia. Żadne tam opalanie na słoneczku.

Spoglądam ku leżącym na stole farbkom.

– Gdzie znajdę te pędzle? – pytam.



Pamiętacie, jak opowiadałam o traumie, którą przeżyłam w związku z pojawieniem się w moim życiu „klozetowego kurczaczka”? Oczywiście, że pamiętacie, takich rzeczy się nie zapomina.

Jednak to już nie ma większego znaczenia, gdyż wszystko wskazuje, że dzisiaj zdjęłam fatalną klątwę plastyczną, która rzutowała na moje dotychczasowe życie.

Mówię to, wpatrując się dumnym spojrzeniem w dzieło, które tworzyłam przez ostatnie dwie godziny. Choć „dzieło” wydaje się marną namiastką określenia, na jakie zasługuje mój fresk. Arcydzieło? No, może być, ale tylko jeśli nie znacie bardziej dobitnych rzeczowników podobnej maści. Jestem z siebie dumna. Ocieram pot z czoła, przy okazji rozmazując na nim niebieską farbę, i wpatruję się rozkochanym spojrzeniem w odrestaurowany fresk.

Zdaje się, że odkryłam w sobie nowe powołanie.

Jestem artystką!

Żadną tam bibliotekarką wypisującą cienkopisem karty nowych powieści Danielle Steel. Jestem artystką, która odkryła w sobie pasję. I tę pasję mam zamiar realizować w dalszym życiu!

– I to wszystko? – dziwi się Szparka.

– Co ci się nie podoba? – Jeżę się pod jej lekceważącym spojrzeniem

– No nie wiem. Jakieś takie... – Milknie, wpatrując się w moje dzieło, przekrzywiając głowę z lewa w prawo i z powrotem.

– To sztuka jest! – oświadczam wzniosłym tonem. – Ona wymaga wytrawnego oka! Trzeba umieć ją

docenić!

– No może... Ale to nie zmienia faktu, że ona ma wąsy.

– Kto?! Ja?

– Nie ona! Ona! – Ruchem brody wskazuje postać na fresku.

Teraz ja przechyliłam głowę pod dziwnym kątem i mrużę oczy, by dostrzec domniemane wąsy. Rzeczywiście, pod nosem nimfy biegnie cieniutka brązowa kreszczka. Odruchowo dotykam jej palcem i... nimfa robi się niebieska.

– Matko boska! – Czuję, że ogarnia mnie panika. Łapię kawałek papieru toaletowego i pospiesznie wycieram nimfie nos. Oddalam się od ściany i krytycznie mierzę moje dzieło. – No i jak teraz? Już nie ma wąsów!

– Nie ma – zgadza się Szparka. – Ale za to jakaś zielonkawa się na twarzy zrobiła. Do Rygi pojedzie czy co?

– Ufff! – Wypuszczam nagromadzone w płucach powietrze. – Zielonkawa jest, bo to nimfa. Nimfy są zielonkawe. Bo z wody wychodzą.

– Jak żaby? – domyślnie stwierdza Szparka.

– No, powiedzmy! – Kiwam głową. – Ale tak ogólnie... Podoba ci się?

– Tak ogólnie to się podoba. Umie malować!

– Dziękuję! – Moją twarz opromienia szeroki uśmiech, mam ochotę uściskać Szparkę.

– A tam po prawej... co to za kupa?

– Jaka kupa?!

– No tu! – Szparka celuje palcem w namalowaną przeze mnie cembrowinę studni.

– To studnia! – tłumaczę cierpliwie.

– Taka? Jak żyję, takiej dziwnej studni nie widziałam!

– Bo za krótko żyjesz! – Zęby zaczynają mi pozgrzytywać.

– A ona studnię kiedy na oczy widziała?

– Kto? Nimfa?

– Jaka nimfa? Ona, o niej mówię! – Celuje we mnie palcem.

– A, ja. Ja widziałam studnię... niedawno. – Przezornie pomijam fakt, że widziałam ją na obrazku w baśniach Braci Grimm.

– Ja jej jutro studnię pokażę. Jak wygląda. To jest k u p a!

– To jest s t u d n i a nie k u p a. Jaka kupa znowu?

– No, kamieni przecież. Nie widzi?

– To jest studnia. Stu-dnia!

– Nie będę się z nią kłócić. – Obrażona Szparka wzrusza ramionami. – Jutro jej studnię pokażę, to zrozumie, że to kupa. Idzie na kolację? Twaróg z rzodkiewką ma być...



Kiedy schodzimy do hallu, natykamy się na zrezygnowaną właścicielkę. Siedzi na schodach i ponuro wpatruje się w drzwi wejściowe.

– Co się stało? – pytam pełna złych przeczuć.

– Ja się poddam. – Kręci głową i wskazuje dziedziniec. – Po prostu się poddam!

Podchodzimy do wąskiego okienka i dyskretnie wyglądamy na zewnątrz. Przed dworkiem parkuje zgrabny, czerwony kabriolecik, a wysoka ciemnowłosa kobieta mociuje się z wielką walizką. Oglądam się pytająco na panią Elizę.

– Kolejny voucher? – pytam współczująco.

– Właśnie tak.

– Kto to?

– Pisarka jakaś. Książkę chce skończyć i szukała cichego, spokojnego miejsca. Przy okazji basenu, jacuzzi i sauny – tłumaczy ściśniętym gardłem właścicielka spa.

– A wie już, że dostanie tylko ciche i spokojne miejsce? Ewentualnie kąpiel w drewnianej balii?

– Wie. Powiedziała, że całości nie zapłaci. Mamy jej zwrócić pięćdziesiąt procent.

– Przynajmniej obeszło się bez awantur. – Zniżam głos, bo ciemnowłosa właśnie wysuwa metalową rączkę walizki i zaczyna ją ciągnąć po nierównym podłożu w kierunku dworku. – Swoją drogą: ładny samochodzik. Musi niezłe pisać. Kto to, Grochola?

– Anna Ptak. – Słyszając postukiwanie obcasików, pani Eliza podnosi się ze schodów i z godnością prostuje. Nikt nie rozpoznałby w niej tamtej zbolącej kobiety.

– Witamy, pani Anno. Zapraszam do pokoju. Do pani dyspozycji oddamy śliczny pokój urządzony w stylu dziewiętnastowiecznym, wychodzący na park, cichy i wygodny. Czy zechce pani coś przekąsić przed snem? Chętnie przyniesiemy posiłek do pokoju.

Anna Ptak staje przed nami i wodzi spojrzeniem pary zielonych oczu od twarzy do twarzy. Na mnie zatrzymuje się odrobinę zbyt długo. Pani Eliza odchrząkuje i przedstawia jej „obsługę”.

– To nasz, ekhem... Wykwalifikowany personel. Pani Kalina Radecka jest moją osobistą asystentką, odpowiada za rekreacyjną część turnusu. Pani Kasia Szopka jest masażystką.

– Witamy! – wołamy niemal zgodnym chórem, z fascynacją wpatrując się w wydatne kości policzkowe i kocie, zielone spojrzenie nowo przybyłej. Nie wiem, jaką pisarką jest Anna Ptak, ale z pewnością jest piękną kobietą.

– Dobry wieczór! – Subtelnie kiwa głową, po czym kieruje wzrok ku pani Elizie. – Dziękuję za propozycję, jadłam kolację w mieście.

– Wobec tego chodźmy, pokażę pani sypialnię. – Pani Eliza wykonuje zapraszający gest. Gość rozpoczyna wspinaczkę po schodach, delikatnie muskając palcami po balustradzie. Walizka zostaje w hallu. Pani Eliza waha się i odwraca, jakby chciała po nią wrócić. Unoszę uspokajająco dłoń, zajmiemy się tym ze Szparką. Kiedy kobiety znikają w korytarzu, spoglądamy na siebie i głośno wzdychamy.

– Wie, ile jeszcze osób dojedzie do dworku? – pyta znużonym głosem Szparka.

– Nie wie. – Kręcę głową, łapiąc za rączkę walizki.

– To było pytanie retoryczne – uświadamia mi wykwalifikowana masażystka.

Rozdział 6

Kolejny dzień w kamionkowskim dworku. Wstaję rześka i wypoczęta. Tej nocy spałam jak zabita, nie dręczyły mnie żadne koszmary, nie przeszkadzał ból mięśni. Być może to wpływ zapachu plakatówek, który towarzyszył mi przez cały wieczór, a teraz wydaje się unosić z moich włosów. Poruszam nosem jak królik i krzywię się, czując woń farby. Nawet fakt, że pachnę jak szkolny tornister, nie psuje mi jednak nastroju. Cała w skowronkach doprowadzam się do porządku i biegnę do jadalni, gdzie zebrali się już nasi goście.

Nalewam sobie filiżankę mocnej kawy i właśnie sięgam po dzbanuszek z mlekiem, kiedy moje spojrzenie pada na twarz pana Edzia.

– Widzę, że wycieczka nad rzekę się udała. – Uśmiecham się pod nosem.

– Spiekło go na raczka! – Chichocze pani Elwira, chrupiąc bułkę z twarożkiem.

– Tak to już jest, gdy się nie używa kremu z filtrem. – Pani Zosia wytwornym ruchem odstawia delikatną filiżankę na spodek i pieszczotliwie dotyka opalonych na czekoladowo ramion.

– Opalanie jest niezdrowe. – Wzrusza ramionami pan Stasiu. – Ja tam wolę w cieniu posiedzieć.

– Usnęło mi się na słońcu... – Wzdycha pan Edzio. – A teraz muszę cierpieć. Nie znalazłby się w apteczce jakiś specyfik na takie dolegliwości?

– Zaraz przyniesę zimnego kwaśnego mleka i obłożymy panu Edziowi facjatkę! – wtrąca krzątająca się wokół stołu Nadzieja. – Najlepsze na poparzenia jest kwaśne mleko!

– Kozie? – upewnia się pan Edzio z pewnym niepokojem w głosie.

– Przecie, że nie ze sklepu! – oburza się Nadzieja.

– Poproszę filiżankę kawy – odzywa się głos z końca stołu. W jadalni zapada cisza, wszyscy spoglądają z zainteresowaniem w kierunku nowej pensjonariuszki. Nadzieja wzdycha ostentacyjnie i posyła mi wymowne spojrzenie.

– Na stare lata jeszcze za pokojówkę robiech... – mamrocze pod nosem. Uśmiecham się do wnętrza filiżanki i staram się nie parsknąć. Nadzieja podaje Annie Ptak filiżankę i wychodzi. Pani Elunia wychyla się z krzesła, by lepiej przyjrzeć się nowo przybyłej.

– Cieszymy się, że pani do nas dołączyła – trajkocze. – Jest pani z Krakowa?

– Nie – pada wyniosła odpowiedź.

– Pani Anna pisze książki – wtrącam.

– Naprawdę? – Pani Zosia unosi cieniutkie brwi z zainteresowaniem. – A jakie?

– Dobrze – ucina dyskusję Anna Ptak i bezceremonialnie chowa się za płachtą Dziennika Polskiego. Warszawiacy przyglądają się temu cokolwiek skonfundowani, w końcu powracają jednak do przerwanych rozmów.

Przez uchylone okno dobiega nas podśpiewywanie pani Elizy, która przycina przed dworkiem żywopłot. Muszę z nią porozmawiać i dowiedzieć się, co zaplanowała na dzisiaj dla wczasowiczów.

Żegnaj więc zgromadzonych przepraszającym uśmiechem i wychodzę do parku.

– O, Kalinka! – Na mój widok pani Eliza uśmiecha się szeroko i jednym zgrabnym ruchem ścina wierzchołek krzaka. – Dobrze, że jesteś. Musisz pojechać do wsi i opowiedzieć komisarzowi o tym, co się wczoraj wydarzyło.

– O rany! – Nie jestem zachwycona perspektywą kolejnego spotkania z wąsatym amantem. – Myśli pani, że to dobry pomysł? Z pewnością narobi wielkiego rabanu, przybiegnie tutaj z zestawem do zdejmowania odcisków palców albo co gorsza sprowadzi psy tropiące! Gościom się to może nie spodobać!

– Masz ci los, absolutna racja. – Pani Eliza markotnieje. – Ale nie możemy zataić, że kolejny raz zostało popełnione przestępstwo.

– Właściwie to nie zostało popełnione. – Wzruszam ramionami.

– Jak to?

– Jak by na to nie patrzeć, dworek pełni rolę pensjonatu. Drzwi były otwarte i każdy mógł wejść. A że facet w kominiarce przekręcił klucz w drzwiach do pokoju kucharki... to już całkiem inna historia. Na pewno nic nie zginęło?

– Mówiłam ci, że tutaj nic nie ma. Dopiero stryjeczny dziadek...

– A skąd złodzieje wiedzą o stryjecznym dziadku?

– Nie mam pojęcia. Myślisz, że szukają czegoś innego? Może chcą okraść gości? W pierwszą noc skradli twoją walizkę, ale nie znaleźli nic wartościowego, więc wrócili okraść kogoś innego?

– Nie wydaje mi się. – Kręcę głową. – Myślę, że oni szukają czegoś konkretnego. Nie znaleźli przy pierwszej okazji, bo spłoszyła ich Nadzieja, więc wrócili, myśląc, że wszyscy poszli nad rzekę.

– To całkiem możliwe! Ale po co w takim razie brali twoją walizkę? – pyta ściszym głosem pani Eliza.

– No wie pani... – Przybieram dumną minę. – To była bardzo sztywna walizka... Trochę sfatygowana, ale w ciemności nie było widać.

– Co wobec tego robimy?

– Powinniśmy zastawić na złodziei pułapkę!

– Mój ty Boże! Oszalałaś, Kalinko? – Właścicielka podejrzliwie zerka na filizankę w mojej dłoni. – Czegoś ty się napiła, dziewczyno? Mleko do kawy sfermentowało?

– Niczego się nie napiłam i nic mi nie fermentuje! – Gromię ją spojrzeniem. – Mówię zupełnie serio. Zastawimy pułapkę, schwytny rzezimieszków i oddamy ich w ręce policji.

– No dobrze... Masz już jakiś plan?

– Nie mam – przyznaję niechętnie. – Ale z pewnością coś wymyślę. Szkoda, że nie wiemy, na co polują złodzieje!

– Wiemy za to, że to coś znajduje się w dworku!

– Racja! Pora obmyślić plan akcji!

– Ale do wsi tak czy siak pojedziesz, co? – Pani Eliza uśmiecha się prosząco. – Dziś w planach mamy przejażdżkę furmanką i zwiedzanie kościoła.

– Pojadę – zapewniam ją. – Przy okazji zajrzę na pocztę, czy nie przysłała paczka dla mnie. Fajna ta Szparki spódnica, ale jednak wolę własne ciuchy.

– Przy okazji wejdź do marketu i kup dziesięć kartonów mleka. Tylko uważaj, żeby goście nie widzieli.

– Mleka? Ale po co?

Pani Eliza wzdycha głęboko i atakuje sekatorem kolejny krzew.

– Panie wyraziły chęć kąpieli w kozim mleku, a biedne kozy już nie wyrabiają. Wszystko idzie na twaróg!



Wstępuję do kuchni, by przegryźć kawałek bułki – bez twarogu – i zamienić kilka słów z Nadzieją. Odkąd kucharka dowiedziała się o sabotażu, jaki przeprowadzili na drzwiach do jej pokoju włamywacze, uważa mnie za najlepszą przyjaciółkę. Zapalała do mnie tak wielką sympatią, że na kolację przygotowała specjalnie dla mnie puszysty omlet, podczas gdy pozostali musieli zadowolić się twarożkiem z rzodkiewką.

Siadam za stołem i obserwuję, jak się biedaczka miota po kuchni. Mówi, że jeszcze dzień i osiwieje. Co ona ma gościom ugotować na obiad, no co?

– Pierogi z czereśniami, śmietaną i cukrem! – rzucam propozycję. – Albo fasolkę szparagową. Z masełkiem i bułką tartą!

– Nasza szparaga jeszcze nie dojrzała – wzdycha żałośnie Nadzieja, wsuwając głowę do lodówki. – Ale z tymi pierogami to Kalinka ma rację. Ale sama nie dał rady, kto będzie lepił? – martwi się.

– Szparka! – podsuwam mściwie. Wciąż jestem obrażona, że skrytykowała mój fresk.

Z dalszej rozmowy wychodzi, że konieczne są większe zakupy. Produkty spożywcze się kończą, a przecież gości karmić trzeba. Zostaję więc obarczona sporządzoną przez Nadzieję listą zakupów i gotówką. Kiedy goście będą zwiedzać zabytkowy kościółek, urządzę sobie wycieczkę między półki miejscowego supermarketu. Nie jestem zachwycona takim obrotem sprawy, chciałam zajść na pocztę i rozejrzeć się po wsi. Ale jak mus to mus, zresztą i ja chętnie skosztuję pierogów.

Chwilę później przed dworek zajeżdża furmanka. Goście wylegają na podjazd, wydając głośnie wyrazy zachwyty. Brakuje tylko Anny Ptak, która z laptopem na kolanach rozsiadła się na leżaku, pomstując na brak Wi-Fi.

– Co to jest wifi?! Coś do odtwarzania wideo? – pyta mnie szeptem pani Eliza.

– Internet bezprzewodowy.

– Dawniej to tego nie było. – Pani Eliza marszczy czoło i patrzy, jak warszawiacy wychwalają pod niebiosa urodę konia.

Siedzący na koźle Stary Jan pęcznieje z dumy. Puszcza do mnie oczko, równocześnie ćmiąc zwisającego z kącika ust papierosa. Na Romeo euforia gości wydaje się nie robić większego wrażenia. Podrzuca kilka razy bujną grzywą i zabiera się do ogoławania z liści krzewów, które pani Eliza dopiero co równiutko przycięła.

– Idź ty... koniu! – rozlega się oburzony krzyk ogrodniczki.

Romeo zwraca ku czerwonej z gniewu kobiecie swoje oblicze, wyszczerza zielonkawe zębiska i schyla się ku dorodnej piwonii. Jedno kłapanięcie i ciemno-różowa kula znika w jego pysku.

– Jedźcie już, jedźcie! Bo wszystko mi tu zeżre! – Zdenerwowana właścicielka biega naokoło furmanki. Sadowię się u boku Starego Jana i zerkam do tyłu, by sprawdzić, czy wszyscy bezpiecznie zajęli swoje miejsca. Daję znak, że można jechać. Mężczyzna uderza batem gdzieś w bok wozu i rzuca komendę...

– Wio, Romeo! Wiśta wio!

– Co to znaczy wiśta?

– Że kuń ma skrócić w lewo, panienko.

– A sam nie skróci?

– Pewni i skróci.

– To po co mu mówić?

– Bo jakby mu człowiek nie godoł, to pewni by mu się we łbie przewróciło.

– Aha. – Kiwam głową ze zrozumieniem. To zupełnie, jak z moją matką, myślę. Też mówić nie musi, ale mówi. Tyle że ona z innego powodu. Bo gdyby nie mówiła, toby się j e j w głowie przewróciło.



Przejażdżka furmanką wprawia warszawiaków w wyśmienite nastroje. Tak przyjemnie na nich patrzeć, że co chwila obracam się do tyłu. W końcu Stary Jan proponuje, żebym usiadła twarzą do gości.

– Romeo się nie obrazi – stwierdza. – A panienska przynajmni nie zleci na łeb.

Z pomocą woźnicy zmieniam pozycję i dalszą drogę odbywam tyłem naprzód.

Pani Elwira mówi, że czuje się jak hrabianka ze starego filmu. Na tę okazję założyła elegancką sukienkę z burzą koronek przy dekolcie i wielki słomkowy kapelusz z różową wstążką. Brakuje jej tylko pastelowej parasolki z falbankami, która chroniłaby ją przed zgubnym wpływem słońca. I nic to, że nie siedzi w białej szykownej karocy, ale na zwykłym drabiniastym wozie, którym niemiłosiernie trzęsie na polnej drodze. I tak wygląda przepięknie!

Kapelusz chroni także opaloną na czerwono twarz pana Edzia. Po śniadaniu pan Edzio zapowiedział, że rezygnuje z udziału w wycieczce, gdyż nie chce narażać skóry na jeszcze większe poparzenie. Wtedy do akcji wkroczyła uzbrojona w miskę kwaśnego mleka Nadzieja. Najwyraźniej jej zabiegi ulżyły pechowemu kuracjuszowi, gdyż zabezpieczony szerokim rondem kapelusza wdrapał się na wóz. Wystaje mu tylko czubek czerwonego łuszczącego się nosa.

Pan Stasiu usadowił się na samym końcu ławeczki i podziwiał mijane krajobrazy, jak zwykle pogrążony w swoich myślach. To bardzo spokojny człowiek, który często szuka ciszy i skupienia. Stanowi zupełne przeciwieństwo hałaśliwej żony. Czasami gdy na nich patrzę, zadaję sobie pytanie, co ich ku sobie skłoniło? Czyżby przeciwieństwa rzeczywiście się przyciągały?

Przenoszę spojrzenie z pana Stasia na wesolutką panią Zosię. To osoba, której nie opuszcza pogoda ducha. Teraz także wesoło podśpiewuje *Hej z góry, z góry jadą Mazury*, bujając do taktu stopą. Z pewną dozą fascynacji obserwuję, jak kłapek chwieje się na czubkach palców i zastanawiam się, kiedy spadnie pod wóz. I czy wyląduje w świeżo wyprodukowanym przez Romea nawozie.



Mijamy krzyżówki i dostojnie wtaczamy się do centrum wsi. Nasz przejazd wzbudza ogólne zainteresowanie. Pracujący w ogródkach ludzie prostują plecy i osłaniają oczy, by lepiej nas widzieć. Z ławeczki pod sklepem podnosi się komitet powitalny w sile trzech chłopa. Każdy ma na głowie czapeczkę bejsbolówkę, a w rękę puszkę piwa. Jak na komendę wszyscy chowają puszki za plecy

i uchylają czapki. Kultura!

Na murku przed posterunkiem siedzi komisarz Karol Broszko i zajada bułkę. Na nasz widok wpada w panikę i podrywa się na równe nogi. Nie wie, gdzie ma nieszczęsne śniadanie podziać. Najpierw usiłuje wcisnąć bułkę pod leżącą na murku czapkę. Otrzepuje dłonie z okruchów i prędko zakłada czapkę na głowę. Bułka ponownie znajduje się na widoku. Zdenerwowany policjant usiłuje schować ją za plecami, aż w ostateczności wpycha ją do ust. Kiedy mijamy posterunek, stoi wyprostowany jak struna, a jego czerwone policzki wydymają się od pospiesznie przeżuwanego posiłku. Mimo to kłania się nam w pas. Pani Elwira łaskawie kiwa mu głową, a następnie pochyła się ku mnie poufale.

– Ten człowiek jest chyba chory?

– Wydaje mi się, że tylko bardzo głodny – odpowiadam rozbawiona.

– Widziała pani te wąsy? – Pani Elwira cmoka dyskretnie. – Wspaniałe! Teraz się takich nie nosi! Edzio... – Zerka niepewnie w stronę męża. – Też nosił wąsy. Wyglądał w nich nad wyraz dostojnie.

– Ale narzekałaś, że cię łaskoczą! – wtrąca pan Edzio. – Moja żona... ma niewyobrażalne łaskotki na...

– No, no, Edziu! – Pani Elwira pokrywa się rumieńcem. – Spuśćmy na to zasłonę milczenia!

Odwracam się, by sprawdzić, jak daleka droga jeszcze przed nami i przy okazji ukryć wyraz rozbawienia, który musi być widoczny na mojej twarzy. Ze zdumieniem widzę, jak ramiona Starego Jana podskakują w rytm urywanych parsknięć śmiechu.

– Łaskotki jej przeszkadzały. Słyszysz, Romeo? Łaskotki!



Wysadzamy gości przed kościołem, a sami zawracamy pod supermarket. Stary Jan parkuje furmankę przed sklepem i dosiada się do uczestników biesiady ławeczkowej. Ja wyciągam przygotowaną przez Nadzieję listę i ruszam między sklepowe półki. Z zadowoleniem stwierdzam, że punkt handlowy jest świetnie zaopatrzony i nie ma kolejek. Raz dwa robię zakupy, a Stary Jan wraz z trzema piwoszami pakują je na wóz. Dyskretnie upycham kartony mleka pod mąką i makaronem. Na sam wierzch ładuję brokuły i pieczarki.

Ocieram pot z czoła i upijam łyk wody mineralnej. Mężczyźni obserwują mnie skonfundowani.

– Gorąco! – tłumaczę, przełykając kolejną porcję wody z bąbelkami.

– Na gorąc najlepsze piwko. – Wzrusza ramionami najbliższy stojący mężczyzna. – Po wodzie się człowiekowi jeszcze bardziej chce pić.

– Naprawdę? – dziwię się. Podejrzliwie zerkam na trzymaną w dłoni butelkę, a następnie na puszkę w ręku mężczyzny. Rzeczywiście, wypiałam całkiem sporo, a spragniona jestem dalej.

– Panienska łyknie browarka. – Uśmiecha się szelmowsko Stary Jan, ćmiąc nieodłącznego papierosa.

– Dziękuję, ale jestem w pracy! – protestuję.

– My też! – zapewniają gorąco trzej mężczyźni.

– Naprawdę? – Szczeka opada mi z wrażenia. – A ja myślałam, że panowie tak tutaj przesiadują, bo nie mają pracy – dukam niepewnie.

– Za dużo się panienska *Rancza* naoglądała! – Parska śmiechem jeden z piwoszy, przechylając puszkę do końca i zgniatając ją mocnym uściskiem dłoni. – Przerwę na drugie śniadanko teraz mamy!

– A gdzie panowie pracują?

– U księdza. Rozbieramy starą plebanię. Ale już musimy wracać. Ksiądz nie lubi, jak za długojemy...

– Nie dziwię się! – rzucam kpiąco.

– A ten tu czego? – pyta Stary Jan.

Odwracam się i widzę, że od posterunku nadciąga Karol Broszko. Najwyraźniej przełknął już drugie śniadanie i aż kipi z niecierpliwości, by wypełniać swoje policyjne obowiązki. Podchodzi do ławeczki i obrzuca nieprzychylnym spojrzeniem trzech młodych mężczyzn.

– Co się tutaj dzieje, he?

– A co ma się dziać? – odpowiada pytaniem woźnica.

– Nielegalne spożywanie alkoholu. W miejscu publicznym? Tak?

– W miejscu publicznym? – Stary Jan rozgląda się niespokojnie na boki. – Czyli gdzie?

– W tym miejscu, panie Krakowiak, tutaj!

– Przecież to prywatny sklep?

– Ale publicznie ludzie tutaj uczęszczają! – grzmi komisarz.

– E, tam! – Macha ręką jego rozmówca, zapalając nowego papierosa. Przeszuję nerwowo z nogi na nogę i zastanawiam się, jak ta draka się skończy. Tymczasem pracownicy księdza pospiesznie się ewakuują. Policjant odprowadza ich nieprzychylnym spojrzeniem.

– No, to może dmuchniemy?

– E, co będziemy dmuchać...

– Przecież pan nie pił – wtrącam swoje trzy grosze, bo mam wielką ochotę utrzyć nosa panu komisarzowi Karolowi Broszko. – Niech pan dmuchnie!

– E, chyba nie... – Kręci głową Stary Jan. Dociera do mnie, że woźnica najwyraźniej nie ma sumienia czystego jak łąka. Pod sklepem co prawda nie pił, ale...

– Albo pan dmucha, albo koń zaraz dmuchnie! – zarządza komisarz.

– No to niech mu pan władza podstawi. Może dmuchnie. – Śmieje się Stary Jan. Nagle poważnieje. – A ty Karolek, od kiedy się taki służbista zrobiłeś? Mało to razy chłopcy piwko pod sklepem osuszały i nigdy ci nic do tego nie było? A może ty żenić się chcesz, co?

Czuję, że moją twarz pokrywa purpurowy rumieniec. Kiedy zerkam na policjanta, okazuje się, że jego twarz jest jeszcze czerwiejsza.

– Panie Krakowiak, proszę się stąd nie ruszać. Pójdę na posterunek po alkomat! – cedzi przez zęby Karol Broszko i niemal frunie nad ulicą w stronę swojej komendy.

Czekam, aż zniknie za drzwiami i nachylam się ku staruszkowi.

– Panie Stary Janie, ucieknę póki go nie ma. Muszę wstąpić na pocztę, a później spacerkiem wrócę do dworu. Proszę bezpiecznie odstawić naszych gości na obiad. I zakupy dowieźć, oczywiście. Do rąk własnych Nadziei, dobrze?

– Się zrobi, panienko! Ale tego chojraka niech się panienska nie boi. To taka krowa, co się dużo drze...

– Hm, chyba jednak byczek! – Wzdycham.

– Pewni, że byczek. – Stary Jan zanosi się śmiechem. – Jurni na dodatek!



Nie oglądając się za siebie, biegnę w kierunku poczty. Jest to mały budynek przyklejony bokiem do

supermarketu. Miętowa elewacja łśni w słońcu, na parapecie zakratowanego okienka stoi czerwona przyschnięta pelargonja. Pokonuję niewysokie schody i stoję przed jedynym stanowiskiem. Siedząca za szybą dziewczyna podnosi na mnie wzrok znad kolorowego tygodnika.

– Mam dla pani paczkę – obwieszcza.

– Tak? A skąd pani wie, że dla mnie?

Rzuca mi pełne politowania spojrzenie i wstaje, by przynieść nieduże pudełko.

– No tak. Jedyna obca we wsi – mamroczę pod nosem.

– Nie jedyna. – Uśmiecha się dziewczyna. – Przecież do dworku przyjechali goście!

– Rzeczywiście.

– Teraz to nasze Kamionki zrobią się sławne! – Cieszy się pracownica poczty. – Ani się obejrzymy, jak do dworku będą przyjeżdżać aktorki i piosenkarki! Drugi Ciechocinek będzie!

– Możliwe – zgadzam się. – A gdzie mam pokwitować?

– Tutaj. – Wskazuje mi palcem.

– A dowód osobisty? – reflektuję się nagle. – Bo pan komisarz...

– Nie trzeba. – Macha ręką dziewczyna. – Normalnie bym wołała, ale przecież wiem, że pani to pani, nie?

– No chyba – zgadzam się, zgarniając paczkę. Już mam wychodzić, gdy dziewczyna wychyla się zza okienka i zniżając głos do szeptu, zdradza:

– Muszę sobie zeszyt na autografy sprawić. Bo jak te sławy zaczną zjeżdżać... Już tu dziś jeden o dworek pytał. Przystojny bardzo. Jak aktor z telewizji.

– Naprawdę? Na zabiegi przyjechał?

– Mówił, że do pracy. Pomyślałam, że pewnie jaki film kręcić będą. Bo mówię pani... bardzo przystojny!

– Do pracy? – dziwię się. Ciekawe, kogo pani Eliza jeszcze zatrudniła? Może jakiegoś trenera fitness? A może masażystę? Uśmiecham się do dziewczyny i upycham paczkę pod pachą. Muszę jak najszybciej wrócić do dworku i wszystkiego się dowiedzieć. Przystojny, do pracy... To brzmi całkiem nieźle! Może pani Eliza pozwoli mi wypróbować jego talenty na stole do masażu?



Maszeruję w palącym słońcu, zatrzymując się co parę kroków, by zaczerpnąć łyk wody z butelki i otrzeć pot z czoła. Paczka od Iwy gniecie mnie w bok, więc przerzucam ją pod drugą pachę i osłaniając oczy dłonią, rozglądam się naokoło.

Wydaje mi się, że idę tak już wiele godzin, a dworku jak nie było, tak nie ma. Czuję, że gdzieś w środku budzi się pierwsze ukłucie niepokoju, które szturcha mnie w obolały bok i mówi, że zabłądziłam. Skręciłam w zupełnie innym kierunku i prędzej zobaczę zamek na Wawelu niż spa Kamienny Krąg. Usiłuję zdusić w sobie te podłe podszepty i dziarsko maszeruję naprzód, ale nic nie poradzę, że żadne drzewo, żaden krzaczek nie wydają się znajome! Kiedy przed paroma dniami szłam tędy ze Szparką, droga wydawała się o wiele prostsza!

Odwracam się za siebie w nadziei, że dostrzegę furmankę zaprzęzoną w Romeo i będę mogła złożyć swe obolałe członki na drabiniastym wozie. Niestety, żadnego konia w zasięgu wzroku nie widać. Chyba

że mechanicznego. Polną drogą, wzbijając tumany brązowego kurzu, sunie bowiem srebrny samochód.

Ostrożnie schodzę z drogi i zatrzymuję się na skraju pola, na którym dojrzeła jakieś zboże. Być może to właśnie stąd pochodzi pszenica, którą Szparka wykonuje masaż peelingujący. Czekam cierpliwie, aż samochód minie miejsce, w którym stoję, ale ku mojemu zdziwieniu wóz zatrzymuje się tuż obok.

Szybka zjeżdża w dół z cichym szumem, a ja wpatruję się w dwa odbicia swojej spoconej twarzy. Właściciel ciemnych okularów błyska zębami w uśmiechu.

Mój Boże!

To musi być aktor, o którym wspominała dziewczyna z poczty. Mężczyzna, który posiada tak zniewalający uśmiech, nie może być masażystą! Musi być aktorem lub... stomatologiem.

– Gdzie pan gra? – wyrywa mi się, zanim zdążę pomyśleć.

– Proszę? – Mężczyzna zsuwa okulary i spogląda na mnie najbardziej zdziwionymi i najbardziej niebieskimi oczami pod słońcem.

– Pytam, gdzie pan jedzie? – poprawiam się i przybieram najbardziej niewinny uśmiech, na jaki mnie stać. Myśl, że jest też trochę głupawy, staram się odgonić.

– Szukam dworku w Kamionkach.

– Przyjechał pan się rozpieszczać?

– Niezupełnie. – Uśmiech wraca na twarz kierowcy. – Może uda mi się połączyć przyjemne z pożytecznym, ale przyjechałem przede wszystkim do pracy.

– Jest pan masażystą? – pytam z nadzieją.

– Nie. – Parska śmiechem. – Nie jestem masażystą, ale również pracuję dłońmi. Jestem malarzem.

– Malarzem. – Czuję, że robi mi się zimno. – Pokojowym? Maluje pan ściany?

– Kiedy trzeba. – Śmieje się. – Ale moją specjalnością są malowidła naścienne. Freski, mówiąc prościej.



– Zbladła pani – stwierdza niebieskooki z niepokojem.

– Nie, nie. Wszystko w porządku.

– Na pewno?

– Na pewno.

– To co z tym dworkiem?

– O! – Macham ręką. – To zupełnie nie tutaj.

– Naprawdę? – dziwi się mężczyzna. – Dziewczyna na poczcie wyraźnie powiedziała, że na krzyżówce mam skrócić w lewo.

– Och, oszukała pana. Powinien pan skrócić w prawo i jechać... jechać, aż pan zobaczy dworek – tłumaczę z poważną miną.

– Ale dlaczego mnie oszukała?

– To zadawniona sprawa – szepczę konfidencjonalnie. – Syn właścicielki dworku porzucił ją przed ołtarzem. Chyba pana nie dziwi, że nie chce podsylać im klientów?

– Paskudna sprawa – przyznaje mężczyzna. – Wobec tego muszę zawrócić. Czy to daleko?

– Bardzo. Ale przed wieczorem powinien pan dojechać.

Niebieskooki rzuca mi zagadkowe spojrzenie i otwiera usta, jakby chcąc o coś zapytać. Ostatecznie wciska na nos okulary i uśmiecha się przyjaźnie.

– Bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

– Na pewno nie – potrząsam głową. – Do widzenia!

Patrzę, jak samochód wycofuje się połą drogą i czuję, że topór wiszący nad moim karkiem odrobinę się uniół. Na jak długo? Odczekuję, aż jedynym śladem po niebieskookim malarzu będzie obłok kurzu i ruszam biegiem w dalszą drogę.

Powinien być aktorem, myślę z żalem. Albo chociaż cholernym dentystą!



Pod bramą parku natykam się na pana Edzia. Starszy pan spaceruje wolno alejką, przechodzi od krzaczka do krzaczka, schyla się, by powąchać kwiaty, coś nuci pod nosem. Widząc czubek zaczerwienionego nosa wystającego spod panamy, zapominam o spotkaniu z malarzem i uśmiecham się sama do siebie. Pan Edzio przypomina mi ojca mojej mamy, dziadka Ryśka. Ten sam szarmancki błysk w oku i nieporadna gapowatość. Podchodzę do niego i wesoło zagaduję:

– Już po obiadku, panie Edziu?

– Już po – przyznaje dość żałośnie starszy pan.

– Co się stało? – niepokoję się. – Nie lubi pan pierogów?

– Lubię... – Wzrusza ramionami pan Edzio. – Ale czy nie mogłaby się pani Kalinka dyskretnie wywiedzieć, kiedy będzie jakiś kotlecik?

– Kotlecik – powtarzam za nim niepewnie. Zupełnie jakby spożywanie mięsa było uznawane w naszym kraju za jakieś dziwactwo. Na panu Edziu mój ton zdaje się nie robić żadnego wrażenia i wyraźnie się ożywia.

– I ziemniaczki. Z mizerią na przykład.

– Pychotka. – Niemal się oblizuję.

– Nie chciałbym urazić szanownej pani kucharki. To bardzo miła osoba. I ulżyła w moim cierpieniu... – Delikatnie dotyka zaczerwienionej skóry. – Ale zjadłbym coś konkretnego. Mięsko. Może być kurczaczek.

– Też bym zjadła – przyznaję ponuro, ale zaraz się reflektuję i przybieram radosny wyraz twarzy. – Pewnie, że się dowiem, panie Edziu! Ale coś mi się o uszy obilo, że jutro ma być kurczaczek. Z brokułami.

– Wspaniale! Bardzo pani dziękuję!

– Ależ nie ma za co! Jesteśmy tutaj po to, by państwa rozpieszczać. Żeby zadbać o państwa kondycję fizyczną i psychiczną. Przez ostatnie dni stosowaliśmy dietę opartą na warzywach, owocach i nabiale. Ale od jutra przechodzimy na wyższy poziom – tłumaczę tajemniczo.

– Co to znaczy?

– Od jutra będą państwo spożywać bardziej kaloryczne rzeczy. Ale również zdrowe – zastrzegam. – Kurczaczek pieczony i brokuł na parze, panie Edziu! Smażone jest niezdrowe!

– Ale za to jakie pyszne! – Z piersi starszego pana dobywa się żałosne westchnienie.

– Prawda – dopowiadam w duchu, a na głos wyrażam nadzieję, że szarlotka upieczona przez Nadzieję wynagrodzi gościom brak ociekającego tłuszczem kotleta. – Być może znajdzie się kleksik bitej śmietany!

– kuszę, mając przed oczyma kuchenny schowek i kawę mrożoną. Już chyba nigdy nie napiję się kawy mrożonej bez posmaku schowka za lodówką!

Rozanielony pan Edzio spieszy, żeby zająć leżak za domem, a ja wtaczam się do kuchni, gdzie mam nadzieję znaleźć coś na ząb.



Ledwie przełykam kilka pierogów z czereśniami, zapijając je kompotem, kiedy do kuchni wpada owinięta w biały kitel Szparka. Jej dłonie ociekają olejem rzepakowym. Podchodzi do zlewu i spłukuje je ciepłą wodą, posyłając mi obrażone spojrzenie.

– I czego mnie wrobiła w lepienie pierogów? – dopytuje.

– Ja? – Udaję głupią i pospiesznie pakuję do ust kolejną kluskę. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– Wiedziałam, że mnie Nadzieja wkręca! – Śmieje się, wycierając dłonie w ścierkę. – Zjadła? To bierzemy się do roboty. Panowie już wymasowani, pora na panie!

– Ja mam masować? – pytam przerażona.

– No nie! Nie masować. Dziś panie się kąpią w kozim mleku.

– Chyba nie chcesz, bym kozę doiła? Nic z tego. Kozą ma rogi, ogon i te... no, kopytka.

– Kozę to Nadzieja już rano wydoiła. No, idzie czy nie? Nie ma czasu do stracenia, trzeba wannę przygotować – tłumaczy poważnym tonem.

Prowadzi mnie do spiżarni i składa w moje ramiona zgrzewkę mleka dwuprocentowego.

– Nie mogła kupić w wersji lajt? – mruczy pod nosem. – Po dwójce pewnie tłusty osad na skórze zostanie.

– Coś jeszcze? – pytam ironicznie zza sterty kartonów. – Może weźmiemy musli i miseczki? Albo nie, zamiast misek łyżki. Jeśli panie zgłodnieją, sypniemy musli do wanny i nie trzeba będzie już kolacji szykować...

Przemykamy cichaczem do łazienki za gabinetem. To największa łazienka w dworku, duże kwadratowe pomieszczenie wyłożone niemal po sam sufit kafelkami w kwiatowe wzory. Wąskie okienko ozdobione kolorowym witrażkiem nie wpuszcza zbyt wiele światła, więc jest tutaj nieco ponuro. Kiedy pani Eliza oprowadzała mnie po dworku pierwszy raz, rozpływała się w zachwytach nad klimatem tego miejsca, które przy dotychczasowym remoncie zachowano w niemal niezmienionej formie. Powiedziała, że kiedy widzi wielką wannę na metalowych nóżkach i popękane kafelki, na myśl przychodzi jej dawna elegancja dworu. Cóż, mnie na myśl przychodzi stara masarnia, ale siedzę cicho.

Muszę jednak przyznać, że tego dnia łazienka prezentuje się imponująco. Witraż, który bardziej pasuje do zabytkowej kaplicy cmentarnej niż do łazienki, został ukryty pod pomarańczową chustą. Wszędzie stoją świece. Dziesiątki świec. Może nawet setki. W świecznikach, lichtarzach, a nawet w kieliszkach. Na parapecie, staromodnej toaletce z dziurą na miednicę i na podłodze wokół wanny. Obsypane płatkami kwiatów. Być może nawet piwonii, którą przed południem raczył się Romeo.

– Pięknie! – szepczę.

– Podoba się jej?

– Komu?

– No, jej! – Celuje we mnie palcem.

– Bardzo mi się podoba. Chętnie skorzystam z tej łazienki, jeśli zostanie trochę mleka. Nawet bez mleka chętnie skorzystam.

– Z musli? – przekornie pyta Szparka.

– Nie jestem głodna, dziękuję. Ty mi lepiej powiedz, skąd wzięłaś tyle świec?

– A co ona myśli, że zawsze prąd w dworku mieli? Niech się lepiej bierze za robotę, bo pani Elwirka w miejscu drepcze z niecierpliwości. Nie wiem, co w tym kozim mleku jest. – Kręci głową Szparka, rozrywając zgrzewkę łaciatego.

– Jak to: co? – Klękam z drugiej strony wanny i, pomagając sobie zębami, otwieram karton mleka. Powoli wlewam białą ciecz do emaliowanej wanny. – Tłuszcz. I witaminy.

– A skąd witaminy? – dziwi się dziewczyna.

– To ty na wsi mieszkasz i nie wiesz, że koza to aptekarz? Zawsze zbiera najlepsze części roślinek, najzdrowsze. Byle czego nie żre.

– A ona skąd o tym wie?

– Kto? Pani Elwira?

– Nie! Ona!

– Ja? Mój dziadek hodował kozę. Jako dziecko piłam nawet mleko.

– A takie mleko z kartonu też ma witaminy? – Szparka podejrzliwie ogląda pusty kartonik.

– Pewnie! Jeszcze lepsze ma. Spasteryzowane.

– Ale to przecie krowie...

– No i co? Kto się na tym pozna?

Po opróżnieniu zgrzewki mleka z nietęgą miną zaglądamy do wanny.

– Coś mało tego mleka... – mruczy Szparka.

– Kurczę, kostek nawet nie zakryje – dodaję.

– Jak siądzie to zakryje.

– Ale reszta będzie wystawać.

– No i co teraz będzie?

Myślę intensywnie, w końcu wpadam na genialny pomysł.

– Leć po ciepłą wodę. I po mydło.

– Matko, po co jej to?

– Komu?

– No jej!

– Chyba: nam. Rozrobimy wody z mydłem i dolejemy.

Szparka wraca w okamgnieniu z wiaderkiem ciepłej wody i kostką mydła. Zabieramy się za rozrabianie pachnącej wody z bąbelkami. Czynimy to z takim entuzjazmem, że po chwili cała łazienka zachlapana jest mydlinami, a w powietrzu unosi się miły, kwiatowy zapach. Pociągam nosem.

– Tak jest nawet lepiej, przynajmniej z kanalizacji nie ciągnie. Dobra, chyba już wystarczy... – Obrzucam profesjonalnym spojrzeniem wiadro mydlin. – Teraz wlewamy, ostrożnie...

Wspólnymi siłami przechylamy wiaderko i łączymy mleko z mydlinami. Na koniec mieszamy miksturę za pomocą trzepaczki do dywanów.

– No, teraz zakryje kolana. – Kiwa głową zadowolona Szparka.

– No ale co z resztą?

– To ja jeszcze przyniosę wody.

Po kilku wycieczkach po ciepłą wodę z mydłem wanna zostaje zapełniona. Obejmujemy swoje dzieło dumnym spojrzeniem. Szparka dekoruje obrzeże wanny świecami i płatkami róż, a następnie przynosi zapałki i rozpoczyna żmudny proces zapalania świec. Łazienka wygląda bajecznie. Aż mam ochotę rzucić ciuchy i zanurkować do wanny ze spreparowanym specyfikiem.

– Taka wanna to nawet pisarkę zachwyci – mówię.

– Niech prędko leci po panią Elwirę, zanim świece się wypalą! – zleca mi Szparka. Posłusznie otwieram drzwi i wpadam na spragnioną luksusów warszawiankę.

– Czy już można, pani Kalinko? – dopytuje podniecona.

– Można, można. Kąpiel przygotowana. Zapraszamy serdecznie.

Wprowadzam panią Elwirę do łazienki i patrzę, jak niemieje z zachwytu.

– Jak pięknie! Niczym w podróży poślubnej! – Mruży oczko.

– Proszę się relaksować i odpoczywać. Pozwolić swojej skórze przyjąć wszystkie cenne składniki, jakie ma do zaoferowania kozie mleko – recytuję z szerokim uśmiechem. – A może przyniosę pani coś do picia?

– Szampana – decyduje prędko pani Elwira, wypychając nas za drzwi. Przez chwilę stoimy oniemiałe pod drzwiami łazienki i patrzymy na siebie lekko skonfundowane.

– Mamy szampana? – pytam szeptem.

– Nie mamy. – Kręci głową Szparka. – Ale piwnica jest pełna domowego wina z agrestu. Tylko co my do niego dolejemy?

– Kryniczankę! – stwierdzam z błyskiem geniuszu w oczach. – Ja pójdę do piwnicy. Ty zacznij rozrabiać wodę z mydłem dla pani Zosi...



Po pełnym emocji dniu mam nadzieję na chwilę zasłużonego relaksu.

Kiedy po kolacji goście zbierają się w pokoju rekreacyjnym, aby oddać się hazardowej grze w „pana”, nalewam sobie do wysokiego kieliszka agrestowego wina, hojnie dolewam gazowanej wody mineralnej i wymykam się na leżak ustawiony na tylnym trawniku. Zamierzam leżeć do góry brzuchem, popijając „szampana” małymi łyчками i obserwować zachodzące słońce.

Tak też czynię.

Wyciągam się na leżaku, ręce podkładam pod głowę i zatapiam się w myślach. Analizuję chylący się ku końcowi dzień i dochodzę do wniosku, że nie mam powodu narzekać. Kąpiel w kozim mleku okazała się sukcesem, panie opuściły łazienkę wyraźnie rozluźnione. Czy to za sprawą specyfiku, w którym się pławiły, czy też wina agrestowego, nie wnikiem. Nadzieja zaskoczyła wszystkich, serwując na kolację placki ziemniaczane po węgiersku. Pan Edzio, doszukując się w tym mojej interwencji, uroczyście ucałował moje dłonie. Goście są zachwyceni pobytom w malowniczym dworku wśród drzew i chyba nawet im nie przeszkadza, że nie są bez końca wałkowani zabiegami upiększającymi i smarowani maseczkami z gliniek. Nawet Anna Ptak ze smakiem spałaszowała placek i popiła literatką agrestowego wina, wychwalając subtelnym głosem talenty kucharki. Widząc zadowolenie kuracjuszy, pani Eliza w końcu odetchnęła z ulgą i uwierzyła, że przyjazd niezapowiedzianych gości nie zakończy się katastrofą.

Szparka promienieje radością i widzi w niewątpliwym sukcesie spa szansę na dobrą pracę. Bądź co bądź, to miejsce stanie się kiedyś słynne i będą tutaj przyjeżdżać same szychy z wypchanymi portfelami.

Także i ja sama mam powody do radości. W końcu otrzymałam paczkę od Iwy, włożyłam ulubione dżinsowe szorty i własną bluzkę, już o majtkach nie wspominając. I jakby na to nie patrzeć, stałam się obiektem adoracji miejscowego stróża prawa!

Przywołuję w pamięci scenę przed supermarketem i z trudem powstrzymuję śmiech. Czy rzeczywiście nadgorliwość zawodowa komisarza Karola Broszko powodowana była zazdrością? Niezły numer! Przyjeżdżając do Kamionek, nie spodziewałam się, że na drodze mojego życia staną policjant-uwodziciel, koń Romeo i niebieskooki malarz...

Na wspomnienie przystojnej, uśmiechniętej twarzy malarza wzdycham żałośnie. Dlaczego muszę mieć takiego pecha? W chwili, gdy los w końcu zdecydował się zrekompensować mi lata stracone z niewiernym Patrykiem i rzucił do moich stóp przystojniaka o lazurowym spojrzeniu, nie mogłam z tego skorzystać. Musiałam wysłać go w siną dal i modlić się do obrazka wiszącego nad łóżkiem, żeby już nie wrócił...

Upijam łyczek wina i po raz enty przywołuję uśmiechnięte oblicze mężczyzny. Czuję, że robi mi się naprawdę gorąco. Nie wiem, czy to od wypitego alkoholu, czy od myśli, które bombardują moją głowę. Przypominam sobie błyskające w uśmiechu zęby i błękit oczu. Słyszę jego głos... w marzeniach.

– Myślałem, że już nigdy tutaj nie trafię. Dwukrotnie wprowadzono mnie w błąd...

– Przepraszam, musiałam, ale... – Wzdycham do granatowego nieba.

– Najważniejsze, że w końcu dojechałem – kontynuuje moje niebieskookie marzenie.

– I teraz lepiej się poznamy... – Uśmiecham się filuternie. Ach, jak dawno nie flirtowałam...

– Ale wie pan, to bardzo dziwne... – wtrąca zdumionym głosem pani Eliza.

Gwałtownie otwieram oczy i z bijącym sercem siadam na leżaku. Wsłuchuję się w ciszę ogrodu. Skąd w moim marzeniu głos pani Elizy?

I kiedy już się uspokajam i stwierdzam, że najwyraźniej wypite wino mnie uspiło i głos pani Elizy pojawił się w moim śnie, ona sama wychodzi zza rogu i zbliża się w moim kierunku. Prowadząc ze sobą niebieskookiego malarza. Który bynajmniej się nie uśmiecha.

Przeczesałam podwórko spojrzeniem, szukając drogi ucieczki. Może zanurkować między zarośla i czmychnąć do parku? Albo wdrapać się na parapet i wślizgnąć przez uchylone okno do gabinetu? Czuję narastającą panikę i schylam się, by ocenić wysokość leżaka. Bądź co bądź udowodniłam już, że za lodówkę się mieszczę, cóż to dla mnie taki leżak?

Niestety, wszystko wskazuje, że moje manewry są spóźnione, przybyli mierzą mnie zdumionymi spojrzeniami, więc powoli wstaję z klęczek. Pani Eliza dokonuje prezentacji.

– Poznaj, Kalinko... Pan Marek.

– A my się już znamy – wesolutkim tonem informuje mężczyzna.

Nerwowo oglądam się za siebie. Mierzę wzrokiem gładką, zieloną połąć trawnika. Może uda mi się niepostrzeżenie umknąć?

Nim jednak zdążę uczynić choć kroczek, malarz zagarnia mnie w opalone ramiona i radośnie cmoka w oba policzki. Pachnie czymś ładnym i świeżym. Z pewnością nie plakatówkami.

Tymczasem lekko zdezorientowana pani Eliza uderza otwartą dłonią w czoło.

– Ach, no tak! Oczywiście, że się znacie! Artystyczny światek jest przecież bardzo mały!

– Otóż to! Jest mały. I niestety bardzo zakłamanym! – Marek wypuszcza mnie z ramion, na koniec częstując mrozącym krew w żyłach spojrzeniem.

– Naprawdę? – dopytuje przejęta pani Eliza.

– Niestety. Na szczęście na prawdziwych przyjaciół zawsze można liczyć. Pokierują, wskażą właściwą drogę. – Kolejne mordercze spojrzenie.

– Dasz wiarę, Kalinko?

– Że... co?

– Że pan Marek odpowiedział na moje ogłoszenie. Nie mógł się do nas dodzwonić, więc zdecydował się przyjechać prosto do dworku.

– O, naprawdę? – teraz ja dopytuję z niewinnym uśmiechem.

– Niestety, po drodze źle mnie pokierowano i zabłądziłem.

Czuję, jak na moją twarz wpełza zdradliwy rumieniec i czym prędzej przechylam trzymany w dłoni kieliszek. Niestety, wino jest już ciepłe i nie pomaga ochłodzić rozpalonych policzków. Marek lustruje mnie kpiącym spojrzeniem, nieomal widzę samą siebie, jak wiję się pod tym morderczym wzrokiem. Tak właśnie musi czuć się biedna mysz, gdy ujrzy oblizującego się kota i zrozumie, że jej dni są policzone. Próbuję odpowiedzieć twardym spojrzeniem, ale wiem, że jestem na straconej pozycji. Czuję się żałośnie.

Pani Eliza zdaje się nie zauważać wymiany spojrzeń, która urosła do rangi pojedynku.

– Niesamowite. – Kręci głową. – Przecież do nas tak łatwo trafić! Wystarczy na krzyżówce skręcić w lewo! Prawda, Kalinko?

– Bardzo łatwo – zapewniam. Z moich ust dobywa się donośne czknięcie. Szybko zasłaniam dłonią usta, Marek nie kryje pogardliwego uśmieszku, a pani Eliza zerka na mnie niespokojnie.

– Kalinka, co tobie, dziecko? Strasznie zbladłaś! To pewnie z powodu upału! A może ty się tych farb wczoraj nawdychałaś?

– Nie, wszystko w porządku! – zapewniam, choć powinnam wykorzystać sytuację i wziąć nogi za pas, zatrzymując się w najgorszym wypadku gdzieś pod Nowym Sączem! Zamiast tego stoję i gapię się jak sroka w gnat, a tymczasem pani Eliza przechodzi do opiewania wkładu, jaki wniosłam w rozwój ośrodka. Z namalowanym freskiem na czele.

– Jest piękny, taki subtelny... – opisuje, żywo gestykułując rękoma przyobleczonymi w grube rękawice ogrodowe. – I ten pomysł z kamieniami. Genialny.

– To jest studnia – wtrącam.

– Naprawdę? – Pani Eliza nie kryje zdziwienia. – No, ja się na sztuce nie znam, więc nic dziwnego, że nie poznałam. Cieszę się, że pan odpowiedział na moje ogłoszenie. – Pani Eliza zwraca uśmiechnięte oblicze w stronę malarza. – Ale obawiam się, że troszkę się pan spóźnił. Kalina odrestaurowała już cały fresk!

– Mówi się trudno, kto pierwszy ten lepszy. Czy mogę jednak mieć prośbę? Jechałem kilka godzin, kolejne kluczyłem wokół dworku, jestem zmęczony i nie chciałbym wracać dziś do Krakowa. Czy znajdzie się u pani kącik dla zbłąkanego malarza? – Marek posyła pani Elizie czarujący uśmiech, a ona wprost się pod nim rozpląwa. – Oczywiście, chciałbym także zobaczyć ten słynny fresk.

– Oczywiście! Zapraszamy serdecznie, czym chata bogata. Biegnę przygotować pokój.

Pani Eliza poklepuje mężczyznę po opalonym ramieniu i rusza w kierunku wejścia.

– Może ja pomogę? – proponuję szybko.

– Ależ nie trzeba, Kalinko. – Odwraca się z uśmiechem i mruży figlarnie oko. – To tylko jeden pokój.

Poradzę sobie, a wy pogadajcie.

– Tak, Kalinko. – Marek posyła mi słodki uśmiech, pod wpływem którego mój żołądek fika trzy koziółki i zawiązuje się w supeł marynarski. – Zostań. Mamy do pogadania!



– No i co, Kalinko? – Z twarzy malarza znika uśmiech. Oczy zamieniają się w bryłki lodu. Po pogodnym mężczyźnie, którego spotkałam na polnej drodze, pozostało tylko miłe wspomnienie. Nawet nie do końca miłe, bo jego obraz psuje kłamstwo, którego się dopuściłam. Odkąd tutaj przyjechałam, nie robię nic innego, tylko kłamię.

Wzdycham żałośnie i przybieram najbardziej skruszoną minę, na jaką tylko mnie stać. Wypite wino szumi jednak w moich żyłach, więc nie za bardzo mi wychodzi...

– Przepraszam! – Z gardła dobywa się tylko słaby pisk. Malarz rozkłada ręce w geście niedowierzania i parska niewesołym śmiechem.

– No, tak! Typowa kobieta. Najpierw narozrabia, a potem słodkie przepraszam. Powiedz jeszcze, że bardzo żałujesz i już nigdy tego nie zrobisz! – kpi.

– O nie! – Czuję przyływ adrenaliny. – Niczego takiego nie powiem. Bez wahania zrobiłabym to jeszcze raz.

– Proszę? Chyba się przesłyszałem?

– Wcale się nie przesłyszałeś. – Staję na palcach i usiłuję zerknąć na niego z wysokości moich stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, co okazuje się niewykonalne, bo przeciwnik do mikrusów nie należy. – Sam powiedziałeś, ten pierwszy, kto lepszy.

– Chyba kto pierwszy, ten lepszy?

– Przecież mówię! – Krzyżuję ramiona na piersi.

– Masz dziwny talent do przeinaczania faktów, dziewczyno!

– A ty do denerwowania uczciwych ludzi!

– Uczciwych ludzi? – Z bryłek lodu sypią się iskry. – Kobieto, celowo wprowadziłaś mnie w błąd i zmusiłaś do jeżdżenia w kółko! Cztery – sylabizuje. – Cztery godziny jeździłem wokół tych całych Kamionek, zanim jakaś dobra dusza skierowała mnie do dworku!

– Oj, już się tak nie użalaj nad sobą. Yp! – Dokuczliwa czkawka decyduje się powrócić. – To bardzo ładna okolica. Malarzem podobno jesteś, yp! Trzeba było z bagażnika dobyć sztalugę i malować, yp!

– Nie wożę w bagażniku żadnej sztalugi!

– Tak? Yp, to znaczy, że przyjechałeś do pracy zupełnie nieprzygotowany? – Śmieję się.

– To nie jest śmieszne! – piekli się. – Dlaczego nie powiedziałeś mi od razu, że namalowałaś ten fresk? Zaoszczędziłabyś mi czasu i kłopotu! O benzynie nawet nie mówiąc.

– Yp! – Wzruszam ramionami, bo na to nie znajduję żadnej odpowiedzi.

– Z tobą się nie da rozmawiać, kobieto! Idź się napić jakiejś wody albo coś!

– Dobry pomysł! – Na myśl o agrestowym winie uśmiecham się szeroko. – Tobie też przynieść?

– Jesteś stuknięta. Wariatka. I do tego pijana!

– O, na pewno nie! – oburzam się. – Yp. Yp! Nigdy nie byłam pijana. No może raz. W przeddzień mojego ślubu – uświadamiam sobie.

– Twojego ślubu? – Marek uśmiecha się kpiąco, patrząc na moją dłoń. – Nie wierzę, że jakiś facet zgodził się dobrowolnie spędzić z tobą resztę życia. Przystawiłaś mu lufę dubeltówki do czoła?

– Yp! Cham i prostak!

– Wariatka!

– Malarzyna od siedmiu boleści!

– Oszustka! Już ja jutro obejrzę ten twój fresk!

– Mój fresk? – Czuję, że za chwilę eksploduję. – Odczep się od mojego fresku! Słyszałeś, że jest genialny i subtelny, yp!

– Zobaczymy!

– Zobaczymy, yp!

Rzucam ostatnie spojrzenie, starając się nadać mu ostrości, której może dorównać jedynie ostrość noża do drobiu w kuchni mojej matki, i unosząc dumnie brodę, ruszam w kierunku budynku. W ostatniej chwili odwracam się i celując oskarżycielski palec w kierunku oniemiałego mężczyzny, oświadczam:

– Powinieneś być aktorem. Albo chociaż cholernym dentystą!

Rozdział 7

Budzi mnie kac.

Mój Boże! Po tamtym feralnym piątku obiecałam sobie, że już nigdy nie wezmę do ust kropli alkoholu. A już na pewno nie w ilościach, które uwłaczają człowieczeństwu! Kieliszek wina domowej roboty, dla rozluźnienia, proszę bardzo. Ale wytrąbić całutką butelkę po to, by na chwiejnych nogach zejść do piwnicy i przetrząsać zakurzone półki w poszukiwaniu kolejnej? O pierwszej dwadzieścia w nocy?

Teraz ponoszę konsekwencje.

Czuję, jak coś boleśnie łupie mnie w tył głowy. Delikatnie przekręcam się na brzuch, starając się nie chuchać w poduszkę, bo woni, jaka dobywa się z moich ust, daleko do aromatu wody kwiatowej. Przypomina bardziej wodę z wazonu. I to taką, której nie wymieniano ponad tydzień.

Wykrzywiam usta i ponownie obracam się na plecy. Staram się skupić spojrzenie na przykurzonych kielichach żyrandola, ale okazuje się, że wszystko wiruje. Żyrandol także. Wydaję z siebie cichutki pisk rozpaczy i przymykam oczy.

Jak ja przeżyję ten dzień?

Nagle dociera do mnie, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Siadam w pościeli, ignorując krzyk bólu, który rozbrzmiewa w mojej skroni.

Malarz. Marek. To jego wina.

Zjawił się w dworku, chociaż posłałam go do diabła. Ugłaskał panią Elizę jak perskiego kota i wprosił się pod nasz dach. No, dobra, pod jej dach, ale to nie zmienia faktu, że on nie ma tu czego szukać i że jest bezczelny. Właścicielka wyraźnie powiedziała, że fresk został namalowany i że jest piękny. Że to ja go namalowałam.

A co on na to powiedział? Zaraz po tym, jak zupełnie bezpodstawnie zarzucił mi, że jestem pijana? Że sobie mój fresk obejrzy?

– Rany boskie! – szepczę, biegnąc do łazienki.



Kiedy po kilku minutach wchodzę do jadalni, wbijają się we mnie zaciekawione spojrzenia sześciu par oczu. Czuję, że na moje policzki wpełza zdradliwy rumieniec i czym prędzej schylam twarz, udając, że poprawiam włosy. Dlaczego wszyscy tak patrzą? Mój Boże, mam nadzieję, że pod wpływem domowego wina nie narobiłam jakichś głupot? Nie odśpiewałam *Roty*, stojąc na baczność na frontowym trawniku, ani nie deklamowałam poezji Brzechwy?

Próbuję przemknąć w kierunku wolnego miejsca, nie wzbudzając większego zainteresowania, ale najwyraźniej nie będzie mi to dane.

– Dzień dobry, pani Kalinko! – Skłania głowę pan Stanisław. Po chwili do powitań dołączają pozostali

zgrupowani w jadalni.

– Dzień dobry! – rzucam na tyle pogodnym tonem, na jaki tylko pozwala moja pulsująca głowa.

– Pani Kalinka się chyba nie wyspała. – Puszcza oczko pan Edzio.

– Głowa mnie boli. – Uśmiecham się blado, sięgając po dzbanek z kawą i czystą filiżankę. Staram się nie patrzeć w kierunku siedzącego naprzeciwko mężczyzny, który właśnie pałaszuje sałatkę wiosenną, aż mu się uszy trzęsą. Siedząca przy moim prawym łokciu Anna Ptak spogląda na mnie cokolwiek pobłażliwie.

– Panią głowa boli, a my tutaj z panem Mareczkiem o sztuce rozprawiamy! – informuje mnie zaróżowiona z emocji pani Elwira.

– Naprawdę? – Unoszę filiżankę do ust. Kawa wydaje się kwaśna jak cytryna i prędko ją przełykam, parząc sobie gardło.

Obserwuję spod zmrużonych powiek, jak kobiety osaczają malarza. Pani Elwira napiera na niego z lewej strony, dokładając sałatki. Pani Zosia naciera z prawej flanki, podsuwając koszyczek z pieczywem. Nie szczędzą mi słodkich uśmiechów i szczebiotliwych słówek. Z przyjemnością widzę, jak Marek wije się pod ostrzałem tej niespodziewanej adoracji. Nagle unosi wzrok znad talerza i nasze spojrzenia się krzyżują.

– Tutejsze jedzenie jest naprawdę pyszne – oświadcza, rozpierając się na krześle. – Już dawno nie było mi tak dobrze. Znakomite śniadanie i sympatyczne towarzystwo. – Skłania się kulturalnie ku oniemiałym z zachwytu kobietom, po czym patrzy mi prosto w oczy. – Może powinienem zatrzymać się tutaj na dłużej?

– Och, koniecznie, panie Marku! – Pani Zosia niemal podskakuje na krześle. Nagle prostuje się i patrzy na mnie wyczekująco. – Prawda, że to dobry pomysł?

– Znakomity. – Zgrzytam zębami. Marek śmieje się, sięgając po filiżankę z czarną kawą.

– Jak tam głowa, pani Kalinko? – pyta z troską pani Elwira. – Może podam tabletkę? – Sięga po zawieszoną na oparciu krzesła torebkę.

– Na kaca ciężka praca – mruczy w głąb filiżanki Marek.

– Co pan mówi, panie Mareczku? – Pani Elunia marszczy równiutko wyskubane i przyciemnione ołówkiem brwi.

– Och, nic takiego. Na ból głowy najlepszy jest ruch na świeżym powietrzu! – Błyska w moją stronę garniturem śnieżnych zębów i mruży niebieskie oko. Przygryzam wargę, usilnie zastanawiając się, czy wybić mu dwie jedyńki, czy ograniczyć się do kopniaka pod stołem. Decyduję się na to drugie!

– Ał! – Pani Zosia podskakuje na krześle i zerka na mnie podejrzliwie. Czerwienię się po cebulki włosów. Jeszcze chwila i się rozplączę. Posyłam malarzowi nienawistne spojrzenie. To wszystko jego wina. Odkąd się pojawił, spotykają mnie same niepowodzenia!

Jakby czytając w moich myślach, mężczyzna dopija kawę i unosi się z krzesła.

– Przyjemnie się z państwem rozmawia, ale przede mną długa droga.

– Jednak pan wyjeżdża? – Panie nie kryją rozczarowania.

– Tak. Cóż, wszystko co było do namalowania, zostało już namalowane. – Uśmiecha się kpiąco.

Widząc, że mężczyzna sięga do kieszeni i pobrzękuje kluczykami, rozluźniam się. Pozwalam sobie nawet na delikatny uśmiech. Już nic mi nie grozi. Za parę chwil Marek wsiądzie do samochodu i odjedzie do Krakowa. Być może kilka razy potrząśnie głową, jakby nie dowierzając przygodzie, jaka spotkała go

na polnej drodze. Ja nie mam zamiaru rozpamiętywać tej historii. Z utęsknieniem czekam na chwilę, gdy skrzyżowanie Clooneya z Ramazzottim wciśnie pedał gazu i zostawi po sobie obłok kurzu. Dopiero wtedy odetchnę pełną piersią i na powrót zacznę się cieszyć pobyt w Kamionkach!

– Miło było cię spotkać – mruczę grzecznościową formułkę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada. Przez chwilę mierzymy się spojrzeniami, aż w końcu Marek odwraca się, by wpaść w ramiona smutnych pań, które chcą go serdecznie pożegnać. A najlepiej zatrzymać.

W chwili, gdy z radością odnotowuję, że ból głowy odszedł i mogę z czystą przyjemnością spałaszować śniadanie, do jadalni wchodzi pani Eliza i zdumionym spojrzeniem obejmuje scenę pożegnania.

– Już pan jedzie? Nie może być! A czy widział pan fresk Kalinki?

Czuję, że kawałek bułki zatrzymuje mi się w przełyku i pospiesznie połykam resztkę kawy, krztusząc się i plując okruchami do salaterki z sałatką. Anna Ptak podnosi zdumione spojrzenie znad talerzyka z twarożkiem i delikatnie klepie mnie w plecy. Ponad głowami zebranych Marek uśmiecha się i oświadcza, że nie mógłby przepuścić takiej okazji. Musi zobaczyć to niezwykle malowidło. Wraz z panią Elizą i komitetem pożegnalmym złożonym z warszawskich letników wspina się na galerię.

Przez krótką chwilę siedzę, pokaszując i doprowadzając oddech do normalnego stanu. I wtedy rozlega się krzyk, od którego włosy jeżą mi się na głowie!

– O mój Boże! – krzyczy pani Eliza.

Wszystko stracone!

Zdemaskował mnie, podstępny czort!

Biegnę w kierunku, skąd dobiegają ożywione głosy, przeskakując po dwa stopnie naraz. U wylotu korytarza potykam się o wystrzępiony brzeg chodnika i padam jak długa. Gryzę się w język i dzięki temu, kiedy w końcu udaje mi się dokuśtykać do zgromadzonej przed freskiem grupy, nie rzucam standardowego: „Ja to wszystko wytłumaczę!”

Pani Eliza rzuca mi współczujące spojrzenie.

Jak to?

Nie wymachuje rękami i nie grozi, że zadzwoni po policję i dopilnuje, żebym przez najbliższe dwadzieścia lat nie opuściła piwnicznej nory, gdzie karmiono by mnie chlebem z zeszlą skórka i nieprzeżegotowaną wodą?

Nie wyzywa mnie od oszustek i uzurpaterek?

– Tak mi przykro, Kalinko! – mówi za to. – Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać?

Potrząsam głową na znak, że ja także nie rozumiem. Nic nie rozumiem. Ponad głowami szepczących gości Marek posyła mi znaczący uśmiech. Dopiero wtedy przeciskam się do przodu i staję przed obrazem, który stworzyłam na ścianie galerii dworku w Kamionkach.

Chcę nacieszyć oczy moją nimfą.

Ale nimfy nie ma.

Podobnie jak i studni z cembrowiną i błękitu spienionych wód...

Została za to kolorowa plama, która spłynęła w dół ściany, rozlewając się na przykurzone deski podłogi.

Oglądam się na stojącego za mną malarza.

– Tak mi przykro, Kalinko! – Kręci głową. – Wiem, ile pracy cię to kosztowało! Posyłam mu nienawistne spojrzenie. Dobrze wiem, że wcale nie jest mu przykro.



– Jak to dobrze, że pan się zjawił! Szczęśliwy zbieg okoliczności! – Pani Eliza kręci głową i wpatruje się w Marka pełnym uwielbienia spojrzeniem. – Nie mam pojęcia, co się stało z obrazem Kalinki. Po prostu...

– Spłynął ze ściany – wesoło uzupełnia Marek.

– Może to przez te farby, co je Kasia przyniosła? – pani Eliza patrzy na mnie zamyślona. – Może były zepsute?

– Być może. – Wzrusza ramionami Marek i posyła mi łobuzerski uśmiech. – Bo oczywiście zabezpieczyłaś odpowiednio ścianę przed malowaniem?

– Oczywiście! – oburzam się, choć rzecz jasna, o żadnym zabezpieczeniu ściany nawet nie pomyślałam. Jak stało, tak namalowałam wdzięczną nimfę. I strugi wody i studnię z kamieni. Skąd mogłam wiedzieć, że ścianę trzeba przygotowywać?

Przysłuchuję się, jak właścicielka dworku ustala z Markiem szczegóły odrestaurowania fresku. Po pełnej dramatyzmu chwili, kiedy odkryłyśmy, że mój obraz spłynął ze ściany, pani Eliza uznała, że jestem jej niezbędna przy organizowaniu pobytu gości w dworku i że malowanie nie powinno rozpraszać mojej uwagi.

– Wiem, że to uwielbiasz. – Ścisnęła moją rękę z przepaszającym uśmiechem. – Wiem, że po to cię zatrudniłam, Kalinko, ale... – Nagle ściszyła głos do szeptu. – My sobie bez ciebie po prostu nie poradzimy! Warszawiacy, a teraz jeszcze ta nadęta pisarka z komputerem pod pachą... Na szczęście pan Marek zjawił się we właściwym momencie i zastąpi cię przy farbach! Pomyślny zbieg okoliczności!

Pan Marek, niech to szlag! Pomyślny zbieg okoliczności! Zgrzytam ze złości zębami i posyłam w stronę Marka naprzemiennie gromiące i lodowate spojrzenia. Nie mam nic przeciw temu, by mnie ktoś w mazaniu pędzlem po ścianie wyręczył, ale kiełkuje we mnie podejrzenie, że ten cały niewydarzony krakowski malarzyna miał coś wspólnego ze zniknięciem mojego fresku. Tylko nie wiem dlaczego...

– Niezwłocznie zabieram się do pracy. – Marek błyska garniturem białych zębów i spieszy do samochodu, by wydobyć z bagażnika niezbędne przybory. Czuję, że nie mam tutaj już czego szukać, więc wolno ruszam w kierunku kuchennych drzwi. Moja głowa wciąż boleśnie pulsuje, może Nadzieja poratuje czymś przeciwbólowym.

Na kuchennym blacie siedzi Szparka. Macha radośnie bosymi, opalonymi stopami i wgryza się w grubą kromkę chleba z masłem i szczypiorkiem. Na mój widok robi współczującą minę i klepie zachęcająco miejsce obok siebie. Niezgrabnie wdrapuję się na kuchenne szafki.

– Nie wiem, czemu jej te farby spłynęły. – Wzrusza ramionami. – Pewnie stare były. Wyszły i w ogóle.

– Ja tam chyba wiem – mruczę pod nosem.

– Co mówi?

– A, nic. Mówi się trudno. Przyjechał Marek... – Wymawiając imię malarza, boleśnie zgrzytam zębami.

– I namaluje od nowa. Pewnie lepszy nawet.

– E, tam. Nie wierzę. – Kręci głową dziewczyna. – Mnie się tam nimfa podobała. I nawet te kamienie

jej ładne wyszły. Całkiem jakbym nad naszą rzeką stała.

– Poważnie? – Spoglądam na nią wzrokiem zbitego psa.

– No, poważnie. Jak nie wierzysz, to pójdziemy nad rzekę i pokażę.

– A wiesz, że to nawet dobry pomysł? – Ożywiam się. – Wybierzmy się po kolacji na długi spacer.

Zaczynam się tutaj dusić – dodaję ponuro. Przewornie zatajam fakt, że duszności pojawiły się z chwilą przybycia niebieskookiego artysty.

– Dobra! – Szparka z radości podskakuje na blacie, rozsiewając wokół zielone kawałeczki szczypiorku.

– Pokażę jej, jak u nas ładnie. Może jakiś obraz namaluje?

– Nie, nie, spacer mi wystarczy – protestuję szybko. – Malowania na razie mam potąd... – Demonstruję dyndające w uszach kolczyki, które przezorna Iwa wsunęła między majtki i biustonosze.

Do kuchni dostojnie wtacza się Nadzieja. W ramionach dzierży koszyk: na stercie młodych ziemniaków dumnie prezentują się zielone ogórki. Będzie pan Edzio zadowolony. I ziemniaczki i mizeria, pewnie i kotlecik się przygotuje. Tymczasem Nadzieja łapie na nas okiem i troskliwym gestem ułożywszy koszyk z produktami na kuchennym stole, łapie za ścierkę i dalej nas z blatu przeganiać!

– Widział je kto, już nie miały gdzie tych tyłków posadzać? Stare panny, a zachowują się jak uczennice! Brać mi się za miskę i ziemniaki obierać, raz, raz! – Płynnym ruchem zgania nas z blatu ścierką, ale w oku zapala się żartobliwa iskierka. Sama zgarnia stosik zielonych ogórków w przepastny fartuszek i spieszy z nimi do zlewu, mrucząc pod nosem. – Nikt się mię nie spyta, czy nie ma za dużo roboty, czy to nie za ciężko dla tyłu gotować. Jeszcze jednego sprowadziła. Artystę! – sarka.

Uśmiechamy się do siebie ze Szparką i posłusznie łapiemy miskę z zimną wodą i kosz z ziemniakami. Do moich nozdrzy dociera charakterystyczny zapach zielonego ogórka i nie myślę już o Marku, który pewnie przygotowuje ścianę pod fresk.

– Mam pomysł na dzisiejsze zabiegi – oświadczam radośnie. – Ile Nadzieja ma tych ogórków?

Rozdział 8

– **P**lasterki zielonego ogórka na nawilżenie cery! – Płąsam pomiędzy rozstawionymi na tylnym trawniku leżakami i podsuwam gościom miskę z kryształu wypełnioną świeżo pokrojonym zielonym warzywem.

– Ale gdzie? – dopytuje pani Zosia, czerpiąc pełną garść plasterków. Spoglądam na nią z niepokojem. A jeśli nie starczy dla innych?

– Najpierw do buzi – rzucam wesołe polecenie. – Proszę zostawić pięć plasterków. Bierzemy po pięć. – Jednym okiem obserwuję, jak pani Zosia przełyka zbędne plasterki, drugim sprawdzam, czy pozostali goście dostosowali się do mojego polecenia. Kiedy wszyscy są gotowi, podchodzę do pani Zosi i delikatnie popycham ją na leżak. Proszę, by wyciągnęła się wygodnie i układam na jej oczach, policzkach i czole zielone plasterki. Następnie zachęcam pozostałych gości, by uczynili podobnie. Pan Edzio mruga do mnie konspiracyjnie i jednym kłapnięciem protezowanej szczęki pochłania swoją porcję ogórków.

– Mnie nawilżenie niepotrzebne! – wyjaśnia. – Zmarszczek też nie mam. Ale ogórki bardzo lubię! – dodaje, wyjadając z kryształowej misy resztę warzyw. Pozostali goście leżą wyciągnięci na leżakach, a soczyste zielone krążki odbijają się na ich opalonych twarzach jak monstrualne piegi.

– Tak, bardzo dobrze! – chwaleń szczerotliwie. – Proszę przyjąć całe dobrodziejstwo płynące z wnętrza ogórka. Ogórek cudownie nawilża. Skóra będzie świeża – wyliczam, rozprostowując palce. – Będzie jędrna. I będzie młoda!

– Będzie młoda? – Pani Elunia unosi plasterek z jednego oka i zerka na mnie podejrzliwie. – Jest pani pewna, pani Kalinko?

– Jak bum ogórek! – zapewniam z poważną miną. Anna Ptak stukająca zawzięcie w klawiaturę prycha lekceważąco. Posyłam jej zirytowane spojrzenie i wracam do warszawiaków.

– No więc po co ja wydawałam dwieście euro na krem z Paryża? Mogłam lepiej kupić trzy kilo tych ogórków!

– Polski ogórek działa na polską twarz. Tak jak polska koza na ciało.

– À propos tej kozy... – Pani Elunia zniża głos do szeptu. – Ja chyba jestem uczulona na to kozie mleko. Bo mi gdzieniegdzie taki biały nalot wyszedł.

– A gdzie? – wyraża zainteresowanie pan Edzio.

– Och, nieważne gdzie! – Pani Elunia czerwieni się jak piwonia zjedzona przez Romea.

– To nie nalot – protestuję szybko. – To... witaminy.

– Witaminy?

– No, tak! Tak właśnie wyglądają witaminy! Widziała pani kiedyś witaminę, pani Eluniu?

– Witaminę? Nie...

– No, to już pani widziała! Tak właśnie wyglądają te słynne witaminy!

– Ciekawe! – Pani Elunia zdejmuje z drugiego oka ogórka i próbuje zajrzeć za bluzkę. Plasterek z czoła

odkleja się i z kłapinięciem ląduje w dekolcie. Pani Elunia udaje, że nic takiego nie miało miejsca. – A dlaczego te witaminy wychodzą, pani Kalinko? I to właśnie tam?

– Gdzie? – dopytuje pan Edzio.

– Nigdzie. – Pani Elunia jest już czerwona jak maki z pól zbożowych otaczających Kamionki.

– Wychodzą tam, gdzie muszą – udzielam dyplomatycznej odpowiedzi. – Kozie mleko ma specyficzne witaminy. Lecznicze witaminy. I one wychodzą na skórze, tam gdzie działają.

– Naprawdę? – cieszy się pani Elunia. – To znaczy, że tam gdzie wyszły, będzie...? – Znacząco zawiesza głos.

– Będzie młodziej i jędrniej. – Śmieję się.

– Muszę koniecznie poczytać o tych witaminach. Kozich. – Śmieje się pan Edzio.

Stwierdzam, że najwyższa pora się ewakuować, inaczej naplotę jeszcze większych głupot.

– Proszę się relaksować! – polecam i czym prędzej robię odwrót w kierunku domu, myśląc już o przyjemności, jaka mnie czeka. Najpierw chłodny prysznic, a później spacer ze Szparką. Kiedy mijam dorodny krzak jaśminu, natykam się na roześmianego Marka.

– Jak żyję, większych głupot nie słyszałem. – Rechocze.

– Cicho! – Gromię go spojrzeniem i łapiąc za łokieć, pospiesznie odciągam w stronę domu, by kuracjusze nie usłyszeli naszej rozmowy.

– Co wy wciskacie tym biednym staruszkom? – Marek ociera załzawione oczy i siada na kamiennym schodku. – Kozie witaminy? Ogórek lepszy od francuskiego kremu? O co tu chodzi? Naciągacie staruszków na kurację za grube stówki, a na drogę sprzedajecie im specjalne kamionkowskie ogórki? Po pięć dych za kilo?

– Nie znasz się! – syczę, zła, że podważa moją wiedzę wyczytaną na Wizażu.

– No, na kozim mleku pewnie nie. Na ogórkach też nie za bardzo. Znam się za to na sztuce i coś mi się wydaje, że ta twoja nimfa nie powstała wprawną ręką artystki!

– O, czyżby?! – Moją twarz opromienia uśmiech triumfu. – Skąd wiesz? Przecież jej nie widziałeś?

Marek na chwilę traci animusz, ale po sekundzie parska kolejnym atakiem śmiechu.

– Jeden zero dla ciebie, Kalinko. Może chcesz zobaczyć zaczęty przeze mnie fresk? Jeszcze sporo pracy przede mną. No ale my, p r a w d z i w i a r t y ś c i nie potrafimy naszkicować nimfy w jedno popołudnie. Ze studnią na dodatek. – Śmieję się.

– Kicham na twój fresk – obwieszczam i wbiegam do chłodnego wnętrza dworku. Czuję, że moje policzki płoną z gniewu. Równocześnie uświadamiam sobie, że ten mężczyzna prowadzi ze mną dziwną grę. Widział moje malowidło, jednak nie zdemaskował mnie przed panią Elizą. Podejrzewam, że zniszczył fresk, aby pozostać w dworku i namalować go od początku. Ale dlaczego? – To pytanie tłucze się po mojej głowie, kiedy zrzucam z siebie ubranie i wsuwam się do kabiny prysznicowej. Odpowiedź spływa na mnie wraz z lodowatą strużką wody i wydaję z siebie głośny krzyk.

– O Boże! – szepczę między szemrzące strumyki wody. – On z pewnością ma coś wspólnego z tym włamaniem! Nie udało mu się znaleźć tego, czego szukał, więc uczynił wszystko, żeby dostać się do dworku! Teraz może plądrować pod pozorem restaurowania fresku!

Zaczynam szcząkać zębami, nie wiem, czy z powodu zimnej wody, czy grożącego nam niebezpieczeństwa. Czuję, jak rośnie we mnie gniew. Trę skórę szorstką gąbką z takim zapalem, że mój cellulit zaczyna już pakować walizki.

– Po moim trupie! Był już taki jeden, co mnie wpuścił w maliny. Nigdy więcej. Nie odpuszczę ci, malarzyno ty!



Podczas kolacji dyskretnie obserwuję Marka. Jest to trudne i niewdzięczne zadanie, bo on bez skrępowania nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby chcąc mi udowodnić, że potrafi mnie rozwścieczyć.

Niestety, potrafi.

Z furią atakuję widelcem plasterek wędliny leżący na moim talerzu i podnoszę go do ust. Przeżuwałam, wpatrując się w okno, za którym powoli zachodzi słońce. Anna Ptak zaczytuje się w Elle, całą walizkę gazet przywiozła czy ki diabeł? Pani Elunia i pani Zosia zatopiły się w wesołej pogawędce. Już nie nadskakują malarzowi. Może śmierdzi farbami, myślę mściwie, wbijając widelec w kolejny pasterek szynki.

– Może ogórka? – proponuje figlarnym tonem Marek.

– Dziękuję. – Potrząsam głową, posyłając mu pobłażliwe spojrzenie.

– Powinnaś jeść owoce i warzywa – poucza mnie, nabijając na widelec marynowaną pieczarkę i podnosząc ją do ust. Przeżuwa powoli i długo, przełyka i uśmiecha się niemal przyjaźnie. – W warzywach są witaminy.

– Tak, wiem! – Wykrzywiam usta.

– Pan Mareczek ma rację – wtrąca się pani Zosia. – Trzeba jeść witaminki. A pani jak ten wróbelek.

– Bo ja najadłam się ogórków, kiedy przygotowywałam dla państwa zabieg – wyjaśniam. Nie kłamię. Kiedy kroiliśmy ogórki na maseczkę, zjadłyśmy ze Szparką chyba z dwa kilo. W rezultacie na obiad nie było wymarzonej mizerii pana Edzia tylko kiszona kapusta ze słoika.

– Podjadanie między posiłkami. Niezdrowy objaw. – Podśmiechuje się pod nosem Marek.

– Takie podjadanie to nie podjadanie – broni mnie pan Edzio. – Ogórki są smaczne i zdrowe, sam lubię co nieco schrupać... – Mruga porozumiewawczo.

– Właśnie! – Składam sztucę na talerzyku i podnoszę się. – A teraz państwa przeproszę, ale spieszę zrzucić trochę kalorii na pokolacyjnym spacerze!

W hallu spotykam Szparkę, która na mój widok robi przeproszającą minę.

– Muszę wracać do domu. Do wsi. Jutro ją nad rzekę zabiorę!

– Pójdę sama. – Wzruszam ramionami. – Pokaż mi tylko drogę.

– Nie gniewa się?

– No co ty! Następnym razem pójdziemy razem! – Poklepuję ją po ramieniu. Wychodzimy przed dworek. Szparka wskazuje mi wąską ścieżynkę ginącą w zaroślach parku i każe iść nią prosto, aż nad sam brzeg kamienistej rzeki.

– Tylko niech nie zbacza z dróżki, bo zabłądzi. I jeszcze ją wilk nastraszy!

Śmieję się, ruszając w zielone chaszczki. Mam nadzieję, że nie ma tutaj kleszczy, o wilkach i innej zwierzynie nie myślę. Niemożliwe, żeby mieszkały tak blisko ludzkiej siedziby. Kiedy zagłębiam się w park, wszystko wokół cichnie i atmosfera robi się dziwnie gęsta. Napominam się w duchu, by wracać, kiedy słońce będzie jeszcze na niebie! Nie mam najmniejszej ochoty skradać się tędy po zmroku. Jeszcze w coś wejść!

Na szczęście po kilkudziesięciu metrach park zaczyna się przerzedzać, a przede mną roztacza się rozległa skarpa i zachwycający widok w jej dole. Rzeka skrzy się w promieniach zachodzącego słońca, zielone łąki nabrały złotej poświaty, podobnie jak wąski chodniczek wiodący w dół zbocza, kamieniste brzegi rzeki i łąka piasku. Stoję tak przez chwilę, oddychając pełną piersią i z zachwytem kontempluję piękny widok. To panorama z okna galerii, która uwiodła mnie do tego stopnia, że posunęłam się do szeregu kłamstw, aby tutaj zostać. Jeśli nawet przez ostatnie dni uwierały mnie wyrzuty sumienia, teraz stopniały jak zeszłoroczny śnieg. Dla tego widoku warto byłoby zaryzykować nawet próbę zamydlenia oczu mojej matce.

Zaczynam powoli zsuwać się w dół zbocza. W połowie drogi zdejmuję klapki i dalej idę bosą, przebierając palcami w ciepłym piasku. Już dawno nie czułam się tak wspaniale zrelaksowana. Ostatnio chyba przed moim niewydarzonym weselem, a nawet i wcześniej nie byłam całkiem spokojna, bo sen z powiek spędzała mi sukienka z kryształkami Svarowskiego i projekt bukietu ślubnego. Tak naprawdę nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak szczęśliwa. Nawet myśl o Marku nie psuje mi przyjemności tej chwili.

Właśnie zbliżam się do rzeki i na powrót zakładam buty, bo kamienie są ostre. Podchodzę do wody i siadam na największym głazie w zasięgu wzroku. Podciągam kolana pod brodę i obserwuję płynącą wodę. Jest pięknie. Potem zdejmuję klapki i moczę stopy w chłodnej wodzie. Zimno! No, ale nie ma się co dziwić, Kamionki leżą w pobliżu Nowego Sącza, a Nowy Sącz leży w pobliżu gór, tak? Więc właśnie maczam stopy w chłodnym, górskim strumieniu. Czy raczej rzece, bo na strumień jest ona nieco za szeroka i z pewnością także głęboka. Wyjmuję stopy i strząsam z nich kropelki wody, a następnie wystawiam je w kierunku zachodzącego słońca, aby szybko wyschły.

Widząc, że słońce znalazło się niebezpiecznie blisko widnokregu, przypominam sobie, że nie chcę przedzierać się przez krzaki po zmierzchu. Z żalem posyłam ostatnie spojrzenie w kierunku migoczącej rzeki i zaczynam piąć się pod górę.

Jest stromo, a ja nie mam najlepszej kondycji. Zanim docieram do połowy zbocza, fuczę jak lokomotywa u Tuwima. Wilgotna stopa ślizga się w klapku, a ja upadam na kolana z bolesnym okrzykiem, bo trafiam w ostry kamień.

– Żyjesz? – słyszę uprzejme pytanie i nie muszę podnosić wzroku, by wiedzieć, kto stoi nade mną. Przekręcam się i opadam na pupę, wzbijając tumany kurzu. Z trudem hamuję łzy. Z kolana cieknie strużka krwi. Dotykam skaleczenia opuszką palca, nie wygląda na głębokie, ale boli jak diabli. Podobnie jak urażona duma, że wylądowałam na kolanach u stóp tego troglodyty.

Nie mogę powstrzymać jęknięcia.

– Poczekaj. – Przez załzawione oczy widzę, jak mężczyzna kuca obok mnie i wydobywa z kieszeni paczkę chusteczek. Delikatnie przeciera skaleczenie i dociska czystą chusteczkę do kolana. Z moich ust dobywa się syknięcie. Jego oczy pod wpływem uśmiechu zmieniają się w wąziutkie szparki.

– Żmija – mówi cicho.

– Proszę? – Naburmuszam się.

– Syczysz jak żmija.

– Yhm. Dziękuję za komplement. I za pomoc.

Podnoszę się ze ścieżki i teraz to ja nad nim góruję. Nie na długo, już się unosi. Zachodzące słońce oślepia mnie, nie widzę jego twarzy.

– Śledzisz mnie? – pytam.

– Co? – Śmieje się. – To już nie można na spacer wyjść? Okolicy pooglądać? Jaśnie hrabianka z dworu ma wyłączność na zachód słońca?

Czuję, że robi mi się głupio. Po ciepłym tonie jego głosu nie pozostało nawet wspomnienie. A ja przypominam sobie swoją refleksję spod prysznic i obietnicę, że zdemaskuję tę podłą kreaturę. O ile oczywiście on wcześniej nie zdemaskuje mnie... Muszę być dla niego miłsza i dowiedzieć się, co knuje.

Przybieram łagodniejszy wyraz twarzy.

– Przepraszam.

– Proszę?

– Powiedziałałam, że przepraszam.

– Słyszę, ale nie wierzę.

– Twoja sprawa. – Wzruszam ramionami. Na powrót zaczynam się piąć pod górę. Kolano nieco szczypie, od czasu do czasu noga ugina się, jakby nie była w stanie utrzymać mojego ciężaru. Mam nadzieję, że kroczący za mną mężczyzna tego nie widzi.

– Poczekaj! – słyszę nagle. Odwracam się z pytającym wyrazem twarzy.

– Boli cię noga? – dopytuje. Wzruszam ramionami. – Bo jeśli nie, to może... Chciałbym ci coś pokazać.

Waham się. Nie znam tego mężczyzny. Może wygląda jak rasowa krzyżówka Clooneya z Ramazzottim, ale wszystko wskazuje na to, że jest przestępcą, który dwukrotnie włamał się do Kamiennego Kręgu. I niedoszłym mordercą Nadziei. Jeśli jednak mam go zdemaskować, muszę się stać jego cieniem. Obserwować. I mieć się na baczności. Przybieram więc uprzejmy uśmiech.

– Dam radę. Prowadź!

Rozdział 9

Wspinamy się stromą ścieżynką wśród krzaków jeżyn. Czuję, że już nie tylko kolano mam pokiereszowane, ale również łydki i kostki obu nóg. Do tego porządnie się zmachałam. Z moją kondycją nie jest najlepiej, jednak nie mam najmniejszego zamiaru dać satysfakcji prowadzącemu mężczyźnie. On pruje pod górę jak samochodzik na podwójnym gazie, od czasu do czasu oglądając się przez ramię i dopytując:

– W porządku?

Idź do diabła, mam ochotę sarknąć, jednak powinnam zachowywać się przyjaźnie i kulturalnie, więc kiwam głową.

– W porządku!

Nie pytam, ile jeszcze zakrętów ciernistej ścieżki musimy pokonać. Za każdym razem wmawiam sobie, że ten jest ostatni. Aby zająć czymś myśli, zastanawiam się, skąd malarzyna zna tutejsze zakamarki. Idzie dość pewnie, nie wydaje się, żeby przemierzał tę drogę pierwszy raz. A może po prostu chce odciągnąć mnie jak najdalej od ludzkich siedzib i zamordować? Nie dam się, obiecuję sobie, dmuchając, aby odgonić niesforną pajęczynę, która wylądowała na moim nosie.

Myśl o potencjalnym morderstwie jest tak fascynująca, że nie zauważam, iż idący przede mną mężczyzna zatrzymał się. Z całym impetem uderzam w jego plecy, aż coś jęknęło mi w piersi.

– Auć! – Patrzy na mnie z wyrzutem.

– Przepraszam. – Uśmiecham się rozbijając, przybierając minę słodkiej idiotki. Spogląda na mnie podejrzliwie, więc szybko dodaję. – Co takiego chciałeś mi pokazać?

– To! – Rozciąga ramiona, jakby chciał wzbić się do lotu, a ja otaczam spojrzeniem rozległą polanę na szczycie wzgórza. Pokrywa ją spalona słońcem trawa, spomiędzy której wyrastają sterczące skały. Polana opada stromą skarpą w dół zbocza, gdzie płynie tak lubiana przez mnie rzeka. Wydaję z siebie jęk zachwyty!

– Jak pięknie! – Podchodzę do brzegu skarpy i przez dłuższą chwilę podziwiam panoramę. Marek bez słowa staje obok mnie. Zerkam na niego przelotnie. – Skąd znasz to miejsce?

Wzrusza ramionami.

– Ja też miałem ochotę na spacer po kolacji, ale z wiadomych względów nie chciałem iść za tobą. Skręciłem więc w lewo.

– Z wiadomych względów? – Unoszę jedną brew w wystudiowanym geście, którego zazdroszczą mi wszystkie przyjaciółki.

– Cóż, nasza ostatnia dyskusja nie należała do przyjemnych, czyż nie?

– Może. – Wzruszam ramionami. – Dlaczego więc zmieniłeś zdanie i przyprowadziłeś mnie tutaj?

– Żeby zrzucić cię w przepaść? – odpowiada pytaniem, a żołądek podchodzi mi do gardła. A jednak? Skończę pogruchotana u stóp wzgórza, a ostatnim moim posiłkiem będzie przesuszony plasterk szynki? –

O Boże! – Marek zaczyna się śmiać. Odchodzi od skarpy i schyla się po suchą gałąź. – Ale masz minę, nie ma co! Myślałaś, że mówię serio?

– Skąd – kłamię, wzruszając ramionami i idę w jego stronę. Nogi mam ciężkie jak z ołowiu. – A więc po co?

– Jesteś artystką. – Teraz on wzrusza ramionami. – Pomyślałem, że docenisz piękno tego miejsca.

– Nie trzeba być artystką, żeby je docenić – stwierdzam filozoficznie.

– Racja! Mam zamiar namalować to miejsce. Oczywiście w wolnym czasie.

Przyglądam się bez słowa, jak gromadzi stertę wysuszonych patyków. Zgrywa się, czy tak dobrze udaje? Skoro jest przestępcą i to złodziejem na dodatek, z pewnością nie potrafi prostej kreski pociągnąć!

– Zapalimy ognisko? – Błyska białymi zębami w uśmiechu.

– W lesie? – Patrzę na niego z politowaniem.

– Oj, hrabianko, nie bądź taka! Nieży z ciebie mieszcuch! Kiedy ostatnio siedziałaś przy ognisku?

Przed maturą, mam na końcu języka, ale milczę. Schylam się po kawałek gałęzi i dorzucam na rosnący stosik. Marek wskazuje mi krąg wytyczony przez kamienie. Najwyraźniej nie my pierwsi odkryliśmy magię tego miejsca i zdecydowaliśmy się ogrzać je płomieniami.

– Tam. Nie chcemy spowodować pożaru, prawda?

Łapię mój patyk i zanoszę go we wskazane miejsce. Otrzepuję ręce i siadam na omszałym kamieniu. Marek parska śmiechem.

– Wysiliłaś się, nie ma co! – Z połamanych patyczków układa równiutki stosik i sięga do kieszeni po zapalniczki. Po chwili ogień wesoło trzaska. Marek dorzuca kilka grubszych polan i przez moment obserwuje, jak płomienie poczynają sobie coraz śmielej, w końcu siada obok mnie.

Czuję się dziwnie. Nie mam powodu ufać temu mężczyźnie. Wprost przeciwnie: wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że ufać mu nie powinnam. A jednak nie mogę zapanować nad rozkosznym dreszczykiem niepokoju, kiedy nasze kolana się stykają. Próbuję sobie wmówić, że to przez chłód wieczoru i żar ogniska, ale taka głupia to ja nie jestem. Nie jest to klasyczny przykład pożądania – o nie! Czytało się przecież powieści Stephanie Laurens i Amandy Quick. Nie ma żadnych motyli w przetyku, brzuchu ani tym bardziej niżej. Jednak coś jest. Tylko co?

Marek milczy i czuję się coraz bardziej niepewnie. W końcu decyduję się zrobić coś, czego obiecałam sobie nigdy w życiu nie robić. Pytam go o ten nieszczęsny fresk.

– Jak ci idzie? – zagajam, zbyt późno uświadamiając sobie, że to dość niebezpieczny temat. Najwyraźniej jednak mężczyzna wyczerpał już limit uszczypliwości na dziś.

– Bardzo dobrze. Myślę, że do końca tygodnia zdążę osuszyć ścianę i wziąć się za malowanie.

Kiwam głową, jakby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem, choć cała aż się skręcam ze wstydu. Jak mogłam myśleć, że uda mi się podszywać pod artystkę, skoro nie miałam pojęcia, że ściana pod malowidło musi schnąć tydzień?

– Przygotowałem już projekt. Pani Eliza zaakceptowała go bez mrugnięcia. – Waha się, po czym parska śmiechem. – No, może nie do końca bez mrugnięcia. Kiedy pokazałem jej pierwszy szkic, westchnęła, że twoja nimfa była jakby wyraźniejsza...

– O, naprawdę? – Ożywiam się.

– Naprawdę – śmieje się malarz. Znowu panuje milczenie. Najwyraźniej oboje czujemy się w swoim towarzystwie lekko skrępowani. Uświadamiam sobie, że wszystko jest o wiele prostsze, kiedy się

kłócimy i obrzucamy inwektywami. Kiedy zapada cisza, jest nieznośnie... spokojnie?

– Jak wam idzie sprzedawanie ogórków? – pyta Marek, dorzucając do ognia kolejne polano brzozy.

– Co takiego? – dziwię się.

– Leczniczych ogórków po pięć dych za kilo – uzupełnia.

– Możesz się śmiać, jednak ogórek posiada silne właściwości nawilżające.

– Tak, słyszałem to, stojąc za krzakiem jaśminu. Trochę dziwne to spa, nie uważasz?

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Wzruszam ramionami.

– Pani Eliza to bardzo sympatyczna starsza pani, ale nie przypomina właścicielki luksusowego kurortu.

A gabinet odnowy biologicznej... – Znacząco wykonuje w powietrzu znak cudzysłowu. – Mieści się w starej bibliotece na kozetce. Wątpię, by to przyciągnęło kolejnych klientów. Jestem zdumiony, że ci się połakomili na tak nieziemską ofertę – śmieje się. – I że nie rozbili wam na głowie tego półmiska z ogórkami, kiedy się spostrzegli, jak wpuszczacie ich w maliny.

– Nie znasz się – mruczę rozzłoszczona. Kim on jest, żeby naśmiewać się z dworku i pani Elizy? – Tutaj będzie zupełnie inaczej. Pani Eliza nie zdążyła powstrzymać siostry przed zamieszczeniem oferty w Internecie, a goście wykupili vouchery. – Fakt, że ja sama podobny voucher otrzymałam, na wszelki wypadek przemilczam.

– Co to znaczy, że będzie inaczej?

– Będzie luksusowo, jak w każdym spa. Tylko nastrojowo bardziej. Bo w najprawdziwszym dworku. Prawie pałacu. – Mówię to niemal chełpliwym tonem, jakby Kamienny Krąg był moją osobistą inwestycją. Marek śmieje się niemal serdecznie.

– Nie znasz się – powtarzam obrażonym tonem. – Kiedy wróci siostra pani Elizy i przywiezie stryjka, wszystko się zmieni!

– Jakiego stryjka? – dopytuje Marek, a ja czuję, że robi mi się gorąco. A to mnie podszedł cwany lis! Przyprowadził mnie tutaj, zafundował zachód słońca i dotyk kolana przy ognisku, a wszystko po to, by uspić moją czujność i wyciągnąć informacje na temat portretu stryjecznego dziadka. Czyż pani Eliza nie mówiła, że portret jest niezwykle cenny? Złodziejaszek nie znalazł niczego kosztownego w bagażu biednej turystki – czyli notabene moim – ani w pokojach letników, więc postanowił zamelinować się w dworku na dłużej.

Znalazł w Internecie informację, że pani Eliza poszukuje artysty do namalowania fresku i zjawił się, by pod przykrywką uprawiania sztuki zagrać tu miejsce. Kiedy przekonał się, że malowidło jest już gotowe i nie ma pretekstu, by zatrzymać się we dworze, posunął się do sabotażu i zniszczył moją nimfę. Następnie wykorzystując swój diaboliczny urok osobisty, omotał panią Elizę i skłonił ją, by zatrudniła go przy nowym malunku. Zadbał nawet o duży zapas czasu, podając, że ściana przed malowaniem musi schnąć tydzień i dając sobie okazję do skrupulatnego przeszukania wnętrza dworku!

Spryciarz z tego Marka, nie ma co! Ale skąd wiedział, że w dworku ma się zjawić stryjek?

Moje rozterki muszą być widoczne na twarzy, bo Marek przygląda mi się z niepokojem i dopytuje.

– Wszystko okej? Strasznie zbladłaś. I poczerwieniałaś.

– To się zdecyduj, zbladłam czy poczerwieniałam, panie artysto? – denerwuję się. – Wracajmy do dworku.

– Gdzie ci się tak spieszy? Mamy jeszcze sporo drewna!

– Chcesz to siedź, ja wracam.

– Chcesz to wracaj, ja zostaję.

Milczę, spoglądając wymownie w kierunku pograżonej w mroku ścieżki. Na łąkę poniżej skarpy padają ostatnie promienie słońca, cienie drzew wydłużają się. Z niepokojem myślę o nieprzyjemnych zakamarkach parku. Zanim dotrę do skąpanego w świetle dworu, zapadną zupełnie ciemności. A ja... cóż. Do odważnych nie należę!

Zajmuję miejsce obok Marka i wymownie milczę, niech wie, że czuję się obrażona.

– No to co z tym stryjkiem? – zagaja po chwili jak gdyby nigdy nic.

– Z jakim stryjkiem? – Robię niewinną minę. Nie wyciągnie ze mnie ani słowa, choćby przypalał moje ciało zwęglonym polanem brzozy.

– Jak to: jakim? – Marek udaje zdezorientowanego, ale wyraźnie widzę, że w jego oczach błyskają wesołe iskierki.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nieznośna dziewczyna z ciebie, wiesz?

– No, ty dżentelmenem też nie jesteś!

– Nie? – dziwi się. – A przecież zabrałem cię w tak romantyczne miejsce! Zbierałem drewno i rozpałiłem ognisko, by było ci ciepło!

– Rzeczywiście, mroźny mamy czerwiec tego roku! – kpię. – A o romantyzm nikt cię nie prosił! Gdyby nie ty i te dwoje durne spacerów, leżałabym już w łóżku!

– Chcesz się położyć? Nie krępuj się! Te wszystkie leśne żyjątka na ciebie czekają!

– Ja... Jakie żyjątka? – Spoglądam na niego z niepokojem.

– Kleszcze. I pająki. Myszki?

– Kleszcze? Tu nie ma żadnych kleszczy!

– O, czekaj no... Co ci tutaj chodzi po nodze? A, to tylko paproch. Ale widziałaś tego węża na ścieżce? Troszkę go przestraszyliśmy. Pewnie się rozżłościł.

– Jaja sobie robisz? – Zrywam się na równe nogi. – Chcę wracać do domu.

– Przecież cię nie trzymam.

– Mścisz się, bo nie opowiedziałam ci o stryjkku?!

– Nic podobnego! Po prostu ostrzegam cię, jakie zagrożenia kryją się w lesie. Nie chcemy, by coś ci się stało, prawda? – Wstaje i spogląda na mnie z góry.

– Ożeż ty! – Walę go dłonią w ramię, a ponieważ nic sobie z tego nie robi, uderzam jeszcze raz, tym razem w okolice żołądka. Śmieje się, więc dokładam raz jeszcze. Czuję, że robię z siebie idiotkę, ale nie zamierzam przestać. Towarzyszy mi wrażenie, że każde uderzenie trafia nie tyle w Marka, co cały męski ród. Z niewiernym Patrykiem na czele. Mam ochotę rozpłakać się w głos.

Biorę kolejny zamach i wtedy na moim nadgarstku zaciska się żelazna obręcz. Marek przyciąga mnie do siebie i unieruchamia. Moja głowa znajduje się na wysokości klatki piersiowej malarza, słyszę, jak mocno bije mu serce i wdycham świeży zapach koszulki. Gdzieś nad głową słyszę cichy głos.

– Już? Uspokoiłaś się?

Mam ochotę zaprzeczyć, choćby po to, by jeszcze przez chwilę poczuć, jak mnie obejmuje, ale wiem, że to kiepski pomysł. Usiłuję zaczerpnąć tchu, by kazać mu się odsunąć, kiedy oślepia mnie ostre światło i zmusza do mocnego zaciśnięcia powiek.

– Proszę się nie ruszać! – Rozpoznaję surowy głos Karola Broszko. – A w ogóle to ręce do góry na raz

dwa!

Rozdział 10

– Ogniska im się w lesie zachciało! – burczy Karol Broszko, podkreślając sumiastego wąsa i spoglądając znacząco to na mnie, to na Marka. – Do szkoły nie chodzili?

– Chodzili – wtrąca ironicznie malarz. Przewracam znacząco oczyma. Jeśli w dalszym ciągu będzie irytował miejscowego stróża prawa, nigdy nie wrócimy do dworku! Już dobrą godzinę stoimy przy zdezelowanym radiowozie komisarza i słuchamy tyrady na temat niebezpieczeństwa, jakie pociąga za sobą rozpalanie ogniska w lesie. Oczywiście, zanim Karol Broszko sprowadził nas w dół zbocza, gdzie zaparkował samochód, dopilnował, byśmy zasypali palenisko własnoręcznie wykopanym piaskiem. Cud, że nie zmusił nas, abyśmy odłożyli na miejsce każdy zgromadzony patyczek.

– Nie pytam, czy chodzili! – ryczy teraz policjant. – Tylko stwierdzam, że pewnie nie chodzili! Nawet dziecko w podstawówce wie, że w lesie ogniska się nie rozpała. A wy rozpalacie. Znaczy nie wiecie.

Spoglądam na Marka cokolwiek triumfująco. Od początku twierdziłam, że z tym ogniskiem to kiepski pomysł. Choć nie mogę skłamać, ładnie było.

– Randki im się zachciało! Romantycznej! W lesie! Przy ognisku! – ryczy dalej komisarz, przeszukując wewnętrzne kieszenie munduru. Uśmiecham się pod nosem. Czyżby Karol Broszko był zazdrosny? W tej chwili spojrzenie policjanta spoczywa wprost na mnie, więc czym prędzej przybieram nieodgadniony wyraz twarzy. – Miałem panią za poważną kobietę – mówi z wyrzutem, wydobywając notes i długopis.

– Nie chcieliśmy sprawić kłopotu – dukam nieśmiało. Zerkam na Marka wyczekująco, chcąc, by wsparł mnie w zebraniu o litość, ale jemu najwyraźniej jest obojętne, czy ten wieczór zakończymy za kratami, czy szczuplejsi o pięćset złotych. – Spotkaliśmy się przypadkiem i pan Marek chciał mi pokazać zachód słońca – tłumaczę gorąco. – Z tym ogniskiem spontanicznie wyszło. I bardzo głupio. Przepraszam. Przepraszamy oboje! – Kończę przeciągłym zgrzytnięciem zębów, bo Marek nadal irytująco milczy i pozostawia tłumaczenia na mojej głowie.

Na szczęście posępne oblicze wąsatego komisarza łagodnieje.

Notatnik w czarnej, skórzanej oprawce wraca w miejsce, z którego został wydobyty, czyli do wewnętrznej kieszeni bluzy od munduru.

Swoją drogą gorąco musi być temu Karolowi. Przepisowy. Zapięty pod samą szyję.

Uśmiecha się do mnie półgębkiem i gładzi wąsa.

– Niech będzie. Ten jeden raz przymknę oko. Ale proszę tego więcej nie robić. – Spogląda surowo na Marka, następnie przenosi spojrzenie na mnie i jego twarz rozjaśnia się. – Najlepiej niech pani w ogóle nie wychodzi z dworku. Zapomniała już pani, że w pobliżu kręci się szajka przestępców?

– Oczywiście, że nie zapomniałam! – Czaruję, jak umiem. – Ale przecież wiem, że pan trzyma rękę na pulsie, panie Karolu!

Policjant puchnie z dumy. Podkreśla mocno wąsa.

– Podwiozę panią do dworku! Widzę, że spotkała panią mała kontuzja? – Znacząco spogląda na moje

kolano.

– Przejdziemy się – wtrąca zirytowany Marek.

– Mów za siebie! – prychem rozżłoszczona. I tak zmarnowałam już przez tego malarzynę kupę czasu. Poza tym kiedy znajdę się sam na sam z komisarzem, będę mogła zdradzić mu swoje podejrzenia względem malarza i poprosić, żeby dyskretnie co nieco sprawdził. A może lepiej nic nie mówić i osobiście trochę powęszyc?

Moje wątpliwości rozwiewa Marek, który głośnym trzaśnięciem sygnalizuje, że jest gotów do drogi. Uśmiecham się do komisarza i pozwalam, aby uchylił przede mną tylne drzwiczki. Rozsiadam się na kanapie i z przerażeniem stwierdzam, że drzwiczki te nie mają klamek! Zerkam na Marka, by sprawdzić, czy taki stan rzeczy robi na nim jakiegokolwiek wrażenie, ale malarz uparcie wpatruje się w ciemne okno i ani śmie zaszczyścić mnie spojrzeniem. Wzruszam ramionami. Dla takiego oprycha podróż radiowozem to z pewnością nie świeżyzna i dobrze wiedział, że wsiadając do wozu policjanta, zostaniemy w nim uwięzieni. Nie to co ja, niewinna i nieświadoma!

Karol Broszko wesoło wskakuje za kierownicę i zdejmuje czapkę, przeczesując włosy. Zerka na nas przelotnie i przekręca kluczyk w stacyjce, wprawiając radiowóz w charakterystyczny warkot. Powoli wytaczamy się na asfaltową szosę i ruszamy w kierunku dworku. Musimy objechać niemal całą wieś. Kiedy mijamy supermarket, zauważam wóz z Romeo zaparkowany naprzeciwko komisariatu. Uśmiecham się pod nosem. Kiedy kota nie ma, myszy harcują, czyż nie?

– Pani spacerki sobie urządza, a w dworku nie wiedzą, w co ręce włożyć. Nowi goście zjechali! – mówi nagle Karol Broszko, zerkając na nas w lusterku.

– Znowu? – Nie mogę powstrzymać jęku rozpacz. Marek parska krótkim śmiechem.

– Ja to się na tych waszych biznesach nie znam. – Kręci głową policjant. – Ale chyba o to w tym chodzi, by przyjeżdżali, co nie?

– Teoretycznie – zgadzam się.

– A praktycznie? – interesuje się policjant.

– A praktycznie to nie wiem, co z nimi wszystkimi zrobimy.

– Nakroisz świeżych ogórków i podasz – sugeruje Marek, któremu najwyraźniej wrócił dobry humor. Postanawiam go ukarać i niby przypadkiem wymierzam solidnego kopniaka w jego lewą kostkę. Syczy i spogląda na mnie z wyrzutem, ale ignoruję go. Tymczasem Karol Broszko kontynuuje wywód na temat przyszłości ośrodka.

– Tutaj wszyscy bardzo na panią Elizę liczą. Pracy we wsi nie ma i trzeba daleko dojeżdżać. A gdyby tak dworek przyciągnął znanych i bogatych... – Rozmarza się. – Pewnie i biznesy by się rozkręciły. Tak czy nie?

– To samo mówiła pani na poczcie – przyznaję.

– No, czyli rację mam! – cieszy się policjant. Zerka na mnie w lusterku i dodaje pocieszająco: – Pani Kalinko, początki są trudne wszędzie... ale zaręczam, że z tymi gośćmi wiele kłopotu nie będzie. Elegancik jakiś z telefonem przy uchu. Zapracowany strasznie. Pewnie nie będzie miał nawet czasu na te wasze zabiegi! Aha! I kobiecina w ciąży. A co taka w ciąży może? Plackiem będzie leżeć na leżaku i tylko jej dogadzać trzeba!

– Ogórkami... – dopowiada Marek. Na jego kostce ląduje kolejny kopniak.

– Nawet pan nie wie, ile przez takie ciężarne kłopotów! – Wzdycham zrezygnowana.

Dojeżdżamy do dworku i Karol Broszko wysiada, aby otworzyć przed nami drzwiczki radiowozu. Zakłada czapkę i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na powrót przemienia się w służbistę pod wąsem. Obwieszcza, że tym razem nasze nieodpowiedzialne zachowanie puszcza w niepamięć, ale będzie miał nas na oku! Mierzy przy tym Marka dość nieprzychylnym spojrzeniem, z czego sam zainteresowany nic sobie nie robi. Pogwizdując pod nosem, odchodzi w kierunku budynku, wprawiając tym policjanta w osłupienie.

– Dobranoc, panie Karolu! – Czuję się w obowiązku wynagrodzić policjantowi nieuprzejme zachowanie kolegi piromana. – Bardzo panu dziękuję za... wszystko.

– Nie ma o czym mówić! – Wąsacz rozpływa się w uśmiechu, zdejmując czapkę. – Gdyby pani chciała... tutaj we wsi... festyn... – niezdarnie formułuje propozycję, którą natychmiast muszę uciąć!

– Zobaczymy, zobaczymy! Teraz, kiedy zjawili się kolejni goście, będzie dużo pracy! Bardzo dużo! – tłumaczę gorąco, równocześnie wycofując się w kierunku wejścia do dworku. Na pożegnanie macham ręką. – Dobrej nocy, panie Karolu!

– Dobrej nocy, pani Kalinko! – mruczy spod wąsa Karol Broszko, odprowadzając mnie wzrokiem zaskakująco przypominającym spojrzenie, jakie moja matka kieruje ku herbatnikom w polewie czekoladowej. Czym prędzej zaszywam się w hallu dworku i zamykam za sobą drzwi, przekręcając w zamku staromodny klucz. Dwa razy. Następnie zerkam przez firankę na podjazd i obserwuję manewry radiowozu po krętych alejkach parku.

– Co robi? – dobiega mnie nagle głos gdzieś zza pleców.

– Policjant? Pojechał! – Wydobywam z siebie westchnienie pełne ulgi.

– Jaki znów policjant? – dziwi się Szparka, podchodząc do okna. – Pytam, co ona robi?

– Ja?

– No, a ja?

– Sprawdzam, czy odjechał.

– Kto?

– No policjant. Mówię przecież, że policjant.

– A czego policjant tu szukał?

– Niczego – wzruszam ponuro ramionami. – Przyłapał nas w lesie. Mnie i malarza.

– O mamuniu! – Szparka łapie się za brzuch i trzęsie ze śmiechu. – Na bara-bara?

– Jakim bara-bara? Na ognisku nas przyłapał.

– Jakim ognisku? Przecież w lesie nie wolno ogniska palić! Nie wie?

– Pewnie, że wie! Sam nam powiedział!

– Nie policjant! – Śmieje się Szparka, aż jej łzy po policzkach płyną. Strasznie wesoła z niej dziewczyna. – Pytam, czy ona nie wie? Przecież każde dziecko wie, że w lesie ogniska palić nie wolno!

– Wielkie mi rzeczy! – Naburmuszam się. – Że dziecko wie... Kiedy byłam dzieckiem, też wiedziałam! Ale teraz jakoś zapomniałam.

Szparka kręci głową, przyglądając mi się, jakbym była dziwnym okazem owada. Żuka gnojowego chociażby. W końcu łapie mnie za rękę i zaaferowana tłumaczy, że nowi goście do dworku zjechali i za nic nie chcieli słyszeć, że nie ma ani miejsca, ani luksusów. Voucher pokazali, że wykupiony mają i odmówili przyjazdu w innym terminie. Pani Eliza dostała migreny i zamknęła się w bibliotece, a wściekła Nadzieja stłukła trzy porcelanowe talerze, zapowiadając równocześnie, że biedna koza

więcej mleka nie da i więcej sera też nie będzie. Sama Szparka miała wracać do wsi, ale z tego wszystkiego zostać musiała. Pokój przygotować, ręczniki i wszystko, co to tacy potrzebują.

– I co teraz? – pytam zmartwiona. – Co my z nimi wszystkimi zrobimy?

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami Szparka. – Wiem tylko, że na noc w dworku zostanę i od szóstej będę wodę z mydłem rozrabiać, bo ta nowa też się chce w mleku kozim wykapać. W ciąży jest, brzuch ma duży, to i dużo więcej tej wody potrzeba...

– Nastaw budzik na piątą. Pomogę ci. – Wzdycham, ruszając schodami na piętro. W tej chwili nie myślę o zabiegach pielęgnacyjnych i kozim mleku, ale o zwykłym prysznicu z kawałkiem różanego mydła i o chłodnej pościeli. Wspinając się po stopniach, czuję, jak zranione kolano boleśnie pulsuje. Jak nic jutro nie dam rady prowadzić aerobiku. Trzeba będzie zapewnić gościom inne rozrywki. Ale jakie?

Kiedy mijam pokój malarza, zauważam lekko uchylone drzwi. Taka okazja może się już nie trafić, więc dyskretnie zerkam do środka. Pokój tonie w półmroku, a zza drzwi łazienki dobiega pogwizdywanie i szum płynącej wody. Dobra moja, bierze prysznic! Pospiesznie ogarniam spojrzeniem niewielki pokój, do złudzenia przypominający mój własny. Pod ścianą łóżko zaścielone niebieską narzutą w kwiatki, na niej podróżny neseser i kilka sztuk odzieży. I coś jeszcze, ale co?

W półmroku widzę słabo, więc niespokojnie zerkając za siebie, wchodzę do pokoju i zbliżam się do łóżka. Przez chwilę bez słowa patrzę na przedmiot beztrosko spoczywający wśród ubrań malarza, aż w końcu biorę go do ręki i podnoszę do oczu.

– Niech to szlag! – stwierdzam zadziwiająco spokojnie, zważywszy na to, jak mocno trzęsą mi się nogi.

Nagle dociera do mnie, że odgłos płynącej wody ucichł. Obrzucam trzymany w dłoni przedmiot ostatnim spojrzeniem i odkładam w to samo miejsce, w którym leżał, zanim weszłam do pokoju. Następnie trzema szybkimi susami opuszczam sypialnię malarza i chowam się za załomem korytarza. Sypialnię malarza? Dobre sobie!

– Nie wiem, kim jesteś, ale z pewnością nie malarzem! – szepczę oskarżycielsko, wchodząc do własnego pokoju. – Chyba, że malowanie rewolwerem to jakaś nowa technika?

Rozdział 11

Dlaczego letnie noce są takie krótkie?

Zadaję sobie to pytanie o piątej piętnaście, kiedy Szparka delikatnie puka do moich drzwi, po czym otwiera je i wsuwa do pokoju rozczochraną głowę. Spogląda na mnie pytająco i nie mam sumienia jej wyznać, że jestem niewyspana, bo moje oczy zamknęły się dopiero trzy godzinki temu, kiedy przeanalizowałam już na wszystkie sposoby sytuację z Markiem alias malarzem czy też złodziejem, czy innym przestępcą. Kiwam ręką na znak, że zaraz wstaję, a kiedy znika, odwracam się na drugi bok ze słodką obietnicą „jeszcze pięć minut” i niewielką strużką śliny kapiącą z kącika ust na haftowaną poszewkę.

Pół godziny później schodzę na dół i rozkoszuję się ciszą panującą w budynku. O tak wczesnej godzinie moja bogata wyobraźnia działa na najwyższych obrotach. Niemal widzę, jak piękny musiał być dworek w czasach świetności. Staję na środku hallu, unoszę ręce w górę i przeciągam się błogo. Wdycham charakterystyczny zapach starych budynków. Przesuwam dłonią wzdłuż drewnianej boazerii i podchodzę do okna, zza którego obserwowałam minionego wieczora odjazd Karola Broszko. Teraz podjazdu nie szpeci żaden współczesny wóz, więc z łatwością mogę sobie wyobrazić, jak przed schody podjeżdża elegancka dorożka ciągnięta przez dwa kare konie. Ze schodów zbiega piękna dziewczyna z długim czarnym warkoczem i wdrapuje się do pojazdu. Piękny widok!

I jaki rzeczywisty! Dziewczyna w białej sukni, z długim czarnym warkoczem siedzi na stopniach. Pewnie dorożka się spóźnia...

Przecieram z oczu resztki snu i dociera do mnie, że to żadna dziewczyna i żadna dorożka. Na schodach siedzi pani Eliza i popija kawę z dużego porcelanowego kubka, wystawiając twarz do wędrującego po niebie słońca.

Wychodzę na zewnątrz i zajmuję miejsce obok. Od kamiennych płyt ciągnie chłodem, ale i tak jest bardzo przyjemnie. Wstał kolejny piękny letni dzień. W zaroślach śpiewają ptaki. Trawnik lśni kropelkami rosy. Jest cudownie!

Pani Eliza podaje mi kubek i bez skrupowania upijam z niego łyk gorącej kawy z mlekiem. Mocnej i słodkiej, takiej jak lubię. Milczymy, myśląc o sprawach, które są znane tylko nam samym. Ja dumam nad tym, jak bardzo odmieniło się moje życie w ciągu ostatnich miesięcy. Najpierw byłam radosną narzeczoną, która wybierała kolor serwetek na weselny stół i szukała idealnych perełek do bukietu ślubnego. Następnie zdradzoną narzeczoną, chlapiącą i smarkającą w mankiet bluzki, życzącą byłej przyjaciółce czworaczek, cellulitu i hemoroidów. Jeszcze później desperatką, która uzbrojona w voucher i powieść o Bridget Jones wyruszyła w poszukiwaniu spa wśród pól i lasów.

Tyle się wydarzyło, odkąd wyjechałam z Krakowa i trafiłam do dworku!

Trudno mi uwierzyć, że do niedawna nie miałam bladego pojęcia o istnieniu Kamionek, Kamiennego Kręgu, pani Elizy i stryjecznego dziadka! Zjawiłam się tutaj, mając przed oczyma obraz ekskluzywnego

apartamentu, łoża z baldachimem i opalonego kelnera serwującego uzdrawiające koktajle z pietruszki. Co zastałam? Stary dworek wśród drzew, kępę pokrzyw pod płótem i kozę leniwie przeżuwigającą trawę na łączce za kurnikiem! Miałam wylegiwać się w kąpielach błotnych i poddawać działaniu biczów wodnych. Zamiast tego zostałam malarką spływających fresków, instruktorką aerobiku dla emerytów i nauczyłam się przyrządzać kąpiele z mleka z supermarketu rozcieńczonego wodą z mydłem. Wierzyłam, że moje wczasy będą emocjonujące, ale z pewnością nie spodziewałam się, że odbędę przejażdżkę radiowozem i przyjmę na siebie zadanie zdemaskowania groźnego przestępcy podającego się za malarza artystę. Przestępcy posiadającego broń, dodaję w myślach.

Na samo wspomnienie o Marku dopada mnie zły humor. Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie na polnej drodze i jego wesołe niebieskie oczy. Ile bym dała, by w tamtym momencie okazał się kimś innym. Choćby sprzedawcą używanych lodówek czy agentem ubezpieczeniowym. Ale nie, Kalina Radecka nie może spotkać na swojej drodze uczciwego sprzedawcy lodówek! Kalina Radecka musi spotykać mężczyzn, którzy z uczciwością mają tyle wspólnego, co Kambodża z Lechem Wałęsą!

I taki Marek nie mógł się okazać przyjemnym sprzedawcą lodówek.

Czy chociażby malarzem widoczków pod Wawelem!

Taki Marek musiał okazać się groźnym przestępcą. Szefem szajki złodziejskiej, która czyha na skarby ukryte w starym dworku. Być może nawet na powracającego z renowacji stryjecznego dziadka.

Taki Marek równie dobrze może okazać się gangsterem. Broń nosi. Ciężką i czarną, więc raczej prawdziwą...

A tak ładnie pachnie. I tak przyjemnie przytula...

Gwałtownie wciągam powietrze, uświadamiając sobie, o czym myślę. Pani Eliza patrzy na mnie zdziwiona.

– Co się stało? Ząb cię zabolął?

– Nie, nie, zamyśliłam się tylko.

– Wiesz co, Kalinko... – Upija łyk kawy i ponownie podaje mi kubek. Uśmiecha się przy tym cokolwiek tajemniczo. – Ten nasz Karol... Wiesz, komisarz. To się chyba do ciebie będzie zalecał.

Krztuszę się upijaną właśnie kawą, nie mogę złapać tchu. Pani Eliza usłużnie wali mnie otwartą dłonią w łopatkę. Spoglądam na nią zażalonym wzrokiem i udaję, że nie wiem, o czym mówi.

– W żadnym razie! Skąd w ogóle taki pomysł?

– O, moje dziecko! – Kiwa głową, śmiejąc się serdecznie. – Ja tam wiem, co mówię. Nigdy wcześniej nie zjawiał się w dworku. A wczoraj wieczorem zajechał i dobre pół godziny majstrował przy tym swoim wásie, zanim wysiadł z auta. Kiedy usłyszał, że wyszłaś na spacer z panem Markiem, jakby powietrze z niego uszło. Zabrał te swoje kwiaty i poszedł...

– Wcale nie wyszłam z Markiem na żaden spacer! Sam przyplątał się do mnie i przyczepił jak rzep do psiego ogona.

– Całkiem przystojny ten rzep! – Pani Eliza puszcza oczko. Czuję, że po mojej twarzy pełźnie zdradliwy rumieniec, ale postanawiam iść w zaparte.

– Zupełnie nie w moim typie! – zastrzegam.

– A mnie się wydaje, że coś jest na rzeczy. On z ciebie właściwie oka nie spuszcza. Obserwuje, gdy myśli, że nikt nie widzi. Tak dosyć ciepło na ciebie spogląda...

A to ciekawe! I budujące, że szef szajki złodziei dzieł sztuki ma mnie na oku! Choć tak ładnie pachnie...

Głośno przełykam ślinę i potrząsam głową.

– Nic z tych rzeczy. To tylko znajomy, pani Elizko. I to nawet niezbyt trafiony... – Wzdycham.

– Cóż, wielka szkoda! – Właścicielka dworku również wzdycha żałośnie. – Moglibyśmy piękne wesele w Kamiennym Kręgu wyprawić... Stoliki na tylnym trawniku. Fontanna z szampanem. Namiot dla orkiestry i piękna panna młoda zstępująca po stopniach z galerii... Jak za starych dobrych czasów. Widzę to oczyma wyobraźni.

– Bardzo dziękuję, ale znając moje szczęście, potknęłabym się na rąbku sukni i zleciała na łeb na szyję. Poza tym Marek absolutnie nie wchodzi w grę!

– A może Karol? – z szelmowskim błyskiem w oku podpytuje pani Eliza.

– Też dziękuję. W tej chwili dziękuję wszystkim chłopom tego świata.

– Szkoda, bo to takie romantyczne miejsce. – Pani Eliza marszczy nos jak królik, co wcale romantycznie nie wygląda i wzbudza mój chichot. – W sam raz, żeby się zakochać! Nie chciałyby się zakochać, Kalinko?

– Już się raz zakochałam – mruczę.

– I co się z nim stało?

– Właściwie to nic. Zostanie tatusiem.

– Oj, to przykre.

– Było przykre, pani Elizko. Ale jeszcze bardziej byłoby przykre, gdyby został również tatusiem moich dzieci. Mógłby nie wyrobić na zakrętach.

– Jesteś niezwykłą dziewczyną, Kalinko! To chyba ta artystyczna dusza!

– Z pewnością! – przyznaję.

– A wracając do tematu naszych panów, ten Karol to prawdziwa pocziwina. Znam go od dziecka. Będzie kiedyś dobrym mężem.

Przygryzam wargę, spoglądając na nią.

– Myśli pani, że można mu zaufać?

– Dałabym sobie rękę uciąć! A wiesz, że mojej ręki lekkomyślnie nie zastawiam. Jest mi potrzebna do pielęgnowania kwiatów. – Macha mi przed nosem spracowaną dłońią. Przez chwilę się waham i rozmyślam, co właściwie chcę zrobić. Jestem niezdecydowana i choć sama przed sobą nie umiem tego przyznać, ma to źródło w dotyku i zapachu Markowej koszulki.

Weź się w garść, przykazuję sobie twardo. To przestępca. Złodziej. I z pewnością nie jest romantycznym Robin Hoodem, który kradnie bogatym, daje biednym i uwodzi niewinnymi pocałunkami niewinne dziewczęta! Ma broń i jest niebezpieczny!

Zrywam się na równe nogi. W tej samej chwili drzwi się uchylają i na schodach staje Szparka. Założyła biały fartuch, pod pachą dzierży karton mleka. Spogląda na mnie wyczekująco.

– Jeszcze chwilkę, proszę! – Składam ręce jak do modlitwy. – Muszę coś sprawdzić!

– Co? – wyrzywa się równocześnie z ust Szparki i pani Elizy.

– Zaraz wracam! – krzyczę, biegnąc w kierunku niedużego parkingu na lewo od budynku. Placyk wysypany jest drobnym kamieniem, który chrzęści pod stopami. Stoją na nim cztery samochody. Jeden z nich należy do malarza. Wydobywam z kieszeni szortów telefon i obejrzawszy się przez ramię, szybko pstrykam zdjęcie rejestracji.

Skoro pani Eliza twierdzi, że Karolowi Broszko można zaufać, pewnie tak jest. Poproszę go, by

sprawdził, kim jest tajemniczy Marek. Zdradzę mu swoje podejrzenia, być może wspólnymi siłami zdemaskujemy szajkę złodziei i za moją sprawą komisarz zdobędzie awans?

Na myśl o tym uśmiecham się pod nosem i szybko robię jeszcze kilka zdjęć, na wypadek gdyby poprzednie okazało się niewyraźne. Mówiłam, że ci nie odpuszczę, malarzu?

Chowam telefon do kieszeni i powoli ruszam w kierunku dworku. Mijam czerwony kabriolecik Anny Ptak i solidne kombi warszawiaków. Nagle moją uwagę przyciąga ostatni w rzędzie samochód. Wydaje się cokolwiek znajomy. Zerkam na numer rejestracyjny i czuję, że oblewa mnie zimny pot.

Oczywiście, że wydaje się znajomy!

Siedziałam w nim setki razy!

Stoję przed wozem niewiernego Patryka!

A to może oznaczać tylko jedno! Nowymi gośćmi w dworku są mój były narzeczony i brzuchata Jolka!

Rozdział 12

– *I* co teraz?

– Jak to co? Zalewaj!

– Nie ma już mleka.

– A woda?

– Woda jest, ale mydło się skończyło.

Pochyliłam się nad wanną, w której za parę chwil będzie moczyć swoje ciało ta zdradziecka kobieta. Zdradziła mnie jako przyjaciółka i jako kochanka mojego narzeczonego. Sama już nie wiem, co bolało bardziej. Przygryzam mocno wargę i rozglądam się po zabytkowej łazience.

– No, to sama nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Może wsypujemy proszku do prania? – proponuję mściwie.

– Oszalała! – Szparka posyła mi spłoszone spojrzenie.

– Żartuję przecież! – usprawiedliwiam się pośpiesznie.

– Już się bałam, że się jej na rozum rzuciło przez te randki w lesie! – Szparka odsłania w uśmiechu imponującą przerwę w uzębieniu. Grożę jej palcem i zamierzam wyjść, ale w ostatniej chwili sobie o czymś przypominam.

– Zostaw tak, jak jest, tylko o kwiatkach nie zapomnij. Sypnij jej bogato, to nie zauważy, że wody jest mało!

– Dobry pomysł! – Kiwa głową dziewczyna i zabiera się za rozstawianie dziesiątek nowych świec.

Obserwuję ją przez chwilę z szelmowskim uśmiechem, a potem wychodzę i szybko przemykam przez hall. Z jadalni dobiega szcęk naczyń i szmer rozmów. Wbiegam na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na razie nie mam zamiaru konfrontować się z byłym narzeczoną i jego nową ukochaną, którzy z pewnością wcinają właśnie bułeczki z twarożkiem. Na samą myśl o Casanovie i jego flądrze zaciskają mi się pięści. Co oni tutaj robią, do cholery?



Wzburzona pędzę korytarzem, robiąc w myślach przegląd garderoby przysłanej przez Iwę. Nie mogę się przecież pokazać w szortach i koszulce, prawda? Przypominam sobie zwiewną sukienkę w indyjskim stylu, która ma przyjemnie wycięty dekolt i ładnie faluje wokół kolan, i na myśl o niej uśmiecham się szeroko. W tym samym momencie z całym impetem wpadam w czyjeś wyciągnięte ramiona.

– No proszę! Kogo my tu mamy? Jak miło!

– Och, puszczaj! – złoszczę się, spoglądając w roześmiane oczy Marka.

– Przecież to ty mnie staranowałaś!

– Nic by się nie stało, gdybyś się wziął do porządnej roboty, a nie szwendał po dworku!

– Wstałaś lewą nogą? – dziwi się. – Prawdziwa z ciebie zołza, wiesz?

– A z ciebie dupek! – Zgrzytam zębami i próbuję go wyminąć, ale łapie mnie za nadgarstek i unieruchamia.

– Bądź grzeczna, hrabianko!

– Bo co?

– Bo stracę wreszcie do ciebie cierpliwość i...

– I co? – wchodzę mu w słowo, starając się ukryć strach.

Nie odpowiada, puszcza moją dłoń i odchodzi, machając mi na pożegnanie palcami. Obserwuję, jak znika na galerii, gdzie z pewnością suszy swoją ścianę i przygotowuje się do namalowania fresku. Fałszywego fresku, takiego fresku, jaki z niego malarz.

Zupełnie jak ty, podpowiada moja podświadomość, ale brutalnie ją tłamszę. Nie mam na to czasu. Powinnam dostarczyć Karolowi Broszko numer rejestracyjny samochodu i zastanowić się, jak pogodzić się z obecnością w dworku mojego eks i jego aktualnej.

A tymczasem muszę znaleźć sukienkę...



Ukradkiem obserwuję zza firanki, jak Jolka wyciąga się na leżaku na tylnym trawniku. Chociaż od środka gniecie mnie ukłucie zazdrości, muszę przyznać, że odmienny stan obszedł się z jej smukłym ciałem wyjątkowo łaskawie. Mimo zaawansowanej ciąży pozostała szczupła i kobieco zaokrąglona tu i ówdzie. I tylko okrągły jak piłka do koszykówki brzusek dowodzi tego, iż lada chwila zostanie matką. Cóż, chyba muszę pogodzić się z faktem, że za nielojalność, jakiej dopuściła się względem najlepszej przyjaciółki, raczej nie zapłaci brzydkim cellulitem i żyłakiem na łydce. Jolka będzie piękną mamusią równie pięknego bobaska.

Pospiesznie przeliczam w myślach i uświadamiam sobie, że ciąża Jolki musi być na finiszu. Już kiedy spotkałyśmy się przed osiedlowym jarzyniakiem, była dość okrągła, a przecież od tamtej chwili minęły ponad trzy tygodnie. No nie wiem, czy takim dobrym posunięciem dla ciężarnej jest odpoczynek w spa, gdzie funduje się te wszystkie kąpiele i masaże, które mogą przyspieszyć akcję porodową. I wcale nie ma znaczenia, że w tym spa tego akurat nie ma. Kiedy wybierali się w podróż, nie mogli tego wiedzieć. Ale Patryk nigdy nie był szczególnie zapobiegliwy, czego najlepszym dowodem jest owoc jego romansu z najlepszą przyjaciółką narzeczonej!

Przyglądam się teraz, jak sam zainteresowany przemyka przez trawnik, niosąc dwie szklanki wody. Kładzie je na niskim stoliku i rozkłada się na drugim leżaku, podciągając duże przeciwsłoneczne okulary na czoło i lustrując mury starego dworku. Cofam się nieznacznie, by nie dostrzegł mojej sylwetki za cienką firanką.

Nurtuje mnie, dlaczego uparł się przyjechać w to miejsce. Bo że bardzo mu na tym zależało, jestem pewna. Najpierw usiłował odzyskać voucher, który ciotka przesłała na mój adres. A kiedy okazało się to niemożliwe, wykupił kolejny. Skąd wiedział, o jakie miejsce chodzi? Trafił przypadkiem? Trudno w to uwierzyć. Czy wie, że tutaj jestem? Jeśli tak, przychodzi mi na myśl tylko jedno wytłumaczenie jego dziwnego zachowania. Chce zrobić mi na złość i zademonstrować swoje szczęście z Jolą? A może to ona chce mi udowodnić swoją wyższość i pokazać, że on należy wyłącznie do niej?

Udało mi się unikać ich przez całe przedpołudnie, ale zdaję sobie sprawę, że nie mogę kryć się bez końca. Prędzej czy później wpadniemy na siebie i nastąpi pełna skrępowania chwila. A później co? Oblewa mnie zimny pot! Przecież oni mogą mnie zdemaskować! Ujawnić przed panią Elizą, że żadna ze mnie artystka, ale zwykła bibliotekarka! I że nie zjawiłam się tutaj w celu odmalowania fresku, ale w ramach nieudanej podróży poślubnej!

Czy już zawsze będę się bać, że ktoś odkryje i wyzna, kim naprawdę jestem? Policja, Marek, a teraz jeszcze Patryk i Jolka? Już sama nie wiem, kogo powinnam się wystrzeżać. Eksnarzeczonego czy potencjalnego rzezimieszka?

Doprowadzam się do porządku i uświadamiam sobie, że wpatruję się w twarz Patryka, a on spogląda wprost na mnie. Nie tylko mnie widzi, ale nieznacznie się uśmiecha.



Robię wszystko, by nie zjawić się w jadalni podczas obiadu. Teraz kiedy już wiem, że mój niewierny eksnarzeczony zdaje sobie sprawę z mojej obecności w dworku, nie widzę większego sensu w czynieniu zaskakującego „wejścia”. Większego sensu nie widzę również w ukrywaniu się po ciemnych kątach, niemniej sama przed sobą muszę przyznać, że najzwyczajniej boję się tego spotkania. Wracam do swojego pokoju, zdejmuję indyjską sukienkę i odwieszam ją do szafy.

Czuję się o wiele lepiej, kiedy zakładam wygodne ciuchy. Wychodzę na korytarz i nasłuchuję szmeru rozmów dobiegających z parteru. Wyraźnie słyszę głośny śmiech Marka. Na myśl, że zabawia rozmową nowo przybyłych gości, robi mi się nieprzyjemnie. Postanawiam jednak wykorzystać chwilę jego nieobecności i trochę pomyszkować. Tym razem jednak nie mam zamiaru przeszukiwać jego pokoju, w którym mogą czaić się inne niebezpieczne zabawki. Zamiast tego wspinam się na galerię i niespokojnie zerkając za siebie, podkradam się do restaurowanego fresku. Jestem bardzo ciekawa, jak ten złodziejaszek poradzi sobie z namalowaniem nimfy!

Jeśli jednak liczyłam na to, że moim oczom ukażą się bohomyzy, jestem zmuszona przełknąć gorycz porażki. Na wprost mnie wznosi się wyrazisty szkic spienionej wody i wychylającej się z głęбини młodej kobiety. Zafascynowana przyglądam się delikatnym rysom jej twarzy i splecionym nad głową dłoniom. Chociaż na pierwszy rzut oka widać, że przed artystą jeszcze wiele pracy, już teraz w powstającym malunku można dostrzec ogromne piękno. W tej chwili mam przed oczyma proste szkice, ale kiedy pojawi się kolor, fresk nabierze głębi i stanie się wielką ozdobą dworku.

Przez głowę przemyka mi myśl, że być może źle oceniłam sytuację i Marek wcale nie jest przestępcą. Czy ktoś obdarzony tak wielkim talentem może być pospolitym złodziejem? Najwyraźniej tak, skoro wyposażony jest nie tylko w same pędzle, ale i w rewolwer, myślę, odczuwając niespodziewany smutek.

Nagle dobiega mnie odgłos kroków na schodach. Ktoś wchodzi na galerię i niespiesznie zmierza w kierunku fresku. Przeszukuję wzrokiem wąską przestrzeń, by znaleźć jakąś kryjówkę. Nie mogę dać się przyłapać w tym miejscu! Wolę nie myśleć, co się wydarzy, kiedy Marek dotrzyma obietnicy i straci do mnie ciepłość. Pospiesznie chronię się za załomem wąskiego korytarzyka prowadzącego na strych i wstrzymuję oddech. Wyraźnie słyszę odgłos własnego galopującego serca, ale ze zdumieniem stwierdzam, że przebija się przez niego także popiskujący dźwięk wciskanych klawiszy telefonu. Nie mam wątpliwości, do kogo należy przytłumiony męski głos.

– Tak, to ja – słyszę. – Urządziłem się na dobre. Wszystko przebiega bez zakłóceń. Tak jak się spodziewaliśmy...

Przez chwilę panuje cisza, najwyraźniej rozmówca po drugiej stronie linii przekazuje jakieś wskazówki. Wstrzymuję oddech, by nie zdradzić się ze swoją obecnością na galerii. Parę kroków ode mnie Marek ponownie zwraca się do telefonu.

– Wszystko powinno rozstrzygnąć się w ciągu najbliższego tygodnia. Obraz pojawi się lada dzień, otrzymałem już sygnał, że wyruszył. To piekielnie cenne cacko!

Tym samym upewniam się, że chodzi o portret stryjecznego dziadka. Pani Eliza liczy, że obraz stanie się atrakcją spa, tymczasem złodzieje już się o nim dowiedzieli i ostrzą sobie nań pazurki! Ciekawe, czy właścicielki pomyślały o ubezpieczeniu?

– Martwi mnie dziewczyna – słyszę nagle i pojmuję, że chodzi o mnie samą. Czuję, jak mój żołądek zawiązuje się w supeł. – Jeśli nie przestanie się mieszać, trzeba będzie się jej pozbyć!

Wzdłuż mojego kręgosłupa spływa lodowata strużka potu. Zabawne, przed chwilą było mi tak gorąco, a teraz mam wrażenie, że znalazłam się we wnętrzu lodowatej chmury. Jeszcze moment i zacznę szcząkać zębami. A wtedy Marek błyskawicznie mnie zlokalizuje i spełni swoją groźbę. Wokół wibruje groźna cisza. Dopiero po chwili pojmuję, że mężczyzna zakończył rozmowę i odszedł, w oddali słyszę jego kroki na schodach. Pospiesznie opuszczam kryjówkę i przemykam się do swojego pokoju. Sięgam po telefon, dzięki któremu utrwaliłam numer rejestracyjny wozu malarza. Pora złożyć wizytę w miejscowym komisariacie i wykorzystać swój urok osobisty.



Schodzę na parter, gdzie natychmiast przechwytuje mnie Szparka.

– Co się z nią dzieje? – pyta.

– Z kim? – Rozglądam się niespokojnie na boki. Nie wiem, gdzie przebywają Patryk i jego ciężarna samica, ale wiem, że nie mam ochoty ich spotkać. Nie w tej chwili, kiedy mam zamiar wyruszyć z tak poważną misją i muszę zachować niezmałony umysł.

– No ona! – Trąca mnie niecierpliwie palcem wskazującym. – Dlaczego ukrywa się przez cały dzień?

– Wcale się nie ukrywam! – zaprzeczam. – Kiepsko się czuję, więc zdrzemnęłam się przed południem.

– Pani Eliza się martwi – oznajmia dziewczyna z promiennym uśmiechem, jakby zmartwienia pani Elizy były najradośniejszą rzeczą pod słońcem. – Warszawiacy pobyt chcą wydłużyć, pisarce spaliła się ładowarka do komputera, nowi goście kręcą nosem na niewygodę, a Nadzieja grozi strajkiem, bo od dwóch tygodni wolnego nie miała. A do tego Romeo zeżarł hortensję przy furtce.

– Po prostu bosko! Gdzie ci nowi?

– Na leżaku za domem. Ona leży plackiem, a on po wodę z lodem lata. Jutro z rana mam ich masować.

Muszę po pszenicę lecieć na stryszek.

– A ja muszę do wsi wyskoczyć.

– A po co do wsi idzie?

– Na po... na pocztę.

– Niech list zostawi, to Stary Jan z rana weźmie. Codziennie po pocztę zajeżdża.

– Ten list nie może czekać. Musi koniecznie zostać nadany dzisiaj.

– No to niech się pospieszy, bo już druga dochodzi, a u nas poczta tylko do trzeciej czynna.

Pospiesznie żegnam Szparkę i pukam do drzwi biblioteki, gdzie o tej porze pani Eliza zajmuje się papierkową robotą. Upał na zewnątrz nie pozwala jej biegać między rabatkami, więc wykorzystuje tę chwilę na inne prace. Kiedy wchodzę do biblioteki, uśmiecha się promiennie i powtarza informację o planach letników z Warszawy, którzy chcą zostać w dworku jeszcze przez tydzień. Ja z kolei powtarzam bajeczkę o słabym samopoczuciu i konieczności wysłania listu. Pani Eliza wyraża swoje współczucie, a zarazem nadzieję, że następnego dnia mi się polepszy i zajmę się nowymi niespodziewanymi gośćmi.

– Nie mam bladego pojęcia, dlaczego Lila nie odwołała tych wszystkich rezerwacji! Do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z planem. Ludzie wykupowali vouchery, płacili i grzecznie czekali na wolny termin, a my mogłyśmy wykorzystać uzyskane pieniądze na remonty i zakupy. A teraz co rusz ktoś się w dworku zjawia i przedstawia dowód wpłaty. Nie mam dostępu do listy sprzedanych ofert i nie wiem, ilu osób możemy się jeszcze spodziewać – przyznaje ponuro. – I nie mam pomysłu, co z nimi robić.

– Nie będzie tak źle – pocieszam ją.

– Pan Marek obiecał urządzić jutro lekcje rysunku dla gości. Może się przyłączyz?

– Zobaczymy – odpowiadam niezobowiązująco. W mojej głowie kiełkuje nowy plan. Skoro Marek będzie jutro zajęty, zaopiekuję się jego pokojem i dokładnie w nim „posprzątam”. Może znajdę coś interesującego, co podpowie mi, jakie plany względem stryjecznego dziadka ma ten rzezimieszek? Może natrafię na ślad jego wspólników? Nabieram nowego zapachu i zrywam się z krzesła. – Polecę teraz z tym listem! – wołam.



Posterunek policji tonie w popołudniowym upale. Siedzę przy biurku z odrapanym blatem i obserwuję, jak wielka czarna mucha wspina się po abażurze lampy. Karol Broszko, rozparty w skrzypiącym, skórzanym fotelu niczym turecki sułtan w haremie, lustruje mnie uważnym spojrzeniem. Pod jego sumiastym wąsem błąka się pogardliwy uśmieszek.

– Powtórzmy to jeszcze raz! – proponuje nagle, prostując się i opierając kościste łokcie na biurku. – Twierdzi pani, że ten malarz, który przybył do dworku, nie jest malarzem?

– Właśnie.

– I że jest przestępcą?

– Tak – potwierdzam.

– Ten sam, z którym łąziła pani po lesie i w którego towarzystwie o mało nie spowodowała pani pożaru?

– Ten sam – przyznaję.

– Ha, ha, ha! – śmieje się cokolwiek rubasznie Karol Broszko. – Proszę mi wybaczyć, ale ja mam w to uwierzyć?

– Powinien pan – mówię cokolwiek urażona. Komisarz poważnieje i pociąga za zakręconego wąsika.

– Pozwoli pani, że to ja zdecyduję, w co powinienem uwierzyć! – huczy, ale szybko opanowuje nerwy i ponownie wyciąga się w skrzypiącym fotelu.

Czuję złość i rozczarowanie. Ta rozmowa miała przebiegać zupełnie inaczej! Czyż pani Eliza nie

mówiła głośno i wyraźnie, że Karol Broszko jest we mnie zakochany? Bujda na resorach! Gdyby tak było, zareagowałby na moje słowa zupełnie inaczej! Rzuciłby się na ratunek jak błędny rycerz nieszczęśliwej królowie, a co on zrobił, ten niewydarzony komisarzyna? Wyśmiał mnie!

Najwyraźniej do komisarza dociera, że moja nieszczęśliwa mina wróży coś niedobrego, bo nagle przybiera łagodny ton i prosi, abym jeszcze raz wszystko powtórzyła od początku. Mówię więc o skarbie odnalezionym w dworku, pomijając jego artystyczny charakter. Przypominam mu tajemnicze włamanie, podczas którego skradziono moją walizkę i zaatakowano Nadzieję. Podkreślam, że było to zdarzenie poważnego kalibru, sam tak powiedział! Niechętnie przyznaje mi rację, a następnie pyta, jaki związek z odnalezionym skarbem ma moja skradziona walizka. Cholera, nie jest taki głupi, na jakiego wyglądam, myślę.

– Nie mam pojęcia – przyznaję niechętnie, wzruszając ramionami. Nagle dopada mnie olśnienie. – Już wiem! Złodzieje z pewnością sądzili, że to ja przywiozłam obraz. W walizce. Dlatego ją ukradli.

– Jaki obraz? – dziwi się Karol Broszko, który nie został wtajemniczony w istnienie stryjecznego dziadka. Macham ręką na znak, że ma milczeć i kontynuuję.

– Kiedy okazało się, że w walizce nie ma skarbu, złodzieje zrozumieli, że muszą dostać się do dworku i zdobyć stryjka inną drogą.

– Jakiego stryjka? – Karol Broszko wytrzeszcza oczy.

– Stryjecznego. Proszę siedzieć cicho, teraz ja mówię! – uciszam go ponownie. – Do dworku wysłano Marka, który podał się za malarza i wyłudził u pani Elizy nocleg. Kiedy wszyscy spali, zakradł się do fresku, który namalowałam i pomógł mu spłynąć ze ściany. Następnie obiecał właścicielce, że go odmaluje i tym samym zagwarantował sobie dogodny punkt obserwacji.

– No, no, jestem pod wrażeniem...

– To jeszcze nie koniec. – Spoglądam na niego karcąco. Jestem gotowa odkryć wszystkie karty. – Tego wieczoru, kiedy spotkał nas pan w lesie, ten rzezimieszek zwabił mnie nad skarpe i powiedział, że zamierza mnie zabić!

– Proszę? – Karol Broszko krztusi się pitą właśnie wodą. – I pani siedziała sobie z nim tak spokojnie?

– A co miałam zrobić? – pytam. – Poza tym powiedział, że żartuje. Ale teraz mam pewność, że to wcale nie były żarty...

– A dlaczego?

– Myszkowałam w jego pokoju – szepczę konfidencjonalnie. Karol Broszko gromi mnie spojrzeniem, więc pospiesznie dodaję. – Znalazłam rewolwer. Prawdziwy. A dziś podsłuchałam jego rozmowę ze współnikiem. Powiedział, że martwi go moja osoba i jeśli nie przestanę się mieszać, trzeba będzie się mnie pozbyć...

– Matko Boska! – Karol Broszko wygląda na wstrząśniętego. – Czego pani się najadła? Grzybków halucygo... halucyngo... Grzybów jakichś?

– Nie wierzy mi pan?

– A pani sobie wierzy? Przecież to przypomina fabułę kiepskiej telenoweli. Takiej jak ten, no... koń Starego Jana ogląda!

– Jestem oburzona! – Kręcę głową ze smutkiem. – Przychodzę do pana po pomoc, wyznaję wszystko jak na spowiedzi, a pan traktuje mnie jak rozhisteryzowaną babę?

– Nie, aż tak to nie... – Karol Broszko drapie się strapiiony po głowie. – Ale co ja mogę? Mam pojechać

do dworku i zakuć go w kajdanki? Nie ma podstaw.

– Nie, tego nie chcę. Muszę mieć go na oku! Ale chyba może pan sprawdzić jego numery rejestracyjne?

– No może bym i mógł... – Nie wygląda na przekonanego. Przybieram więc swój najpiękniejszy uśmiech i wkładam weń cały nagromadzony urok osobisty. Najwyraźniej działa, bo Karol Broszko robi się purpurowy na twarzy i zaczyna podkręcać wąsa.

– Bardzo panu dziękuję! – Wyciągam do niego dłoń i pozwalam ją szarmancko ucałować. Słucham jeszcze formułki, że mam na siebie uważać i nie pchać rąk między drzwi. Cokolwiek to znaczy, kiwam głową z entuzjazmem i wychodzę. W korytarzu natykam się na zasychający bukiet ogrodowych kwiatów i domyślam się, że to z nimi Karol Broszko poszukiwał mnie poprzedniego dnia. Romantyk z niego, nie ma co...



Późnym wieczorem dochodzi do sytuacji, której tak bardzo się obawiałam: staję twarzą w twarz z wiarołomnym Patrykiem i jego okrągłą przyjaciółką. Następuje to tak niespodziewanie, że nijak nie udaje mi się do tego przygotować. Co prawda wracając z komisariatu, przećwiczyłam w myślach parę scenariuszy, ale żaden z nich nie okazał się zadowalający. I żaden niestety nie sprawdził się w praktyce, kiedy doszło do konfrontacji.

Staję nieco oszołomiona na wprost dwojga ludzi, którzy przed paroma miesiącami byli mi tak bliscy, a teraz wzbudzają we mnie najbardziej prymitywne uczucia i zastanawiam się, czy w charakterze powitania zastosować prawy sierpowy czy niewybredny epitet. Moje rozważania przerywa słodki głosik Joli.

– Kogóż ja widzę! – piszczy radośnie. Przez chwilę mam wrażenie, że chce mi się rzucić na szyję, ale ostatecznie się powstrzymuje i tylko spleta dłonie na wydatnym brzuchu. Nie mogę się powstrzymać i wlepiam w niego wzrok, jakby białe groszki na jej sukience mogły mi zdradzić, ile dni pozostało do porodu.

– Co za spotkanie! – Usta Patryka rozciągają się w szerokim uśmiechu, prezentując przy okazji garnitur świeżo wybielonych zębów. – Tak mi się coś wydawało po południu, ale nie byłem pewien...

– Wydawało ci się? – Wpatruję się w nich cokolwiek oniemiała. Nie mieści mi się w głowie, że zachowują się jak dawno niewidziani znajomi, na których natyka się na ulicy. Stoją przede mną bez najmniejszego skrępowania, uśmiechnięci i opaleni, a okrągły jak piłka brzuch – dowód zdrady, jakiej oboje się wobec mnie dopuścili – zuchwale sterczy pod nieznośnie powiększonym biustem Jolki. Ona sama wyciąga w moją stronę dłoń, na której połyskuje złoty krążek i uśmiecha się słodko.

– To nasza mała podróż poślubna. Mam nadzieję, że nie masz żalu?

Podróż poślubna?!

Czuję, że trafił mnie szlag.

Podskoczyło mi ciśnienie.

Zaląła mnie krew.

Nieznośny gorąc pełźnie po moim ciele. Od małego palca przy lewej stopie, poprzez biust w rozmiarze 75 B, po cebulki jasnych włosów. Przez dłuższą chwilę spoglądam na nich bez słowa, zastanawiając się, gdzie Nadziejka trzyma tasak do mięsa, ten z ułamaną rączką. Przedwczoraj widziałam, jak groziła nim

kozie, która podeszła pod kuchenne okno i zeżarła suszącą się na parapecie ścierkę. Ale gdzie może być teraz? I czy zdążę po niego pobiec, kiedy oni będą tutaj stać i czekać na moją reakcję na „cudowną nowinę”?

– Cóż... – Wzruszam niebale ramionami i staram się uśmiechnąć. – W tej sytuacji pozostaje mi życzyć wam szybkiego powiększenia rodziny. Aj... zapomniałam. To już prawie macie. I to chyba z bonusem. Ten brzusek wygląda mi co najmniej na bliźniaki! – Uśmiecham się słodko do Jolki, która najwyraźniej chce zaprotestować. – Miło mi powitać was w dworku, korzystajcie z relaksu, korzystajcie, bo nieprzespane noce dopiero przed wami...

– Co... – zaczyna Patryk, ale nie dopuszczam go do głosu i ponownie zwracam się do Jolki, kładąc poufale dłoń na jej ramieniu.

– To wspaniałe miejsce, na pewno tutaj wypoczniecie. Jak podobała ci się kąpiel? Przygotowałam wodę specjalnie z myślą o tobie!

– Ty? – Jej niebieskie oczęta rozszerzają się w panice. – Dlaczego?

– Pracuję tutaj, to należy do moich obowiązków. – Mrugam do niej porozumiewawczo. – Jutro również się tobą zajmę. Obiecuję!

Zostawiam ich samych i odchodzę, ale zamiast ruszyć w kierunku schodów, skrywam się za załomem korytarza i podglądam, jak się kłóć. Jolka wygląda na zdenerwowaną, nawet przestraszoną, niemal mi jej żal. Chce wyjechać, ale on każe się jej się opanować i nie histeryzować. Potakuję głową i bez dalszej zwłoki wchodzę do kuchni. Mam ochotę sobie popłakać, ale łzy nie chcą płynąć. Może w lodówce znajdę kawałek cebuli do krojenia?

Rozdział 13

Kolejny dzień wita mieszkańców dworku deszczem, co niweczy moje plany. Miałam nadzieję, że Marek zabierze gości gdzieś w plener, by mogli szkicować widoczki, a ja w tym czasie przeszukam jego pokój. Jednak brzydka pogoda sprawia, że goście nie mają ochoty opuszczać dworku, a malarz po śniadaniu zaszywa się na galerii. Podśłuchuję przez chwilę, jak melodyjnie gwizdże i wyobrażam sobie, jak miesza farby, by pokryć kolorem naszkicowaną dziewczynę. Przyłapuję się na uśmiechu pod nosem, więc pospiesznie schodzę na parter. Pomogę Szparce przy mieleniu pszenicy na masażę peelingującą.

Zaszywam się w kuchni i łapię za stary młynek do kawy, którym rozdrabniamy owalne złote ziarenka wykorzystywane podczas zabiegów. Siadam na wprost uchylonych drzwi, dzięki czemu mogę obserwować, co dzieje się w hallu. Warszawiacy rozsiadają się z talią do remika, pan Edzio wprawnym ruchem rozdaje karty. Anna Ptak wyjechała zaraz po śniadaniu, zgrzytając z irytacji zębami. Pewnie pojechała na poszukiwanie marketu z elektroniką i nowej ładowarki do laptopa. Pani Zosia zerka znad okularów ku Jolce, która zasiadła na wąskiej kanapce pod oknem i zatoneła w lekturze jakiegoś czasopisma o modzie. Po szerokich schodach schodzi Patryk. Najwyraźniej przygotowuje się do zabiegów kosmetycznych, bo ma na sobie śnieżnobiały szlafrok i plastikowe klapki. Nadzieja zerka ponad moim ramieniem i kręci głową:

– Co to za chłop, co w podomce paradyje do południa? – prycha.

– Paradny! – odpowiada wesoło Marek, który nie wiadomo kiedy zmaterializował się w kuchni. – Ale kochana pani Nadziejo, niektóre kobiety takich lubią...

Nadzieja macha lekceważąco ścierką, a ja spuszczam głowę i zaczynam kręcić korbką z nowym entuzjazmem. Nie wiedzieć czemu odbieram te słowa bardzo osobiście i pokrywam się ceglastym rumieńcem. Owszem, kiedyś Patryk wydawał mi się bardzo atrakcyjny, ale te czasy bezsprzecznie mam już za sobą. Teraz w sferze moich upodobań znajduje się inny mężczyzna. Czy raczej znajdowałby się, gdyby nie był przestępcą!

Tymczasem pan paradny, najwyraźniej nie wiedząc, gdzie szukać obiecanych zabiegów, decyduje się wstąpić do kuchni. Witają go trzy nieprzychylne spojrzenia.

– Dzień dobry... – mówi głośno, wyraźnie i do wszystkich, ale jego oczy utkwiły we mnie.

– Dobry... – mruczy grzecznie Nadzieja, tłukąc pokrywką. – Głodny?

– Ja? Nie, dziękuję. Chciałem zapytać o ten masaż, który mam zapisany na jedenastą. Gdzie to będzie?

– No, przecie, że nie tu! – fuka Nadzieja. Mimowolnie zerkam na Marka i przekonuję się, że on również patrzy na mnie. Nieświadomie uśmiechamy się do siebie. – Pójdzie i poszuka Kasi.

– Przepraszam, kto poszuka? – pyta zdezorientowany Patryk.

– No przecie że nie ja! Dość już roboty mam na głowie. Nikt mnie nie pytał, czy ja sobie...

Pospiesznie jej przerywam i najgrzeczniej, jak tylko potrafię, tłumaczę, że powinien pójść do biblioteki. Rzuca mi zagadkowe spojrzenie i wychodzi. Po chwili do moich uszu dociera odgłos

zamykanych drzwi. Spuszczam wzrok i na nowo zajmuję się mieleniem pszenicy. Pogoda pod psem, więc Szparka może fundować wiele masaży znudzonym gościom. Potrzeba więc wiele ziarna.

Po półgodzinie decyduję się zajrzeć do moich ulubieńców z Warszawy. Przy okazji zdradzę panu Edziowi, że Nadzieja piecze na obiad udka z kurczaka. Odkąd zaczepił mnie przy bramie i poprosił o żywieniowe wstawiennictwo, jest to nasz codzienny rytuał.

Kiedy mijam rozłożoną na kanapie Jolkę, ta odkłada czasopismo i spogląda na mnie wyczekująco. Nie wiem, czego chce, więc posyłam jej pytające spojrzenie.

– Gdzie jest mój mąż? – pyta, wyraźnie podkreślając słowo mąż. Uśmiecham się najsbardziej uroczo, jak tylko potrafię.

– Twój mąż? Wydaje mi się, że Szparka go wzięła w obroty.

– Kto? – Jolka prostuje się na kanapie i patrzy na mnie oskarżycielsko.

– Szparka!

– Jaka Szparka? Dlaczego Szparka?

– A jak myślisz? – Spoglądam na nią z politowaniem. – Dlaczego Szparka może być Szparką?

Jola zrywa się na równe nogi. Podziwiam jej zwinność.

– Zaprowadź mnie tam!

– Nie martw się, Jolu. Szparka to profesjonalistka. Potrafi zmęczyć klienta, to prawda, ale zna się na swoim fachu. Daje z siebie wszystko – zapewniam.

– Zaprowadź mnie! – piszczy Jola.

Kręcę głową, jakbym traciła resztki cierpliwości do niesfornego dziecka i wyciągam dłoń, wskazując, by szła przodem. Prowadzę ją do biblioteki i obserwuję, jak ciężarna kołysze się na boki. Podchodzimy do drewnianych drzwi biblioteki.

– To tutaj – mówię.

– Ciii... – Jolka przykłada ucho do drzwi. Przysuwam się i parskam urywanym śmiechem. Zza drzwi dobiegają charakterystyczne odgłosy.

– Yyyyy. Yyyyy. Yyyyy! Auuuu! – rozlegają się jęki Patryka. – Teraz niżej, jeszcze niżej...

Jolka czerwienieje i gwałtownie napiera na drzwi, które pod wpływem jej pchnięcia obijają ścianę biblioteki. Z impetem wpada do środka i staje jak wryta. Ponad jej ramieniem przyglądam się, jak Szparka podnosi tłuste od oliwy dłonie znad pleców Patryka i spogląda na nas pytająco. Casanova unosi się na łokciach i zerka na purpurową żonę. Biały szlafrok zakrywa mu pośladki, ostro kontrastując z opaloną na brązowo skórą.

– Zaraz kończymy – mówi spokojnie dziewczyna, odsłaniając w uśmiechu przerwę między zębami. – Niech sobie wygodnie usiądzie i poczeka na swoją kolej.

– Chodźmy. – Biorę osłupiałą Jolę pod ramię i próbuję wyprowadzić z biblioteki. – Przecież mówiłam, że Szparka to profesjonalistka!

Wychodzimy do hallu, a wtedy eksprzyjaciółka gwałtownie wyszarpuje ramię z mojego uścisku i spogląda na mnie z wyrzutem. Najwyraźniej chce coś powiedzieć, ale nie wie, jak ubrać to w słowa. Postanawiam jej pomóc i uśmiecham się smutno.

– Trudno uwierzyć w uczciwość faceta, który już kiedyś zdradzał, prawda? Zwłaszcza, gdy było się jego kochanką... – mówię i odchodzę. Czuję, jak jej spojrzenie wwierca się między moje łopatki, ale nie oglądam się za siebie. Może to nieładnie, ale odczuwam maleńką satysfakcję.



Po obiedzie deszcz ustaje, a spoza skłębionych chmur nieśmiało wygląda słońce. Jest tak ciepło i przyjemnie, że goście czym prędzej porzucają wymiętoszoną talię kart i wylegają na połyskujący wilgocią trawnik. Rozkładają leżaki, nakładają krem z filtrem numer trzydzieści i okulary przeciwsłoneczne. Pan Edzio tradycyjnie naciąga na czoło słomkowy kapelusz. Jolka przygląda się tym manewrom z nieco skwaszoną miną, co natychmiast zostaje zauważone przez panią Elwirę.

– Proszę się nie dziwić, moje dziecko! – oświadcza, rozprawiając na ramionach krem o konsystencji budyniu śmietankowego. – W tym wieku skóra jest już cieniutka jak pergamin. Trzeba o nią dbać! Zresztą w każdym wieku trzeba... – Badawczo lustruje zaokrąglony brzusek młodej kobiety. – Nie chciałabym być wścibska, ale mam nadzieję, że pomyślała pani o dobrym kremie na rozstępy?

– Nie mam żadnych rozstępów! – cedzi przez zęby Jola.

– O, póki co pani nie ma. Ale one się pojawią! – Śmieje się pani Zosia.

– Na brzuchu i biodrach – uzupełnia pani Elwira ściszym tonem. – I na udach.

Jola zakłada nogę na nogę i ostentacyjnie obciąga rąbek koralowej sukienki.

– I na biuście – szeptem dodaje pani Zosia, na co Jola krzyżuje ramiona na piersi. Spogląda na starsze damy wyraźnie nieprzychylnym spojrzeniem, więc decyduje się interweniować.

– Kto napije się kawki mrożonej? – pytam wesoło.

– Znakomity pomysł! – ożywia się pani Elwira. – Czy ja mogę poprosić z kleksikiem bitej śmietany?

– Dla pani wszystko, pani Eluniu! Mogę nawet poszukać czekoladowych wiórków! – Śmieję się. Kątem oka zauważam, że Jolka unosi upierścienioną dłoń, na której połyskuje złoty krążek i przybieram przepaszającą minę. – O, nie! Pani Jolu, dla ciężarnych kawki nie przewidujemy! Zaparzę pani ziółek!

Spieszę do kuchni, gdzie przygotowuję chłodzące napoje z kostkami lodu. Do wysokich szklanek wsypuję po łyżeczce kawy rozpuszczalnej i łyżeczce cukru, po czym zalewam dno ociupinką gorącej wody. Następnie uzupełniam szklanice mlekiem i mieszam długą łyżką. Nurkuję w szufladzie Nadziei w poszukiwaniu bitej śmietany, a z pojemnika z bakaliami wydobywam nadłamaną tabliczkę gorzkiej czekolady. W dużym porcelanowym kubku, w którym kucharka rozrabia ciasto na lane kluski, parzę torebkę mięty dla Jolki. W akcie miłosierdzia wkrawam jej do tego grubo plaster cytryny.

Właśnie ustawiam wszystko na metalowej tacy, kiedy na blat pada cień. Zaskoczona podnoszę głowę i napotykam spojrzenie mojego eksnarzeczonego.

– Co tutaj robisz? – pyta, choć to pytanie powinno paść raczej z moich ust.

– Kawę mrożoną. I ziołową herbatkę dla twojej żony. – Słowo „żony” poddaję tak mocnemu naciskowi, że powinno eksplodować. Patryk nic sobie z tego nie robi.

– Nie o to pytam! – irytuje się. – Chodzi mi o ten cały dworek! Przyjechałaś, wykorzystując mój voucher, a teraz tutaj pracujesz? O co w tym wszystkim chodzi?

– To chyba nie twoja sprawa? – Decyduję się pominąć milczeniem wyrażenie „mój voucher”.

– Nie moja? Wprost przeciwnie!

– Ciekawe. Wyłumacz mi, proszę! – Sięgam po tarkę do ziemniaków i rozpoczynam ścieranie czekolady.

– Jolka boi się, że coś jej zrobisz – wyznaje.

– Ja? Dlaczego miałabym jej coś zrobić? – dziwię się. – Sugerujesz, że mam jakieś powody, by być na was zła?

– Tak jakby. – Wsuwa dłonie w kieszonki dzinsów i wolno spaceruje po kuchni. – Właściwie to nigdy nie mieliśmy okazji porozmawiać o tym, co się stało.

– Masz na myśli to, że wskoczyłeś do łóżka mojej przyjaciółki?

– Tak. – Kiwa głową, ale kiedy podnoszę na niego wzrok, reflektuje się. – Nie! Po tym, jak uciekaś z kościoła, nie dałaś mi najmniejszej szansy wytłumaczyć, co zaszło. Nie odbierałaś ode mnie telefonów. Kiedy zjawiłem się pod blokiem, twoja matka wylała na mnie słoik wody z kiszonych ogórków. A ostatnio...

– Tak, wiem. Usiłowała cię kopnąć i trafiła klapkiem w twoje przyrodzenie – przerywam mu pospiesznie i przenoszę tarkę nad kolejną szklanę. – Podaj mi kostki lodu z zamrażarki.

– Co?

– Kostki. Lodu. Z. Zamrażarki. Mam poprosić po angielsku?

– Nie. Już daję. – Podaje mi pojemnik i zaciąga się powietrzem, przystępując do kolejnej części przemowy. – Tak jak mówiłem, nigdy nie pozwoliłaś mi przedstawić okoliczności łagodzących. Nie odbierałaś moich telefonów. Nastawiałaś swoją matkę przeciwko mnie. Nawet ekspedientka ze sklepu spożywczego na twoim osiedlu sprzedała mi przeterminowany jogurt!

– O tak! To rzeczywiście element sprytnie obmyślanej przeze mnie zemsty. Chciałam, żeby cię przeczyściło – kpię.

– Nie o to chodzi! Nie wysłuchałaś mnie. Nigdy.

– No, więc słucham. – Biorę się pod boki i spoglądam na niego wyczekująco. – Przedstawiaj.

– C-co?

– No, te okoliczności łagodzące.

– A, no tak. Więc to poniekąd twoja wina, że do tego doszło.

– Proszę?!

– No, tak.

– To moja wina, że przespałeś się z moją przyjaciółką i zrobiłeś jej dziecko?

– Poniekąd.

– To fascynujące. Rozwiń swoją myśl.

– Zajmowałaś się wyłącznie planowaniem ślubu. Nie myślałaś o mnie.

– Zajmowałam się planowaniem naszego ślubu, ponieważ ty miałeś to w nosie i wszystkim musiałam zająć się sama!

– Być może, ale zaniedbałaś mnie. Nie rozumiałaś moich potrzeb. – Wzrusza ramionami. – A gdybyś tylko chciała po wszystkim ze mną porozmawiać, moglibyśmy wszystko sobie wyjaśnić i zacząć od początku.

– O Boże! Patryk! Czy ty słyszysz samego siebie? Przecież zostaniesz ojcem!

– Teraz oczywiście jest już za późno – tłumaczy szybko. – Ale chciałbym, byś nie miała do mnie żalu. I do Joli oczywiście. Ona bardzo to przeżywa. Właściwie najlepiej byłoby, gdybyś wyjechała.

– Ja mam wyjechać?

– Tak. To oczywiste, że dla nas wszystkich ta sytuacja nie jest komfortowa.

– Szczerze? Dla mnie ta sytuacja jest po prostu głupia.

– Jola uważa, że robisz jej afronty. Nie chciałaś przynieść jej kawy.

– Bo widzisz, my tu bardzo dbamy o zdrowie naszych pensjonariuszy – odpowiadam słodkim tonem. –

A kawa dla ciężarnych jest niewskazana. Nawet mrożona.

– Byłoby lepiej, gdybyś jednak wyjechała – powtarza. – Chodzi o pieniądze? Wiesz, ja mógłbym...

– Daruj sobie. Przyjechałam tutaj, aby wypocząć. I tak mi się tu spodobało, że postanowiłam zostać dłużej. Nie rozumiem za to, dlaczego ty uparłeś się przyjechać akurat w to miejsce. Zupełnie nie jest w twoim stylu!

– W moim stylu? – Napusza się. – Ja bardzo lubię wieś!

– Ta... Kiedy byliśmy razem na wakacjach i zabrakło ciepłej wody, urządziłeś awanturę na cały hotel.

Mam uwierzyć, że odpowiada ci zaniedbany dworek w dzikim parku i twaróg z koziego mleka?

– Masz rację. Wolałbym inne warunki. Ale robię to dla Joli. I dla ciotki. Bardzo jej zależało, żebym tu przyjechał. Ten dworek należy do jej przyjaciółki czy coś w ten deseń. Poprosiła mnie nawet o zdjęcia.

– Ach, a ty jak na dobrego chłopczyka przystało, zapakowałeś do auta ciężarną żonę i jazda do Kamionek. Jestem wzruszona, mój drogi. Ale mnie w swoje plany nie mieszaj. Ja tu tylko pracuję. I mam zamiar pracować nadal. Jeśli nie odpowiada wam mój widok, odwróćcie wzrok w drugą stronę! A teraz weź, proszę, te pyszne ziółka dla swojej połowicy. Ja w tym czasie uzupełnię nowe kostki lodu, bo te się już rozpuściły.

– A czy ja mógłbym... też prosić o taką kawę?

– Oczywiście, proszę pana. Zaraz przyniosę.

– Kalina...

– Idź już. Usiądź na słoneczku i pomasuj Jolce łydki. Strasznie się rozstępów boi, biedactwo.



Kiedy zostaję w kuchni sama, siadam na taborecie przy stole i pospiesznie wypijam szklanekę zimnej kawy. Czuję, że moja twarz płonie. Bezcelność Patryka doprowadza mnie do pasji. Nie dość, że mnie zdradził, to jeszcze obarcza mnie za to winą. A przy tym chce mnie wykurzyć z dworku. Moja obecność wyraźnie kłuje ich w oczy, ale prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż się stąd ruszę! Jolka boi się moich afrontów? I bardzo słusznie. Nie, nie jestem na tyle wredna, by odgrywać się na ciężarnej kobiecie. Jednak sama myśl, że niewierna przyjaciółka obawia się mojej zemsty, jest dziwnie przyjemna. Gryzą Jolkę wyrzuty sumienia, oj gryzą... Za to jej mąż najwyraźniej nie ma sobie nic do zarzucenia. Dopuścił się zdrady i jeszcze ma czelność spychać odpowiedzialność na innych. Na mnie. Boże, jak mogłam być tak ślepa i związać się z takim bubkiem?

Stwierdzam, że pora wziąć się w garść. Pospiesznie przygotowuję brakujące napoje i uzupełniam roztopione kostki lodu. Zanoszę tacę na trawnik za dworkiem i podaję smakowity napój gościom, wzbudzając entuzjastyczne okrzyki. Na koniec podchodzę do Patryka i Jolki, którzy siedzą nieco na uboczu i stawiam na niedużym stoliku oszronioną szklanekę. Jolka chwyta ją z triumfującą miną. Wzruszam ramionami i wracam do budynku. Zza firanki obserwuję, jak Patryk sączy ziołową herbatę z porcelanowego kubka i usiłuję powstrzymać napad śmiechu.

– Co cię tak śmieszy, hrabianko? – słyszę za lewym uchem i czuję, jak unoszą się wszystkie włoski na moim karku. Marek stoi tuż za mną, czuję jego ciepły oddech na szyi. Jesteśmy tak blisko, że nie mogę się

ruszyć, by nie przycisnąć się do jego ciała.

– Obserwuję tych nowych gości – mówię zgodnie z prawdą. – Z niego jest okropny pantoflarz.

– Cóż, tak działają na nas piękne kobiety. Topimy się jak wosk.

– Naprawdę? Uważasz, że jest piękna?

W napięciu czekam na jego odpowiedź, ale Marek milczy. Obracam się lekko w jego stronę. Uśmiecha się i daje mi pstryczka w nos. Mam ochotę mu przyłożyć, ale właśnie się odsuwa. Zmierza w kierunku drzwi prowadzących do ogrodu. W progu przystaje i mruga porozumiewawczo okiem.

– Wolę zołzy. – Śmieje się i wychodzi.

Oblewa mnie krwisty rumieniec, a co gorsza z przerażeniem stwierdzam, że jego słowa sprawiają mi radość. Oj, schodzisz na złą drogę, Kalina! – upominam się w duchu. Mimo to moją twarz opromienia szeroki uśmiech. Usiłuję go maskować, ale nie potrafię!

Rozdział 14

Wieczorem jadalnia napełnia się zgiełkiem i radosną wrzawą. Podczas popołudniowych porządków pani Eliza natrafiła na przykurzony gramofon i ogromne pudło płyt. Po kolacji pospiesznie zbieramy naczynia i przetarty flanelową szmatką sprzęt grający trafia na stół. Panie liczą na radosne płąsy w ramionach panów. Pan Stasio ma ochotę zabawić się w didżeja i ostrożnie przegląda zawartość kartonu. Część krążków jest rozbita, część posiada widoczne rysy, ale te, które były schowane w papierowych kopertach, wyglądają jak nowe. Kiedy rozlegają się pierwsze dźwięki radosnego swingu, panowie odsuwają stoły, robiąc miejsce do tańca. Panie spieszą do pokoi, by przypudrować noski i założyć wytworniejsze pantofelki.

– Tego nie można tańczyć w japonkach – szepcze mi do ucha pani Zosia.

W jadalni gromadzą się wszyscy aktualni mieszkańcy dworku. Nawet Nadzieja dała się przekupić obietnicą, że razem ze Szparką zmyjemy wszystkie naczynia po kolacji. We wzorzystym sweterku i szerokich spodniach rozsiada się na kanapie, podążając wzrokiem za czynionymi przygotowaniami.

Zapalamy wszystkie lampy, zabytkowy żyrandol rzuca rześiste światło na pusty środek jadalni i nieco przykurzony dywan. Po raz kolejny czuję niezwykły klimat starego dworku. Rozglądam się po jadalni i widzę, że warszawianki założyły eleganckie, nieco staromodne bluzeczki. Zupełnie, jakby chciały się dopasować do nastroju wieczoru.

Pani Eliza przynosi z piwnicy kilka butelek porzeczkowego wina i rozlewamy je do wysokich kieliszków. Ponura Jola spija małymi łydkami wodę mineralną z sokiem malinowym. Na kolanach trzyma kolejne czasopismo, jakby chciała schronić się za nim przed uczestnikami wieczoru. Patryk nie odstępował jej nawet na krok. On również ma chmurną minę, być może rozżłościło go, że nie dałam się przekonać do wyjazdu? Ja również wściekam się na niego. Skoro nie mają ochoty bawić się z nami, dlaczego nie skryją się w zaciszu swojej sypialni, tylko psują nastrój kwaśnymi minami? Nawet nieprzystępna Anna Ptak leniwie porusza stopą w takt muzyki i popija swojskie wino!

Szukam spojrzeniem Marka. Odnajduję go przy oknie i kiedy nasze oczy się spotykają, jeden kącik jego ust delikatnie się unosi. Odwracam wzrok i udaję, że jestem zajęta rozlewaniem wina. Pani Eliza klaszcze w dłonie i prosi pana Stasia o coś wesołego.

Rozlegają się radosne dźwięki jakiejś skocznej piosenki. Pani Elwira i pani Zosia rytmicznie stukają pantofelkami o zaokrąglonych noskach. Pijemy wino i nucimy melodie, śmiejąc się i żartując. Warszawscy goście dziękują pani Elizie za to, że urządziła tak wspaniałe miejsce i zechciała się nim podzielić z innymi ludźmi. Właścicielka dworku ociera wilgotne oczy i oświadcza, że długo obawiała się, że podjęła błędną decyzję, ale skoro trafiają się tacy goście, z radością będą kontynuować wraz z siostrą swoje dzieło. Zainwestuję w komfortowe rozwiązania, być może nawet w wannę z hydromasażem. A kiedyś chciałaby stworzyć w parku piękny ogród botaniczny i stadninę koni...

Jej słowa spotykają się z gorącą owacją, niemal na stojąco, po której pan Edzio prosi do tańca panią

Zosię, a pan Stasio panią Elwirę. Podziwiamy, jak zgrabnie wirują po pokoju i dla dodania im energii klaszczemy w dłonie. Szparka przynosi tacę kolorowych koreczków. Jolka przysysa się do nich w takim tempie, że gubi gazetę.

Przy kolejnej piosence pan Edzio kłania się przed panią Elizą, a pan Stasio przed nieco oszołomioną Nadzieją. Kucharka nabrała rumieńców, jak niegdyś zjedzona piwonia, co jest efektem wypitego wina i radosnej muzyki. Pani Zosia i pani Elunia wirują tymczasem razem. Na ich widok dopada mnie myśl, że przyjaźń to piękna rzecz. Jolka chyba myśli o tym samym, bo spogląda na mnie nad talerzem koreczków, a następnie odkłada przekąskę na bok, jakby przygryzła coś kwaśnego.

Po kilku utworach trzeba przełożyć płytę na drugą stronę, po czym pan Edzio porywa mnie do tańca. Pan Stasio wywija ze Szparką, której długa kolorowa spódnica zabawnie zamiata podłogę, nasze nogi, a momentami nawet ściany. Mniej więcej w tym samym czasie między drzewami otaczającymi park ukazują się dwa wyraźne światła samochodu.

– Ktoś przyjechał – oświadcza Marek. Pani Eliza podchodzi do okna i lustruje podjazd.

– To komisarz – mówi. – Może wpadł na jakiś ślad związany z włamaniem?

Karol Broszko wchodzi do jadalni sztywnym, urzędowym krokiem. Na widok toczącej się w najlepsze imprezy gwałtownie czerwienieje i nieśmiało wypycha pod pachę czapkę.

– Przejeżdżałem i pomyślałem, że sprawdzę, czy wszystko w porządku... – bąka.

– Proszę siadać, panie Karolu! – Pani Eliza usłużnie podsuwa krzesło. – My tu sobie właśnie pozwalamy na mały relaks przy muzyce. Wina panu nie proponujemy, ale może chociaż koreczka pan przegryzie?

– Dziękuję. Jestem po kolacji.

– Wobec tego herbaty się pan napije. Na dobre trawienie – decyduje pani Eliza i daje Szparce dyskretny znak głową. Dziewczyna leci do kuchni jak na skrzydłach. Widząc jej rozanielone spojrzenie, pojmuję, że miejscowy komisarz to atrakcyjna partia i najwyraźniej nie może narzekać na brak wielbicielek.

Kiedy ponownie rozpoczynają się pląsy, dyskretnie przysiadam się do komisarza i nachylam w jego stronę.

– Znalazł pan coś?

– Jeszcze nic – szepcze. – Czekam na odpowiedź z komendy wojewódzkiej – podkreśla z dumą.

– Rozumiem! Cieszę się, że pan nie zlekceważył moich podejrzeń.

– Jakbym śmiał, pani Kalinko! – mówi żarliwie, choć nie dalej jak wczoraj wyśmiał moje słowa.

Unoszę wzrok i napotykam spojrzenie Marka. Tym razem się nie uśmiecha i czuję, że przenika mnie zimny dreszcz. Również Patryk wpatruje się we mnie uporczywie. Karol wyczuwa jego spojrzenie i zagaja.

– My się chyba jeszcze nie znamy. Państwo przyjechaliście przedwczoraj?

– Tak. Jesteśmy z żoną w podróży poślubnej.

– Komisarz Karol Broszko – przedstawia się policjant.

– Patryk Cieplak. A to moja żona Jolanta.

– Jak? – Nadstawia ucha komisarz.

– Jolanta.

– To wiem. Ale proszę mi wybaczyć, nie zrozumiałem nazwiska.

– Cieplak.

– To ciekawe... – Karol Broszko posyła mi zamyślane spojrzenie.

– Przepraszam, a co jest ciekawe? – dopytuje Jola.

– Nic, droga pani. To chyba popularne nazwisko, gdyż słyszę je drugi raz w krótkim czasie.

– Nie sądzę, by było popularne – Jolka posyła mi chłodne spojrzenie.

Sytuację ratuje Szparka, która stawia przed komisarzem kubek herbaty. Karol Broszko wsypuje trzy łyżeczki cukru i intensywnie miesza napój, a następnie pociąga solidny łyk. Goście płasają po pokoju, a pani Eliza wypytuje Karola Broszko, czy nastąpił jakiś przełom w śledztwie w sprawie włamania i napadu na Nadzieję. Komisarz robi poważną minę i chrząka.

– Przełom nastąpił, ale nie mogę o tym mówić.

– Naprawdę? – ożywia się pani Eliza.

– Naprawdę – potwierdza policjant.

Przez kolejną godzinę trwa radosna zabawa, zdominowana przez dźwięki płynące z gramofonu oraz hulanki gości z Warszawy. Pani Eliza czujnym wzrokiem lustruje jadalnię, zachęca Patryka, by zaprosił żonę do tańca i poleca panu Stasiowi, by znalazł wolniejszą nutkę. Następnie wyławia z tłumu postać samotnego Marka.

– Panie Mareczku, ładnie tak stać, kiedy panie chcą tańczyć? Proszę zatańczyć z panią Anną.

– Przepraszam, ja nie tańczę!

– No, to z Kalinką! Niech pan zobaczy, jak się dziewczynie nogi to tańca rwą!

– Nic mi się nie rwie! – zaprzeczam gwałtownie, ale jest już za późno, bo pani Eliza popycha mnie w kierunku Marka. Po chwili obejmują mnie jego silne ramiona, na szyi czuję ciepły oddech. Dlaczego jego dotyk jest tak przyjemny, kiedy powinien mnie odrzucać?

Postanawiam jednak nie zaprzętać sobie głowy w tej chwili. Jeszcze nadejdzie moment, by rozprawić się z tym rzezimieszkiem! A póki co... poczuję, jak to przyjemnie zatonać w męskich ramionach. Do tego należących do mężczyzny, który naprawdę potrafi tańczyć. Do mężczyzny, który przygarnia mnie stanowczym, choć równocześnie delikatnym ruchem i oplata mocno ramionami. Mężczyzny, którego dotyk powoduje u mnie przyjemne łaskotanie i to nie tylko w brzuchu...

Poruszamy się wolno i dostojnie, muzyka jest senna i melodyjna. Już zawsze ta piosenka będzie mi się kojarzyć z tą chwilą, z tym dotykiem. Przemykam oczy i opieram czoło na ramieniu Marka. Ponownie słyszę, jak bije mu serce, wyczuwam nutę zapachową wody po goleniu i miękkość ubrania. Przez wpółprzymknięte oczy widzę, że tuż obok tańczą Patryk i Jola, oboje sztywni jakby kij połączyli – przeszkadza im pękaty brzuszek pani Cieplak.

Kiedy muzyka cichnie, odsuwam się od Marka i nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Mam wrażenie, że coś się zmieniło. Szepczę, że muszę się ochłodzić i pospiesznie wychodzę z dworku. Zapuszczam się pomiędzy drzewa, park pogrąża się już w półmroku, ale tym razem nie zwracam na to uwagi. Opieram się plecami o dorodną brzozę i pozwalam, by wiatr chłodził moją rozpaloną twarz. Po głowie przemykają mi tysiące myśli.

Nagle dobiega mnie chrzęst kamyków i niespokojnie oglądam się w stronę dworku. Z rześcicie oświetlonych okien pada mocne światło, zalewając podjazd i fragment trawnika. Marek podąża w moją stronę, a kiedy podchodzi, bez słowa podaje mi kieliszek z winem. Wypijam go duszkiem, na co unosi znacząco brwi.

– A gdzie miejsce na toast? – Śmieje się.

– Czas toastów już minął – odpowiadam.

– Szkoda. – Upija łyyczek ze swojego kieliszka. – Dobrze tańczysz, hrabianko.

– Wzajemnie. – Uśmiecham się. Nie cierpię, kiedy mnie tak nazywa, a równocześnie lubię to. Jestem dziwna, wiem. Teraz wskazuję ciemną alejkę. – Przejdziemy się?

Jest zdziwiony, ale pospiesznie odstawia kieliszek i rusza za mną. Szybko zaczynam żałować swojego pomysłu. Ścieżka pogrążona jest w mroku, co skutecznie maskuje wszelkie wykroty, korzenie i pokruszony asfalt. Co rusz się potykam, aż w końcu Marek bierze mnie pod ramię. W samą porę, bo właśnie tracę równowagę, co mogłoby zakończyć się utratą zębów.

– Gdybyś wypila więcej, pomyślałbym, że to sprawka wina.

– To domowe wino. Mocno uderza do głowy. – Śmieję się.

– Kiedy ostatnio dobrałaś się do piwniczki z winem, namawiałaś mnie do zmiany profesji.

– Nadal mam na to ochotę.

– Na co?

– Na nic. – Potrząsam głową. – Tak sobie tylko mruczę.

– Lubię, gdy kobiety mruczą. – Śmieje się. Nic nie mogę na to poradzić, ale na myśl o innych kobietach obecnych w jego życiu odczuwam bolesną zazdrość. I niestety nie potrafię ugryźć się w język.

– A często mruczą? – pytam, dyskretnie go obserwując. Uśmiecha się.

– Czasami.

– Mam nadzieję, że od czasu do czasu także drapią.

– Tak, jak wiesz, gustuję w zołzach. A zołzy mają ostre pazurki. I czasami drapią. A zdarza się, że...

– Gryzą? – podpowiadam usłużnie.

– Nie, miałem na myśli coś innego. – Śmieje się.

Przez chwilę idziemy w milczeniu. Wokół nas rozbrzmiewają dźwięki przyrody. Ptaki w koronach drzew i zaroślach wydają ostatnie przednocne trele, świerszcze radośnie cykają. Fascynująca jest natura o tej porze dnia. Niebo nad parkiem przybiera czerwoną barwę. Powietrze jest przyjemnie chłodne.

Dochodzimy do ogrodzenia parku i pojedynczo przedzieramy się przez zrujnowany parkan. Ścieżka prowadzi nas dalej w zarośla, ale jest węższa, gałęzie chłoszczą nas po ramionach, co sprawia, że przysuwamy się do siebie.

– Piękny ten park – szepczę.

– Podobnie jak i dworek.

– Widziałam twój fresk – mówię, nie wiadomo czemu.

– Naprawdę? – Nie wygląda na zaskoczonego. – I jak ci się podoba?

– Również jest piękny.

– Cieszę się, że przypadł ci do gustu.



Dochodzimy do skraju zagajnika i wychodzimy na łąkę, która łagodnie opada w dół. Dworek i otaczający go park położone są na niewielkim wzniesieniu, w dole płynie rzeka, która otacza całe wzgórze. Z miejsca, w którym stajemy, nie roztacza się tak imponujący widok jak ze skarpy, ale również jest pięknie. Bez zastanowienia zdejmuję buty i opadam na trawę, zanurzając stopy w soczystych, wilgotnych

żdźbłach.

Marek siada obok mnie.

– Masz ochotę na ognisko? – pyta figlarnym tonem.

– A w życiu! – Śmieję się. – Tym razem nie skończyłoby się na pogadance, ale na mandacie!

– Ale komisarz jest w dworku, więc jego interwencja nam nie grozi.

– Żartujesz? Na pewno kryje się gdzieś w krzakach i tylko czeka, jak złamiemy prawo! – Na myśl o poczciwym Karolu maskującym się w zaroślach parskam śmiechem.

– Dla ciebie mógłbym zaryzykować nawet mandat! – oświadcza butnym tonem Marek.

– Nie zgrywaj się – poważnieję.

– Nie zgrywam się. Naprawdę myślisz, że komisarz nas śledzi?

– A kto go tam wie?

– No, to musimy zrobić coś, co zmusi go do interwencji.

– Nie mam zapalek. – Zerkam na niego.

– Ja też nie.

– Więc...?

– Więc...

Nachyla się w moją stronę z tym swoim lekko kpiącym uśmiechem i czuję, że to robi. Że mnie pocałuje. Mam jeszcze czas, by zerwać się na równe nogi i dać mu do zrozumienia, że to naprawdę kiepski pomysł. A jednak się nie ruszam. Wpatruję się w jego oczy, usta, na unoszącą się i opadającą klatkę piersiową. Zapominam, za kogo go uważam, zapominam o pogroźkach, których świadkiem się stałam i numerach rejestracyjnych, które sprawdza dla mnie Karol Broszko.

I przysuwam się do niego o parę centymetrów. A on wyciąga dłoń i unosi moją brodę. Delikatnie przesuwa palcem po linii żuchwy, muska miejsce za uszami, ani na chwilę nie spuszczając ze mnie wzroku. Czuję te rozkoszne, a zarazem nieznośne łaskotki w dole brzucha i mam ochotę krzyknąć, by się tak ze mną nie bawił. Jakby wyczuwając moje myśli którymś zmysłem, pochyła się i nakrywa moje wargi swoimi. Czuję jego smak i zapach, czuję radość pomieszaną ze strachem, ale przede wszystkim czuję dawno uśpione pożądanie.

Nie wiem, ile trwa ten pocałunek, ale kiedy się kończy, patrzymy na siebie bez słowa. Po raz pierwszy nasze spojrzenia nie rzucają gniewnych błysków, nie walczą ze sobą i nie próbują udowodnić, które jest silniejsze. W jego oczach widzę czułość i przez chwilę nic nie ma większego znaczenia, bo czuję się dobrze.

I wtedy on się odzywa, a to co mówi, psuje cały romantyzm chwili. Psuje wszystko.

– Powinnaś wyjechać z dworku.

– Ja? – prostuję się gwałtownie. – Oszalałaś?

– Sama wiesz, że było tutaj włamanie. To nie jest bezpieczne miejsce. Chyba nie chcesz, by spotkała cię jakaś przykra przygoda, hrabianko?

Patrzę na niego oniemiała i przez chwilę nie dociera do mnie sens jego słów. A jego spojrzenie już nie jest czułe, ale twarde i nieprzejednane. Ulotna chwila minęła.

– Nigdzie się nie wybieram – cedzę przez zęby, podnosząc się z trawy i zagarniając buty. – A ty daruj sobie takie sztuczki. Wam wszystkim wydaje się, że możecie mnie ustawiać?

Szybkim krokiem ruszam w kierunku ścieżki. Marek zrywa się z trawy.

– Kalina!

– Daruj sobie!

Przedzieram się przez chaszczę oddzielającą mnie od parku, nie zwracając uwagi na gałęzie uderzające po twarzy i ramionach. Kiedy wychodzę na dziedziniec, jestem podrapana i z trudem oddycham. Czuję, jak pulsuje we mnie złość pomieszana z żalem. W milczeniu obserwuję skąpaną w świetle jadalnię i sylwetki gości przesuwane się za firanką w skocznym tańcu. Dla mnie ten wieczór już się zakończył, nie mam ochoty na zabawę i pospiesznie uciekam do swojego pokoju.

Kiedy leżę w łóżku, wydaje mi się, że słyszę ciche pukanie do drzwi. Przezornie zamknęłam je na klucz i dodatkowo podparłam ciężkim krzesłem. Jestem bezpieczna.

Rozdział 15

– Nie mam już pomysłu, czym zajmować naszych gości – oświadcza pełna zwątpienia pani Eliza. Pijemy poranną kawę na tylnym trawniku. Jest bardzo wcześnie, nie ma jeszcze szóstej. W dworku panuje cisza. Właścicielka dolewa naparu do filiżanek i uzupełnia mlekiem. Poranne picie kawy powoli staje się naszym rytuałem.

– Najgorsze jest to, że oni są tak bardzo różni – wzdycham. – Wszystko było łatwiejsze, póki przyjmowaliśmy tylko warszawiaków. Ich cieszyło dosłownie byle co! Nawet aerobik z balonem i kozi twarożek!

– Najstraszniejsza jest ta pisarka... – Pani Eliza zniża głos do szeptu. – Snuje się po dworku z miną cierpiętnicy i do każdego gniazdka podłącza swój komputer. Musiałam zwrócić jej pieniądze za spaloną ładowarkę, bo przywiozła mi fakturę z Nowego Sącza. To straszne, co teraz powiem, ale nie mogę się doczekać, jak sobie pojedzie! Mam nadzieję, że nie obsmaruje nas w tej najnowszej powieści!

– Robimy masaże, kąpiemy w mleku... – wyliczam, rozprostowując palce. Na jednym z nich pobłyskuje pierścionek od Patryka. Zastanawiam się, czy Jola go widziała. – Była wycieczka nad rzekę i zwiedzanie kościoła. Nie wyobrażam sobie, by Anna Ptak miała ochotę na przejażdżkę drabiniastym wozem – wzdycham.

– No właśnie. – Pani Eliza również wzdycha. – Dlatego uważam, że jest najgorszym, co mogło nam się trafić!

– O, nie jestem pewna. Zawsze może być gorzej. – Śmieję się bez cienia wesołości w głosie.

– Myślisz, Kalinko?

– Jestem o tym przekonana! – nagle decyduję się na chwilę szczerości. – Pamięta pani, jak wspominałam mężczyznę, który mnie zdradził i to aż tak, że zostanie ojcem?

– Naturalnie!

– Otóż tym mężczyzną jest pan Cieplak. – Nazwisko Patryka wymawiam z taką miną, jakbym podczas konsumowania jabłka natrafiła na włochatą gąsienicę. Zmutowaną na dodatek.

– O matko! A jego żona...

– A jego żona była kiedyś jedną z moich najlepszych przyjaciółek – mówię prosto z mostu.

Pani Eliza wpatruje się we mnie z przerażeniem pomieszczonym z podziwem. Następnie potrząsa głową, aż czarny warkocz opada jej przez lewe ramię i mówi:

– Podziwiam twoje opanowanie, dziewczyno!

– Wcale nie jestem opanowana. – Śmieję się, przypominając sobie swój pomysł doprowadzenia Jolczonej kąpieli Vizirem do białego. Przezornie zatajam przed panią Elizą ten niecny zamysł i kontynuuję, przybierając najbardziej pogodny wyraz twarzy, na jaki mnie w tym momencie stać. – Mam inne problemy na głowie.

– Na przykład jakie?

– Martwię się naszym włamaniem. – Uśmiecha się do mnie ciepło, a ja odpowiadam podobnym uśmiechem. – Czy wiadomo już, kiedy pani Lila przywiezie stryjka?

– Niestety, nie mam od niej wieści. Ale wydaje mi się, że powinni zjawić się lada dzień. Lila to artystyczna dusza, z pewnością zatrzymała się na kilka dni w Krakowie, uwielbia to miasto. Mieszkała tam kilka lat, w odrapanej kamienicy na Kazimierzu...

– Naprawdę?

– Naprawdę. Chodziła po mieście w sukni do ziemi, wyszperała ją w kufrze z przedwojennymi strojami. Na głowie nosiła wielki turban, paliła cygaretkę i malowała usta bordową szminką. Naszej matce robiło się słabo za każdym razem, gdy ją widziała. Oczywiście to było niemal pół wieku temu... – Właścicielka dworku uśmiecha się rozmarzona.

– Fascynujące! Pani Elizo, nie chciałabym być nieuprzejma, ale czy uważa pani, że stryjek będzie tutaj bezpieczny? Już dwa razy się włamali, a w dworku przebywa... – W ostatniej chwili gryzę się w język, szczerść szczerością, ale na wyjawienie pewnych kwestii jest zdecydowanie zbyt wcześnie. – W dworku przebywa wiele obcych osób.

– W pełni rozumiem twój niepokój, Kalinko, ale bądź spokojna. Z czasem zainstalujemy na galerii solidny alarm, który uniemożliwi majstrowanie przy obrazie. A póki tego nie zrobimy, odrestaurowany stryjek będzie przebywał w zamkniętym sejfie. To bardzo solidny, niemiecki sejf, wmurowany w ścianę. Nic go nie ruszy!

– Uff, to bardzo dobrze! – Odczuwam prawdziwą ulgę na myśl, że Markowi i jego szajce nie pójdzie tak łatwo z kradzieżą wartościowego płótna. Przecież dla właścicielek Kamionnego Kręgu portret stryjka może okazać się „być albo nie być”.

– Jestem zupełnie spokojna. – Pani Eliza dopija kawę duszkiem. – Ale nie mogę doczekać się Lili...

– Na pewno zjawi się lada dzień! – pocieszam ją. W tym czasie Karol Broszko sprawdzi tożsamość rzezimieszka z pędzlem i wspólnymi siłami odeślemy go za kratki, tam gdzie jest jego miejsce, myślę. Moja misja w Kamionkach dobiegnie końca i wrócę do Krakowa. Nie wcześniej jednak, niż upewnię się, że stryjkowi nic już nie grozi ze strony niebieskookiego pseudomalarka.

Pani Eliza zbiera filiżanki i rusza w kierunku dworku. Powoli posuwam się za nią, patrząc pod nogi i usiłując nie rozlać resztek kawy i mleka w dzbanuszkę. Nagle podnoszę głowę, przekonana, że ktoś uporczywie mi się przygląda. Mój wzrok pada na okno biblioteki i dostrzegam poruszającą się firankę. Ktoś stał w oknie i obserwował, jak pijemy kawę w ogrodzie. Być może nawet przysłuchiwał się naszej rozmowie i słyszał, co mówimy o stryjkę. Odczuwam niepokój, ale posyłam w stronę biblioteki twarde spojrzenie. Ktokolwiek skrywa się za firanką, musi wiedzieć, że wcale się nie boję. Choć naturalnie boję się jak cholera!



Przed śniadaniem dochodzi do prawdziwej tragedii. W poszukiwaniu wrzątku Anna Ptak wędruje do kuchni, czym wprawia Nadzieję w wojowniczy nastrój. Kucharka podpira się rękami pod boki i spogląda na pisarkę cokolwiek wyzywająco.

– Myśli, że mam czas gonić tam i nazad? Będzie wrzątek, to przyniesę. – Nadziejka nurkuje do dolnych szafek w poszukiwaniu patelni do smażenia jajecznicy na szynce. Ze szczypiorkiem.

– Ale ja potrzebuję teraz! – upiera się piękna pisarka. Szparka usiłuje ratować sytuację i włączyć czajnik bezprzewodowy, ale jest już za późno. Czerwona jak piwonia Nadzieja podnosi się z takim impetem, że uderza głową o blat. Słyszymy donośny huk, a potem pląsnięcie, kiedy obfite pośladki Nadziei uderzają o posadzkę. Kucharka siedzi jak zamroczona i nie może wstać. Spogląda na nas nieprzytomnie.

– Dosyć tego. Odchodzę – oświadcza. Anna Ptak prychna lekceważąco i dostojnym krokiem wychodzi z kuchni. Pomagamy Nadziei wstać z podłogi. Kiedy tylko podnosimy ją do pionu, rozplątuje wstążki fartucha i rzuca nim na kuchenny parapet. – Idę!

– Nie może pani odejść – próbuję ją powstrzymać. – Bez pani sobie nie poradzimy.

– Niech Nadzieja głupot nie opowiada – popiera mnie Szparka.

– Kto kozę wydoi? – pytam z niepokojem.

– Pisarka niech se wydoi – denerwuje się Nadzieja, ale widzę, że jej oblicze pogodnieje. Mięknie wobec naszych słodkich słówek. Nic to jednak nie pomoże, bo ledwie robi dwa kroki, zatacza się na krzesło. Pani Eliza, która właśnie weszła do kuchni, wysłuchuje całej historii i decyduje.

– Trzeba posłać po Starego Jana i Nadzieja pojedzie do ośrodka zdrowia na badanie. To nawet wstrząśnienie mózgu może być...

– Jakiego tam mózgu – broni się niemrawo kucharka, ale zupełnie bez przekonania.

– Cicho – pokrzykuje na nią pani Eliza. – Zaraz, zaraz... Po co posłać po Starego Jana. Polecę do pana Mareczka, to taki przyjemny człowiek... A wy dwie... – Wskazuje na nas. – Musicie sobie jakoś radzić. Śniadanie zrobić.

– Mareczka srateczka... – mruczę pod nosem.

– Co mówisz, Kalinko?

– Nic, nic. Zastanawiam się, kto kozę wydoi...

Pani Eliza przez chwilę duma, ale Nadzieja ma już gotową odpowiedź.

– Pisarka niech se doi!

– A wiecie, że to jest bardzo dobry pomysł? – Pani Eliza klaszcze w dłonie i niemal podskakuje, jak mała dziewczynka. – Pozwolimy gościom wydoić kozy, taka kamionkowska atrakcja na dzisiaj...

– Biedna koza. – Żegna się na piersi Szparka, ale oczy się jej śmieją. Rzuca w moją stronę fartuchem. – Niech po jajka idzie do kurnika i szybko wraca. Wie, jak jajko wygląda?

– Wie. – Patrzę na nią cokolwiek nieprzychylnie. – Moja matka zawsze powtarza, że jak z gówienkiem to prawdziwe jajko...

– To u nas wszystkie prawdziwe! – Śmieje się dziewczyna, ukazując przerwę między jedynekami. – Niech je tylko dobrze opłucze!



Obserwuję, jak pani Eliza i Marek prowadzą wciąż lekko zamroczoną Nadzieję do samochodu. W mojej głowie kiełkuje plan. Odczekam, aż samochód zniknie za zakrętem parkowej alejki i pobiegnę do sypialni malarza. Przeszukam pokój jeszcze raz, tym razem dokładniej.

Szparka nie jest zachwycona moją dezercją z kuchni. Właśnie ładuje na talerze parujące kopce żółciutkiej jajecznicy, w której pyszną się różowe i zielone dodatki w postaci szczypiorku i szynki.

Śniadanie pachnie obłądnie i z trudem przełykam ślinę napływającą do ust. Prędko zanoszę talerze do jadalni, starając się nie dostrzec rozbawionych spojrzeń Cieplaków. Później tłumaczę Szparce, że muszę, ale to naprawdę muszę do łazienki.

– Niech idzie – łaskawie zezwała. – Ale niech szybko przychodzi. Ja im sama o dojeniu kozy nie powiem, jeszcze mi życie miłe...

Cmokam ją w policzek i czym prędzej wspinam się na piętro. Przez krótki moment nasłuchuję, ale jedyne głosy, jakie do mnie docierają, to te dochodzące z jadalni. Szybko podchodzę do drzwi pokoju Marka i w duchu składam podziękowania pani Elizie, która nie wyposażyła ich w klucze. Lekkomyślnie, ale bardzo wygodnie dla detektywa-amatora. Wsuwam się do środka i prędko rozglądam na boki. Od czego zacząć?

Na łóżku lerzy porzucona koszulka, nic nie mogę na to poradzić, podnoszę ją do nosa. Później przeglądam nocny stolik. Na blacie kieszonkowe wydanie powieści Stephena Kinga i okulary przeciwsłoneczne. W szufladzie żelki-misie, na których widok parskam śmiechem. A to łakomczuszek!

W niewielkiej szafce trochę ciuchów, na widok których udaje mi się powstrzymać od wążania. Na dnie sportowa torba, szybko przetrząsam kieszenie, ale nic w niej nie ma. Dokumenty zabrał ze sobą, nie sprawdzę jego tożsamości. W łazience znajduję namoczone pędzle i tuby z farbami. Trzeba przyznać, że zjawił się w dworku dobrze przygotowany. Farby, pędzle, nawet jakieś szmaty...

Wracam do sypialni. Gdzie podział się rewolwer? Zaglądam pod poduszkę, ale nic nie znajduję. W tej samej chwili zauważam, że prześcieradło nie jest równo wsunięte pod materac, szybko przesuwam dłonią pod jego krawędzią i natrafiam na chłodny kształt. Nie mam odwagi wydobyć broni, ale wiem, że to to. Czuję, jak adrenalina w moich żyłach wzrasta. Opadam na kolana, by przekonać się, czy nie ukryto czegoś pod łóżkiem. W kłębkach kurzu znajduję mały skrawek papieru, podnoszę go i prostuję między palcami.

Krew uderza mi do głowy.

Mały pomięty karteluszek jest kawałkiem zdjęcia. Mogę na nim podziwiać, jak hojnym gestem wręczam panu od precelka sfatygowaną dyszkę...

Rozdział 16

– *M*uszą nacisnąć i pociągnąć! – instruuje roześmiana Szparka.

Stoimy na zielonej łące za kurnikiem. Kwadratowy kawałek trawnika został wydzielony za pomocą cienkich palików. Pomiędzy nimi dostojnym krokiem przechadzają się dwie zgrabne kózki. Ta biała z rogami jak stąd do Częstochowy nazywa się Baśka. Druga ma figlarny ogonek, czarne łaty na białym grzbiecie i niewielkie rożki. Wołają na nią Pucia. Odkąd usłyszałam to imię, nie mogę powstrzymać głupiego chichotu.

Zaraz po śniadaniu – i eksploracji pokoju udawanego malarza – wmaszerowałyśmy ze Szparką do jadalni i obwieściłyśmy osłupiałym gościom, jakie to atrakcje dla nich przygotowałyśmy. Tak, jak się spodziewałam, warszawiacy byli pełni werwy, a reszta towarzystwa bardzo ostrożna w swoim entuzjazmie. Jolka wydeła umalowane usteczka i oświadczyła, że ona nigdzie nie idzie.

– Chodź, będzie zabawnie! – woła ją Patryk, Jola ściąga więc z kanapy swoje okrągłe ciało i powoli toczy się za mężem do hallu. Ku mojemu zdumieniu również Anna Ptak z energią zrywa się od stołu i zatrząskuje laptopa.

– To może być bardzo inspirujące! – woła i dołącza do reszty letników.

Tym sposobem na łące za kurnikiem zbiera się wesoła dziewięcioosobowa grupa. Pani Elunia zmieniła obuwie na kalosze, bo jak twierdzi, bała się kozich placków. Koza demonstruje jej naocznie, że żadnych placków nie produkuje. Goście wydają się cokolwiek skonfundowani, ale humory ich nie opuszczają. Przewornie trzymam się nieco z boku, wcale nie mam ochoty na bliskie spotkanie z rogami Basi i Puci, ale Szparka wydaje się tego nie zauważać. Właśnie przyprowadza przeżuwigającą jakieś zielsko Baškę i podsuwa panu Edziowi mały drewniany stołeczek.

Pan Edzio sięga do kozich wymion, a im bliżej sięga, tym czerwiejszy rumieniec wypływa na jego twarz. Ostatecznie udaje mu się wykrzesać z biednej Baški kilka kropel mleka i zachwycony wstaje z krzeselka, by ustąpić miejsca żonie. Jego czoło pokrywa tak obfity pot, jakby sprintem przemierzył całą Warszawę! Cierpliwa koza strzyże krótkim ogonkiem i nic nie robi sobie z zabiegów warszawiaków. Właśnie ze stołeczka podnosi się pani Elunia i radosnym spojrzeniem wodzi po pozostałych gościach.

– Kto następny? – pyta.

– Może pan Cieplak? – podsuwam z pobłażliwym uśmiechem.

– Kto? Ja? – Na twarzy mojego eksnarzeczonego pojawia się lekki wyraz paniki.

– Naturalnie! Zapraszamy! – mówię słodziutkim tonem. – Chyba nie boi się pan kozy?

– Oczywiście, że się nie boję. – Patryk dziarsko podwija rękawy koszuli i podchodzi do drewnianego stołeczka. Gdzieś zza pleców dobiega mnie odgłos zatrząskiwanych drzwiczek. Najwyraźniej Marek przywiózł panią Elizę i Nadzieję z ośrodka zdrowia.

Patryk siada na stołku i podejrzliwie zerka na Baškę.

– Ta jest już wydojona – mówi do Szparki. – Może wydoję tamtą... z mniejszymi rogami?

Parskam śmiechem i podchodzę.

– Śmiało. Niech naciśnie i ciągnie – tłumaczy radosna Szparka.

– Tak? – Patryk kładzie dłonie na wymieniu kozy. Nie widzę jego twarzy, ale wygięcie pleców świadczy o tym, że nie jest zachwycony bliskością zwierzęcia i stara się zachować dystans. Szparka zagląda mu przez ramię i wybucha perlistym śmiechem.

– Niech zaciśnie porządnie te ręce! Koza to nie telefon komórkowy!

Przesuwam się w lewo, by móc obserwować poczynania Patryka. Widzę jego głęboko nieszczęśliwą minę i wyraz obrzydzenia, kiedy zaciska palce na miękkim wymieniu kozy. Baśka ogląda się na niego karcąco, więc mężczyzna przeprosza ją cicho. Kątem oka dostrzegam rozanielone spojrzenia warszawiaków, nieco przestraszoną minę Jolki oraz roześmianą twarz Anny Ptak. Kiedy się uśmiecha, jest jeszcze piękniejsza! Obok Anny ustawił się Marek, który tymczasem zdążył nadejść z parkingu. Tylko on nie obserwuje poczynania Patryka. Patrzy wprost na mnie i zagadkowo się uśmiecha. Odwracam od niego oczy i skupiam się na niedoszłym małżonku, który właśnie posyła do emaliowanego rondla pierwszą strugę białego mleka.

– Bardzo ładnie, panie Cieplak! Ta umiejętność na pewno panu nie zginie – cedzę przez zęby. – Kiedy urodzi się dzidzius, kupi pan kozę i...

– Udało się! – Rozradowany Patryk nie zwraca uwagi na moje słowa. Wyrzuca ramiona w górę i niemal podskakuje na drewnianym krzeselku. Przerazona jego niespodziewanym wybuchem radości koza wierzga tylnymi nogami, przewracając dzbanek i stołeczek. Pozbawiony oparcia Patryk ląduje na plecach w świeżo wyprodukowanych przez Pucię bobkach. W nagrodę za odwagę i doskonałe efekty klaszczemy mu wszyscy. A ja najgłośniej!



Na wieczór pani Eliza planuje ognisko. Najprawdziwsze ognisko z kiełbaskami pieczonymi na kiju i ziemniakami z popiołu. Zamiast odnawiać fresk na galerii, Marek całe popołudnie struga kije za pomocą długiego noża. Obserwuję go ukradkiem zza firanki i zastanawiam się, skąd wziął takie długie ostrze i czy kogoś już nim zamordował. Przy takim rzeźmieszku wszystko jest możliwe!

Nurtuje mnie, skąd w pokoju malarza wzięło się moje zdjęcie. Najwyraźniej ktoś mnie śledził w drodze do kamionkowskiego dworku, a to oznacza, że szajka włamywaczy wiedziała o moim przyjeździe i jest lepiej przygotowana, niż mogłyśmy z panią Elizą przypuszczać. Ciekawe, czy pozostali letnicy również byli inwigilowani? Podejrzewano nas, że przewozimy stryjka w bagażu podręcznym i dlatego pierwszej nocy skradziono moją walizkę?

Opuszczam swój posterunek przy oknie i wchodzę do kuchni, aby ponacinać kiełbaski i wyszorować w zlewie ziemniaki. Wszystko to, by odciążyć obolałą i lekko zamroczoną Nadzieję. Właśnie atakuję worek kiełbasy zwyczajnej przy użyciu krótkiego nożyka, kiedy na moje dłonie pada cień.

– Dlaczego mam wrażenie, że mnie unikasz? – pyta Marek. Rumienię się i ponownie opuszczam spojrzenie na ostrze.

– Skądże, po prostu...

– Po prostu pogniewałaś się na mnie? Przepraszam.

Własnym uszom nie wierzę! Przepraszam mnie? Za co? Za to, że chciałem podstępem pozbyć się mnie

z dworku, ponieważ mogą być ze mną kłopoty? Czy za to, że jest przestępcą, co skreśliła go jako potencjalny męski obiekt znajdujący się w moim bliskim otoczeniu, gdyż nie mam zamiaru słać mu paczek za kratki?

– Po prostu mamy dużo pracy – mruczę w odpowiedzi.

– Powinienem wiedzieć, że nie zechcesz wyjechać tylko dlatego, że zrobiło się tutaj niebezpiecznie.

– Wcale nie uważam, żeby było niebezpiecznie – mówię i patrzę na niego badawczo. – No, chyba że o czymś nie wiem?

– Myślę, że wiesz i tak za dużo.

– Aha. – Opuszczam wzrok na kielbaski i zaczynam je nacinać. Czy to było ostrzeżenie?

– Kielbasek na ognisko tak się nie nacina. Pospadają z kijków. – Marek nachyla się nade mną i wyjmuję z moich dłoni ostrze. Fachowym ruchem nacina kielbaski i oddaje mi nóż. Mimo to nie odsuwa się. Czuję ciepło, jakie emanuje z jego ciała. Czuję zapach. I chce mi się płakać. Tak po babsku normalnie płakać, bo w innych okolicznościach mógłby być z nas całkiem niezły duet. Nagle ogarnia mnie wściekłość. Na Marka! Za to, że wybrał właśnie taką a nie inną profesję. Naprawdę tak trudno imać się uczciwego zajęcia? Być cholernym dentystą, aktorem czy szewcem? Ja nie miałam oporów z ukończeniem bibliotekoznawstwa! Upust swojej wściekłości daję poprzez przydeptanie stopy stojącego zbyt blisko mężczyzny.

– Auć! – Patrzy na mnie z wyrzutem.

– Przepraszam, ziemniaki muszę przepłukać...

Nie odsuwa się, patrzymy na siebie hardo. Tę idylliczną scenkę przerywa chrząknięcie dochodzące od strony drzwi. W progu stoi Patryk. Naturalnie, jakżeby inaczej?

– Słucham? – zwracam się do niego.

– Nie przeszkadzam?

– Nie widzisz?

Moja odpowiedź zbija go z tropu. Przez chwilę mierzy nas dziwnym spojrzeniem, w końcu wyjaśnia, że chce prosić o herbatę dla żony. Kiwam głową bez słowa i sięgam, by pstryknąć guzik czajnika bezprzewodowego. Moje ramię ociera się o ramię Marka. Między nami przebiega iskra. A myślałam, że to wymysł tanich romansów, jakie zdarza mi się przynosić z biblioteki...

Przygotowuję filiżankę z torebką herbatki owocowej dla Jolki, stawiam ją na okrągłej tacy, obok kładę cukiernicę, a nawet talerzyk z trzema herbatnikami. Czuję, że obserwują mnie dwie pary męskich oczu. Patryk ponownie chrząka i robi bliżej nieokreślony ruch.

– To ja... Do ogrodu, co?

– Jasne. Zaraz przyniosę herbatę twojej żonie – odpowiadam. Nie podnosząc wzroku, trącam palcem herbatnik, który zsuwa się z talerzyka. Podpieram go papierową serwetką z wesołą wisienką. Słyszę oddalające się kroki. Woda bulgocze głośno, aż w końcu czajnik się wyłącza. Zalewam herbatę i chcę sięgnąć po tacę, ale Marek delikatnie mnie odsuwa.

– Ja im zaniosę – mówi miękko. Robię mu miejsce i patrzę, jak zwinnie rusza w stronę drzwi, balansując tacą z parującą filiżanką. W progu zatrzymuje się i patrzy na mnie z lekko drwiącym uśmiechem.

– W przyszłości... kiedyś w Krakowie... chciałbym zaprosić cię na taką herbatę – mówi.

Kręcę głową i odwracam się do niego plecami.

– To się nie uda.

– Kto wie, hrabianko?

Rozdział 17

Wieczorem przy ognisku spotykam Karola Broszko. Komisarz podkreca swojego imponującego wąsa, czapkę wtyka to pod lewą, to pod prawą pachę i najwyraźniej bardzo chce mi coś przekazać. Ognisko zostało zorganizowane na łące położonej poniżej dworku. W dole leniwie płynie rzeka. Słońce niemal już zachodzi, a komary okazują miłosierdzie. Jest pięknie.

Letnicy dzierżą wystrugane przez Marka kijki z nadzianą kiełbaską i radośnie pochylają się nad płomieniami. Wyszorowane ziemniaki oczekują na swoją kolej w wiklinowym koszyku. Na rattanowym stoliku spoczywają talerzyki i sztucce, a także maselniczka i zawinięta w gazetę sól. Szparka, która czuwała nad organizacją kamionkowskiego biwaku, obwieściła, że nie ma ziemniaków z popiołu bez masła i soli przyniesionej w gazecie. Nie ma i już. Niezwykły swojski klimat psuje wielka butla pikantnego ketchupu.

Obserwuję zgromadzonych gości. Pani Eliza w wielkim słomkowym kapeluszu wydobywa z kosza kolejne smakołyki. Nadzieja niczym królowa zasiada na małym stołeczku, ramiona skrzyżowała na piersi i czujnie obserwuje, co kto porabia. Marek dorzuca polan do ognia, choć ognisko już teraz jest imponujące, ale jak wyjaśniła mi Szparka, do ziemniaków potrzeba naprawdę dużo popiołu. Karol Broszko miętoli czapkę w dłoni i nieznacznie przesuwają się w moją stronę, co nie uchodzi uwadze Marka.

– A pan komisarz także na ognisko? Czy może znowu mandacik wlepić?

– Mandacik... – mruczy Karol Broszko pod nosem i spogląda chmurnie na malarza. – Przyjechałem zajrzeć, czy wszystko w dworku w porządku. Podejrzane elementy tutaj się kręcą, to i pilnować trzeba.

– Przy okazji proszę spróbować kiełbaski. Kalinka przyrządziła – zgryźliwie rzuca Marek i wciska zaskoczonemu komisarzowi kijek z nabitą zwyczajną. Karol Broszko nie jest przygotowany na taką sytuację i nie wie, co zrobić z czapką. Najpierw wsuwa ją pod pachę, by w końcu przytrzymać kolanami. Wygląda na wyjątkowo nieszczęśliwego.

Na szczęście udaje nam się znaleźć chwilę, by porozmawiać sam na sam. Komisarz jest co najmniej zbity z tropu.

– Pani Kalinko, coś tutaj nie pasuje. Próbowałem sprawdzić tego całego Marka po numerze rejestracyjnym, ale otrzymałem odpowiedź odmowną!

– Co to znaczy, panie Karolu?

– Powiedziano mi, że mam się nie wtrącać, że to nie jest sprawa na moje kompetencje. To, pani Kalinko, jakaś gruba ryba będzie.

– Że Marek? – Czuję, jak moje serce zaczyna galopować. Marek nie jest pierwszym z brzegu rzezimieszkiem. To z pewnością jakiś grubszy boss. A ja się z nim spotykam sam na sam. W kuchni. Po parku się włóczę. I on się ze mną na herbatę umawiać chce. A jeśli zdenerwuje się, że jestem oporna na jego zaloty?

– Tak, Marek. W każdym razie zaalarmowaliśmy kogo trzeba, że on tutaj przebywa. Teraz poczekamy,

jak zareaguje policja. Proszę na niego uważać i w żadnym razie sam na sam... – Patrzy na mnie badawczo.

– Panie Karolu! – mówię żałośnie. – Muszę się panu do czegoś przyznać. Ja znowu byłam w jego pokoju. Chciałam sprawdzić, czy ten pistolet jest tam naprawdę!

– I jest?

– Jest, jest! Jeszcze jak jest! Ale to nie wszystko! Pod łóżkiem tego przestępcy znalazłam kawałek zdjęcia. To moje zdjęcie!

– A to łotr! Sfotografował panią?

– Nie wiem, czy on. To zdjęcie zostało wykonane w Krakowie, w dniu mojego wyjazdu do Kamionek. Marek wiedział, że ja tutaj będę. Ta cała szajka śledziła mnie i z pewnością jeszcze innych gości. To dlatego skradziono moją walizkę. Jest widoczna na zdjęciu...

– Pani Kalinko, musi mi pani obiecać, że będzie ostrożna. Naprawdę ostrożna. Proszę trzymać się z daleka od tego złodzieja i mordercy.

– Mordercy? – Jestem przerażona. – Myśli pan, że aż tak?

– Pani Kalinko, pistoletem się zamków nie otwiera. – Komisarz spogląda na mnie z politowaniem w oczach.

Obiecuję solennie, że będę Marka unikać, a równocześnie postaram się mieć go na oku. Nie wiem, jak tego dokonam, ale muszę to zrobić. Teraz przyglądam się tej kreaturze przez wzbijające się w niebo płomienie i złociste skry. Przekonuję się, że on również wpatruje się we mnie, a co gorsza śmieje się i posyła w moją stronę całusa.

Nagle dostrzegam dziwne poruszenie. Widzę biegnącą panią Elizę. Jest wyraźnie zaaferowana. Podbiega do mnie i ściska moje ramię.

– Są! – woła wcale nie dyskretnie. – Przyjechali! Lila i obraz są już w dworku!



Przechadzam się po bibliotece i to z jednej, to z drugiej strony przyglądam obliczu z lekka nadętego stryjka. Oczy mężczyzny z portretu wydają się wodzić za mną, aż dostaję nieprzyjemnych dreszczy. Nie chciałabym, aby ten portret wisiał w mojej sypialni. Jednakże pani Eliza i jej wesoła, bezpośrednia siostra, Liliana, są zachwycone. Toż to prawdziwe arcydzieło, ostatnie przedśmiertne!

Liliana jest bardzo podobna do siostry, tyle że wszystko ma jeszcze weselsze. Wcześniej, zanim Lila zawitała do dworku, pani Eliza wydawała mi się najbardziej pogodną osobą pod słońcem. Teraz pałeczkę przejęła Liliana, która nosi dwa siwawe warkoczyki i z daleka przypomina nieco zaszuszonego Indianina z filmów, które oglądałam w dzieciństwie. Ubrana w strojną suknię do ziemi i dżinsową kataną, biega po pokoju niczym fryga i zalewa wszystko perlistym śmiechem. No, artystka, jak mi Bóg miły!

Kiedy tylko przybyliśmy do dworku za nieco zdyszaną panią Elizą, natychmiast wzięła mnie w ramiona i mocno uściskała, wyrażając podziękowania, że tak pomogłam jej siostrze.

– Słyszałam, że jesteś artystką? – Patrzyła na mnie badawczo.

– Gdzież tam artystką! – Zarumieniłam się po cebulki włosów, a stojący za mną Marek – który naturalnie jak na kompetentnego rzeźmieszka przystało, przylazł za nami – zaniósł się śmiechem aż do suchego kaszlu. Obejrzałam się na niego z naganą w oczach. Będzie mi tu wypominał podszywanie się

pod artystkę, uzurpator i przestępca jeden! – Trochę maluję! – dopowiedziałam skromnie.

– Ładne mi trochę! – Pani Eliza kręciła głową. – Ta nimfa była naprawdę piękna... Szkoda, że nie utrwaliłyśmy jej na zdjęciu, chociaż...

– Chcecie zobaczyć obraz? – przerwała siostrze podekscytowana Liliana. Naturalnie chcieliśmy i teraz tłoczmy się wokół stryjka, a ja nie potrafię wykrzesać z siebie entuzjazmu. Najwyraźniej sztuki nie rozumiem. Patrzę na panią Lilianę lękliwie.

– I to jest ten... – pytam z nabożną czcią w głosie, bo jednak nazwisko robi wrażenie.

– Nie ten. Tamten. Jego brat. Niedoceniony za życia, po śmierci przeszedł sam siebie. Że tak to ujmę. Piękny prawda? – Pani Liliana czułym gestem głaszcze dębową ramę obrazu.

– Cudeńko! – mówi z podziwem Marek, a ja patrzę na niego z wściekłością. Lizus i kłamca!

Pani Lila kiwa głową, spoglądając na stryjka niczym dumna mama na rysującego przedszkolaka i tłumaczy:

– Odnawialiśmy go w Paryżu, w pracowni mojego znajomego. Doskonały efekt. Zainstalujemy go na galerii, tam gdzie jego miejsce. A póki co... – Patrzy na nas prosząco. – Musimy odstawić obraz do sejfu. Pomożecie? Trochę ciężkawy jest...

Wspólnymi siłami taszczymy obraz do sejfu, który został ukryty za wielką kotarą w sypialni gospodyni. Jak wyjaśnia pani Eliza, w latach świetności dworku sypialnia ta była gabinetem właściciela i właśnie dlatego sejf znajduje się tutaj. Choć słowo sejf nie oddaje charakteru tej skrytki: to raczej szafa pancerna, do której mogę wejść cała!

Pani Eliza zasuwa drzwi i dyskretnie się oddalamy, kiedy je rygluje za pomocą sekretnej ciągi liczb. Patrzę z uznaniem na kryjówkę stryjka, a potem triumfalnie na Marka. Obraz jest bezpieczny, takiego sejfu nie ruszy nawet dynamit! Malarz nie wydaje się tym przejmować, jego twarz opromienia uśmiech, obejmuje mnie przyjacielsko ramieniem.

– No to co, hrabianko? Robota już niemal wykonana, idziemy na herbatkę?

Wyrywam się i patrzę oniemiała. Przyznaje się do swoich niecznych planów, jak gdyby nigdy nic? To podstępna i podła szumowina. Karol Broszko ma rację, to nie płotka, to wyrachowana zimna gruba ryba!

– Nigdzie z tobą nie idę – cedzę przez zęby. Obserwuję, jak jego oczy zmieniają się w bryłki lodu, a z twarzy znika pogodny wyraz. Nic nie mówi. Grozi mi palcem i odchodzi, a to chyba jeszcze straszniejsze!

Rozdział 18

Kolejny dzień upływa nam spokojnie i wesoło. Praży letnie słońeczko, goście zatem odmawiają jakichkolwiek zabiegów i wylegają na trawnik z leżakami. Pani Liliana zabawia ich rozmową, popijając smolistą kawę z maciupkiej filiżaneczki. Opowiada o Paryżu, Barcelonie, Mediolanie i, nie wiedząc czemu, o Chicago.

Pani Eliza atakuje sekatorem wyjątkowo oporny krzew w ogrodzie. Po przymusowym dniu odpoczynku Nadzieja wtargnęła do kuchni i wyraziła oburzenie, jakobyśmy ze Szparką zrobiły jej niewyobrażalny bałagan. Teraz szoruje, układa i przekłada, równocześnie doglądając szarlotki w piekarniku i nóżek z kurczenia w rynience.

Dzień toczy się leniwie i zwyczajnie, jakby żaden obraz nie przybył do dworku i nic się nie zmieniło. Poprzedniego wieczoru pani Eliza wzniosła w towarzystwie letników toast za arcydzieło, które powróciło na łono rodziny, ale ta informacja nie wywołała większego zainteresowania. Jedyne warszawiacy stwierdzili, że powrócą do dworku w przyszłym roku, by podziwiać portret na galerii.

Zanoszę gościom mrożoną herbatę i mam właśnie zapytać, czy mają jeszcze na coś ochotę, kiedy zauważam, jak Patryk pełnym uznania wzrokiem wodzi po nogach Anny Ptak. Nieświadoma niczego Jola zatopiła się w lekturze Glamour. Wzdycham i kręcę głową, niektórzy mężczyźni najwyraźniej nigdy się nie zmieniają. Jola zakosztuje jeszcze tego, co stało się moim udziałem. I, o dziwo, nie odczuwam z tego powodu satysfakcji. Powiem więcej: jest mi Jolki trochę żal...

Korzystając z wolnej chwili, robię obchód dworku. Szparka wiesza świeże firanki w bibliotece. Nadzieja drzemie na krzeselku w kuchni, wydając z siebie donośne „chrrrrr”, pani Eliza nawozi piwonie czymś, co niepokojąco przypomina nawóz po Romeo. Jej siostra nadal zabawia gości wesołymi anegdotkami. Pozostała tylko jedna osoba, której poczynania muszę sprawdzić. Ostrożnie wspinam się schodami na galerię, uważając, by nie nadepnąć skrzypiącej deski i rozglądam się za Markiem. Na galerii go jednak nie ma...

Przy okazji oglądam stworzony przez niego obraz i z rozczarowaniem muszę przyznać, że ma talent. Pomyśleć, pospolity przestępca, a jednak wrażliwy na piękno! Rzucam ostatnie spojrzenie na fresk i pospiesznie się oddalam, ponieważ mam wrażenie, że głos Marka dochodzi z piętra. I rzeczywiście! Jest tutaj! Co gorsza wychodzi ze sypialni pani Elizy, gdzie przebywa ukryty stryjek!

Pospiesznie chowam się w niszy okiennej, ponieważ mężczyzna właśnie wydobywa telefon komórkowy i rusza w moją stronę. Dobiegają mnie strzępki rozmów.

– Tak, dzisiaj... Na pewno. Nie da się dłużej zwlekać. Obraz przybył wczoraj, więc... Jasne, widzimy się popołudniu.

A więc to na dzisiejsze popołudnie zaplanowano akcję kradzieży stryjka? Trochę dziwne, że tak w biały dzień, ale z przestępcami się nie pertraktuje, prawda? Nie pozostaje mi nic innego, jak mieć oczy i uszy otwarte. I natychmiast zawiadomić Karola Broszko. Komisarz dokona spektakularnego aresztowania

i dzięki temu otrzyma awans.

Odczekuję, aż Marek się oddali i biegnę do swojego pokoju po komórkę. Szybko wybieram numer komisariatu. Karol Broszko przedstawia się głębokim głosem amanta filmowego.

– Panie Karolu, tu Kalina Radecka. Mam cynk!

– Proszę? Jaki znów cynk?

– Informację, panie Karolu, mam! Dziś zorganizowana grupa przestępcza dokona akcji kradzieży obrazu.

– Matko Boska, jest pani pewna?

– Tak. Słyszałam, jak ten malarzyna umawiał się z pozostałymi...

– Co mam zrobić, pani Kalinko?

– No, mnie się pan pyta, co ma zrobić? Chyba szkolą was na wypadek takich wydarzeń?

– Nieszczęśliwie – mówi nieszczęśliwy Karol Broszko, ale zaraz reflektuje się i chrząka. Mogę się założyć, że akurat podkręca węża. – Głowa do góry, pani Kalinko. Złapiemy ich! I to na gorącym uczynku.

– Pokładam nadzieję w panu, panie Karolu – mówię bez przekonania.

Coś mi się wydaje, że tę całą szajkę muszę unieszkodliwić osobiście.



Popołudnie mija i nic się nie dzieje. Goście w dalszym ciągu oddają się słodkiemu lenistwu przed dworkiem, a właścicielki omawiają w zaciszu biblioteki jakieś ważne zagadnienia dotyczące ulepszeń w Kamiennym Kręgu. Nadzieja przygotowała kolację i drzemie w swoim pokoju. Szparka rozsiadła się z jakimś kobiecym czasopiśmem na schodach, wachluje się nim i popija kompot. Biegnę do pokoju po książkę, ale nieszczęsna Bridget słabo pasuje do ważnej misji, jakiej właśnie się podjęłam. Bo zdecydowałam, że nie spuszczę Marka z oka. Muszę wiedzieć, co knuje i z kim. Biegnę do biblioteki i posyłając przeproszające spojrzenia w kierunku rozsiadłych tam kobiet, wybieram z kartonu ustawionego pod oknem mocno sfatygowany egzemplarz Agathy Christie. Będzie jak znalazł! W ostatniej chwili przypominam sobie, że zadziorna, choć nieco gapowata Bridget, pasuje do mojej misji jak ulał. Porzucam więc Agathę na rzecz Helen... i Marka Darcy'ego, rzecz oczywista.

Z książką pod pachą wyruszam na poszukiwanie malarza. Nie muszę daleko szukać, ponieważ mężczyzna siedzi na schodach przed drzwiami wejściowymi i coś skrobie w notesie. Pewnie oblicza, ile zarobi na kradzieży stryjka! Bez zastanowienia dosiadam się do niego i usiłuję zerknąć przez ramię. Niestety, ma szybki refleks i muszę obejść się smakiem.

– Co tutaj robisz? – pyta zdziwiony.

– Mam wolną chwilę, zauważyłam cię i ... – Wykonuję nieokreślony ruch, który ma oznaczać, że zdecydowałam się mu potowarzyszyć.

– I nie masz już much w nosie?

– Nigdy nie mam much w nosie – obruszam się.

– Ale może jednak pójdziesz zobaczyć, czy nie ma cię gdzie indziej?

– Bardzo miły jesteś, wiesz? – Wstaję i otrzepuję spodenki. Patrę na niego z góry. Wyczuwam, że usiłuje pozbyć się mnie. Najwyraźniej czeka na swoich współników i chce być sam. Ale nie ze mną takie numery. Odchodzę ostentacyjnie kilka kroków i rozsiadam się na kamiennej balustradzie, podnosząc do

oczu książkę. Tak naprawdę wcale nie czytam, tylko ukradkiem obserwuję malarza, który robi się coraz bardziej niespokojny. I siedzimy tak kilkanaście minut, on skrobie coś w notatniku, a ja udaję, że czytam... I właśnie wtedy przychodzi Mark Darcy i nie mogę oderwać się od książki. A kiedy podnoszę oczy, Marka już nie ma. Oczywiście Marka malarza, bo Mark Darcy wciąż siedzi w mieszkaniu Bridget.

– Cholera jasna! – wrywa mi się. Zeskakuję z balustrady i rozglądam się na wszystkie strony. No, wcięło gada, po prostu wcięło!

Znajduję go po dłuższej chwili. Towarzyszy gościom na tylnym trawniku i deliberuje na temat wyższości zagranicznych tras narciarskich nad krajowymi. Tak jakby kogokolwiek interesowało narciarstwo. W wakacje!

Najważniejsze jednak, że znów mam go w zasięgu wzroku i mogę pilnować. Rozsiadam się na wolnym leżaku i staram zrelaksować. Nie potrafię. Coś wisi w powietrzu. W dworku panuje dziwna, niespokojna atmosfera. Może to tylko wrażenie, ponieważ wiem, że coś jest na rzeczy. Denerwuję się. Gdzież ten komisarzyna?

Tymczasem goście zaczynają zbierać się na kolację. Jestem zdezorientowana. Popołudnie minęło i nic się nie wydarzyło. Czyżby nie chodziło o dzisiejszy dzień? Smętnie, noga za nogą podążam za pozostałymi do jadalni i nakładam na talerz smaczne leczo z cukinii i czerwonej papryki.

– Pani Kalinka coś dzisiaj nie w sosie – zauważa pani Elunia.

Uśmiecham się lekko i tłumaczę, że boli mnie głowa. Równocześnie bacznie rozglądam się na boki, jednak w jadalni panuje nad wyraz radosna i pogodna atmosfera. Patryk masuje Jolce ramiona, Anna Ptak rozprawia z panem Edziem na temat najnowszej książki, a pani Zosia i pani Elwira wcinają leczo, aż im się uszy trzęsą. Zerkam jeszcze na Marka, który jakby nigdy nic usadowił się z dala ode mnie i przekonuję się, że wgapia się w ekran komórki. Dałabym bardzo wiele, by wiedzieć, co tam kombinuje.

Po kolacji znika na galerii, tłumacząc, że musi coś domalować. Nie wypada mi za nim iść, zatem kręcę się tylko po hallu i co chwila zerkam w stronę schodów, by przekonać się, czy nie zmierza gdzieś, gdzie iść nie powinien. Tymczasem wpada na mnie Szparka, która zmierza do jadalni z kolejną porcją wykrochmalonych firan.

– Pomoże mi? – pyta z nadzieją w oczach.

Zerkam niespokojnie w kierunku schodów, ale wszystko wskazuje, że cokolwiek ma się wydarzyć, nie wydarzy się dzisiaj. Wzdycham głęboko i uśmiecham się do dziewczyny. Bardzo ją polubiłam.

– Pomoże! – mówię i obserwuję, jak jej twarz opromienia uśmiech. Szparka śmieje się całą sobą.

Zakładamy firany w kolejnych pokojach, później idziemy sprawdzić, czy kozy mają paszę i wodę, jeszcze później zamykamy okna w pomieszczeniach na parterze i gasimy światła w pograżonym we śnie dworku. Na koniec biegniemy do kuchni, by napić się lodowatego mleka i już mamy udać się do swoich pokoi, kiedy Szparka przypomina sobie, że nie sprawdziła, czy główne drzwi są zamknięte.

Okazuje się, że nie są.

– Dziwne. Wydaje mi się, że je zamykałam... – Szparka marszczy jasne brwi, ale nie ma zamiaru dumać nad własnym niedopatrzaniem. Przechodzi nad nim do porządku dziennego, śmieje się w głos i przekręca klucz. Każe mi mocno szarpnąć za klamkę, czy na pewno zamknięte i możemy iść spać. Jednak ja wiem, że tej nocy nie zasnę. Ogarnia mnie nagłe podniecenie. A więc tak to szczywany lis wykombinował! Otworzył drzwi, aby wpuścić do dworku swoich współników! Nic z tego, mój panie!

Przemykam do swojego pokoju, ale ciekawość pcha mnie pod drzwi Marka. Przyciskam ucho do drzwi

i nasłuchuję. Jest w środku, słyszę wyraźnie, jak coś przesuwa. Skrzypi otwierana i zamykana szafa. Pakuje się! No, tak! Jest pewien, że wraz z obrazem ulotni się w nocy, musi być gotów do drogi. Próbuję zerknąć przez dziurkę od klucza, ale nic nie widać... Wracam jak niepyszna do swojej sypialni i pospiesznie zakładam wygodne buty. Mam wrażenie, że tę noc spędzę w ruchu! Póki co siadam na łóżku, a na kolanach kładę ciężką encyklopedię, którą ukradkiem wyniosłam po kolacji z biblioteki. Wiem, że to licha broń, ale lepsza taka niż żadna!

 Nie zauważam, kiedy ogarnia mnie senność.

Rozdział 19

Budzi mnie jakiś hałas. Przerazona zrywam się z łóżka i nasłuchuję. W dworku panuje zupełna cisza, może to tylko mi się śniło? Nie mogę tego jednak zlekceważyć, prawda? Ostrożnie otwieram drzwi i wymykam się na korytarz. Moja dłoń zaciśnięta na encyklopedii gwałtownie się poci, muszę wsunąć opasłą księgę pod pachę. Przemykam korytarzem do pokoju Marka i nasłuchuję. W pokoju panuje cisza, żadnego chrapania, pokasływania czy przyspieszonego oddechu... Naciskam klamkę i wsuwam się do pokoju.

Kiedy mój wzrok przyzwyczajają się do ciemności, okazuje się, że pokój jest pusty! Na starannie zaścielonym łóżku leży spakowana walizka. Czyli nie wszystko jeszcze stracone, malarz wciąż przebywa w dworku i mogę go powstrzymać. Kucam koło łóżka i wsuwam dłoń pod materac. Tak, jak się spodziewałam. Broni nie ma!

Podnoszę encyklopedię i wychodzę z pokoju. Rozglądam się na boki. Korytarz jest pogrążony w półmroku, oświetla go jedna żałosna żarówka u końca korytarza. Wiem, gdzie powinnam iść, wiem, gdzie znajdę tego uzurpatora z paletą! Skradam się w kierunku sypialni pani Elizy.

I rzeczywiście!

Zbliżam się do załomu korytarza i w ciemności dostrzegam skradającego się mężczyznę. Nagle mój wzrok pada na kłębek mocnego sznurka porzuconego na wąskim parapecie. Wiem już, co zrobię! Wsuwam sznurek za gumkę spodenek i unoszę encyklopedię nad głowę. W tej pozycji pokonuję ostatnie metry i z całą siłą opuszczam imponującą księgę na głowę obróconego do mnie plecami Marka.

Mężczyzna zwala się u moich stóp z donośnym jękiem, rewolwer ślizgiem ląduje po drugiej stronie korytarza. Sprawdzam puls, choć dobywające się gdzieś od podłogi jęki mówią mi, że rzezimieszek żyje. Prędko dobywam sznurka i oplatom nim jego ramiona, tułów, aż w końcu także nogi. Bynajmniej nie delikatnie podciągam złączyńcę do siadu i opieram o ścianę, a sama kucam naprzeciw i ciężko oddycham. Widząc, że malarzowi zaczyna wracać świadomość, przybieram twardą minę i mówię.

– Myślałeś, że jesteś sprytny, co?

Z trudem unosi głowę, po jego czole spływa strużka krwi. I nagle parska śmiechem.

– Co cię tak bawi, przestępczo ty? – Czuję, jak ogarnia mnie złość.

– Wiedziałem, że będą z tobą kłopoty, Kalinko... – szepcze i zamyka oczy.

– Żebyś wiedział. – Wymierzam mu tęgiego kopniaka w kostkę, ale nie reaguje. Traci przytomność? Na wszelki wypadek mówię głośniej. – Co ty sobie w ogóle myślałeś, co? Że możesz sobie tutaj przyjechać ze swoją przestępczą bandą i napadać bezbronne kobiety? Ukraść ostatnie dzieło artysty i zaprzepaścić nadzieję na piękny biznes? Skąd w ogóle wiedziałeś o stryjku?

Marek znowu się śmieje.

– Dobrze ci radzę, rozwiąż mnie – dyszy.

– Jeszcze czego.

– Kalina, do cholery rozwiąż mnie – cedzi przez zęby. Jego wzrok znów nabrał ostrości i przypomina bryłki lodu. Robi mi się nieswojo. – Podaj mi broń, dobrze ci radzę.

– Nie – mówię stanowczo. Na wszelki wypadek wolę mieć rewolwer w dłoni, więc na czworaka zmierzam w kierunku, gdzie upadł. W ciemnościach niewiele widzę, ale staram się po omacku znaleźć broń. Nigdzie jej jednak nie ma.

Nagle unoszę wzrok i dostrzegam, że broń trzyma w ręce stojąca nade mną postać. Zasycha mi w ustach. Najwyraźniej współnicy Marka jakimś sposobem dostali się do dworku. Osoba, która trzyma broń, stoi w cieniu i nie widzę jej twarzy. Powoli unoszę się z kolan, a wtedy rewolwer opuszcza się w moją stronę.

– Zostań tak, jak jesteś – nakazuje mi kobiecy głos.

Postać trzymająca broń robi jeden mały kroczek i pada na nią nagle światło. Przede mną stoi elegancka Anna Ptak. Jej twarz wykrzywia ironiczny grymas. Ruchem pistoletu nakazuje mi cofnąć się, co też skwapliwie czynię. Docieram do siedzącego pod ścianą Marka i przywieram plecami do ściany. Nie wiem, co się tutaj dzieje, ale czuję, że to mnie przerasta. Z jednym rzezimieszkiem mogłam sobie poradzić, ale nie z parą. Ona zaraz rozwiąże swojego współnika, a wtedy poczuję, jak smakuje jego zemsta!

Anna Ptak opanowanym ruchem sięga do skrępowanych nadgarstków Marka i... zaciska sznur jeszcze mocniej. Obserwuję to cokolwiek skonfundowana, nic nie rozumiem! Odrywam się od ściany, ale rewolwer przyszpila mnie do niej z powrotem. Marek odwraca głowę w moją stronę i kręci nią ledwie dostrzegalnie. Chroni mnie? Co się tutaj dzieje, do cholery?

Anna Ptak dobywa z kieszeni srebrne bransoletki i potrząsa nimi przed moimi oczyma z zagadkowym uśmiechem. Czy ona zgłupiała? Będziemy bawić się w przebieranki? Dopiero po chwili dociera do mnie, że to kajdanki. Kobieta zaciska je brutalnie na moich nadgarstkach, przyszczypując skórę. Następnie podchodzi do drzwi pokoju pani Elizy i mocno w nie stuka.

Drzwi uchylają się niemal natychmiast, jakby ktoś, kto przebywał za nimi, tylko czekał na umówiony sygnał. Na widok postaci stojącej w progu, zaczynam wszystko pojmwować... No, może nie wszystko, ale z pewnością dużo.

– Dziękuję za pomoc, kochanie! – Uśmiecha się do mnie mój niedoszły mąż. – Martwiłem się, że pan detektyw pomiesza nam szyki, a tymczasem nie musiałem nawet fatygować się, by go wyeliminować, bo ty zrobiłaś to za nas! Brawo!



Patryk otwiera szeroko drzwi prowadzące do pokoju pani Elizy i wpycha mnie do środka. Jego współniczka podrywa na nogi Marka i kolbą rewolweru daje mu znak, że ma wejść za mną. Pokój tonie w półmroku, ale kiedy moje oczy przyzwyczajają się do warunków panujących w środku, dostrzegam pod oknem dwie skulone postaci. Pani Eliza i jej siostra są zakneblowane i związane grubym sznurkiem. Już wiem, kto pozostawił na korytarzu kawałek, którym związałam Marka.

Odwracam się w kierunku zakrwawionego malarza i robię skruszoną minę.

– Przepraszam.

– No, rękę to masz solidną. – Parska niewesołym śmiechem. – Czym mnie zdzieliłaś?

– Encyklopedią.

– Zaraz powinny dotrzeć posiłki – mruczy cicho Marek. – Zostawiłem otwarte drzwi...

– O Boże. – Czuję, że robi mi się zimno. – Zamknęłyśmy je ze Szparką... Myślałam, że chcesz wpuścić swoich kamratów...

– Kalinko... – Marek wzdycha głośno i kręci głową ze zrezygnowanym uśmiechem. – Jesteś jedyna w swoim rodzaju, wiesz?

– Przepraszam. – Rumienię się ze wstydu i próbuję podnieść skute dłonie, aby otrzeć krew, która skapuje mu do oka. Widząc te manewry, Patryk odsuwa mnie od Marka i sadza na rozgrzebanym łożku.

– Później będzie czas na czułości... – warczy.

– À propos czułości – odpowiadam mu twardym spojrzeniem, choć moje serce wali jak młotem i czuję ogarniający mnie strach. – Czy twoja ukochana połowica wie, że znów zabawiasz się na boku i na domiar złego jesteś cholernym rabusiem?

– Oczywiście, że nie wie! – Parska śmiechem Patryk, a Anna Ptak mu wtóruje. Kobieta podchodzi do mojego niedoszłego męża i składa na jego wargach gorący pocałunek. Jeśli miałam jakieś wątpliwości co do tego, jakie relacje ich łączą, właśnie zostały rozwiane. – A teraz dość gadania! Gdzie jest szyfr? – Odwraca się w stronę właścicielki dworku.

Pani Eliza odpowiada mu lekceważącym spojrzeniem, a następnie spod bandaża, który wsunięto jej w usta, dobywa się pogardliwe prychnięcie. Kiedy jednak Patryk przykłada lufę rewolweru do skroni Liliany, jej oczy robią się okrągłe ze strachu.

– Miałem ten pieprzony szyfr! – Patryk nachyla się nad starszą panią. – Anna zapisała go na voucherze, ale nieroztropnie wysłała go na adres Kaliny! Sporo trudu kosztowało nas odzyskanie walizki i vouchera, ale kiedy mieliśmy go już w rękach, okazało się, że ta wariatka cały zamazała szminką! – Odwraca się w moją stronę, a jego twarz wykrzywia wściekłość.

Kolejne fragmenty układanki wskakują na swoje miejsce. Więc to Patryk włamał się do dworku, aby odzyskać skrawek papieru, na którym zapisano szyfr do sejfu! I rzeczywiście, zaraz po przyjeździe odkryłam, że ulubiona szminka rozciapała mi się w walizce i zapaprała ciuchy i dokumenty. Nie zwróciłam jednak uwagi, że zniszczyła voucher... A po odnalezieniu walizki byłam tak zaabsorbowana remanentem w fikuśnej bieliźnie, że braku vouchera wcale nie zauważyłam!

– Daj mi ten cholerny szyfr, babuniu! – cedzi przez zęby mój niedoszły mąż. Nagle wpada mi do głowy pewien pomysł. Dyskretnie pokazuję pani Elizie podłogę. Na szczęście pojmuje, co mam na myśli i chrząka na znak, że chce coś powiedzieć. Patryk niedelikatnym ruchem zrywa knebel. – No, słucham?

– Nie mam przy sobie szyfru.

– Żarty sobie urządzasz?

– Myślisz, że taka babcia jak ja zapamięta ciąg cyfr? – Patrzy na niego pogardliwie. – Zapisałam go w notesie, który trzymam w bibliotece.

– To jakaś sztuczka? – Patryk spogląda na nią bacznie. – Dobra, idziemy. Najwyższa pora stąd nawiewać. Albo inaczej, wszyscy pójdziemy. Później zamkniemy ich w piwnicy i może podpalimy dworek? – zwraca się do Anny Ptak z okrutnym uśmiechem.

– Bez przesady. – Opanowana współniczka wzrusza ramionami.

– Pamiętaj, że nas widzieli.

– I tak znikamy za granicę.

– No właśnie. Wszyscy pomyślą, że zginęliśmy w płomieniach, a my będziemy już daleko wraz z cennym obrazem. Poza tym mam do załatwienia prywatne porachunki. – Spogląda na mnie zimno. – Moja niedoszła żona poniżyła mnie przed całą rodziną.

– Ja ciebie? – Dębieję. – Ty rozbuchany capie!

Patryk podchodzi do mnie i unosi rękę, jakby chciał mnie uderzyć, w ostatniej chwili jednak rezygnuje i podrywa z ziemi panią Elizę. Właścicielka dworku jęczy z bólu. Patryk wyprowadza nas na korytarz. W pokoju pozostaje tylko zakneblowana i przerażona Liliana. Dziwnym korowodem zmierzamy w kierunku schodów. Najpierw idzie Anna Ptak, prowadząc na muszce Marka i mnie, na końcu Patryk popycha panią Elizę.

Sama nie wiem, co chciałam osiągnąć, ściągając nas na dół, ale wszystko wydaje się lepsze od ciasnej przestrzeni sypialni właścicielki. Być może podświadomie mam nadzieję, że posiłki Marka kręcą się gdzieś po parku i dostrzegą niepokojące poruszenie w budynku? Powoli schodzimy po schodach, krok za krokiem. Rozglądam się na boki, szukając drogi ucieczki. Patryk wydaje się szaleńcem, on naprawdę gotów podpalić nas w tym dworku, by zatrzeć ślady! Musimy jakoś się uratować.

Myśli zaprzętają mnie do tego stopnia, że kiedy Patryk z głośnym wrzaskiem stacza się ze schodów i upada bez ruchu u ich podnóża, nie wiem, co się dzieje. W tej samej chwili Marek podnosi skępowane i zbite w kułak dłonie i uderza nimi Annę Ptak na wysokości żołądka. Kobieta z głuchym jękiem wypuszcza z dłoni broń i zgina się w pół. Marek błyskawicznym ruchem zakleszcza ją ramionami i przyciska do balustrady.

Zdezorientowana oglądam się za siebie i czuję, jak gdzieś w głębi mnie zbiera się śmiech. Nad nami stoi bowiem Nadzieja w długiej koszuli nocnej i wielkim czepku. W rękę dzierży wałek od ciasta i rytmicznie uderza nim w otwartą dłoń. Wtem schodzi i pochyła się nad Patrykiem, unosząc go za kołnierz koszuli.

– To za mój czerep, paniczku! – mówi i okłada leżącego wałkiem po plecach.

W tej samej chwili drzwi wejściowe otwierają się z głośnym hukiem i w progu staje zziębnięty Karol Broszko. Zza jego ramienia wychyla się przestraszona Szparka.

– Wszystko w porządku? – pyta, podchodząc.

– Jak najbardziej – odpowiadam z szerokim uśmiechem. Komisarz jednak nie patrzy na mnie. Podchodzi do Marka i zanim zdążę zaprotestować, odrywa go od Anny Ptak i powala na podłogę. Uwolniona kobieta wykorzystuje moment zamieszania i umyka do parku.

– Jesteś aresztowany – drze się tymczasem Karol Broszko, potrząsając zdumionym Markiem.

– Panie Karolu, panie Karolu! – usiłuję przekrzyknąć krewkiego policjanta. – To nie tak, komisarzy! Ją, ją łapać!

– Kogo? – dziwi się Karol Broszko, ale potulnie pozostawia Marka na podłodze.

– Pisarkę!

– Pisarkę?

– Pisarkę!

Karol Broszko wybiega z hallu i rusza w pościg. Siadam na schodach obok oszołomionej pani Elizy. Nadzieja rozwiązuje supły na nadgarstkach Marka i pomaga mu wstać. Nagle u szczytu schodów pojawia się okrągła postać.

– Co tu się dzieje? – pyta słabym głosem Jola. – Gdzie jest mój mąż? Patryk? O Boże!

– Jola, spokojnie. – Szybko podnoszę się ze schodów i podbiegam do niej.

– Co się stało Patrykowi? Miał wypadek? Zamordowałaś go?

– Nie ja. – Oczy Joli robią się okrągłe ze strachu, więc pospiesznie prostuję. – Patryk miał wypadek i spadł ze schodów, ale żyje. Jednak musisz o czymś wiedzieć...

Niespodziewanie Jola zaczyna płakać. Łzy ciurkiem płyną po jej ładnej buzi. Rozmazuje je na policzkach całymi dłońmi, jak dziecko w przedszkolu.

– To ta pisarka, prawda? – pyta żałośnie. – Nie jestem ślepa. Widziałam, jak na nią patrzy...

– To też, ale jest jeszcze coś. Oni... oni włamali się do dworku, żeby dokonać kradzieży. Chcieli nas wszystkich... – przełykam głośno ślinę – ...podpalić. Zaplanowali to już dawno.

Jola przestaje płakać i wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

– To nie dzieje się naprawdę. Nie wierzę... – mówi.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć. To w końcu mężczyzna, z którym wzięłaś ślub. Ale to pospolity przestępca, Joluś... – Przytulam ją. – No, może nie taki pospolity, ale zwyrodnialec. Nie jest wart takiej fajnej laski jak ty!

– Nie wierzę... – powtarza uparcie Jolka.

– No wiem, że nie wierzysz. Ale uwierz! – Jej ośli upór zaczyna mnie irytować. No, co ta Jola taka oporna na prawdę?

– Nie w to, Kalina! – wrzeszczy. – Rodzę, rozumiesz! Rodzę! Nie wierzę, że akurat teraz...

– O cholera. To uwierz... – powtarzam. Sadzam ją na stopniach, bo wygląda, jakby lada chwila miała się przewrócić. Kątem oka widzę, że Marek zakuwa Patryka w kajdanki. Przywołuję go. – Ona rodzi!

– Nie wierzę!

– To uwierz! – wrzeszczymy na niego obydwie.

W tej samej chwili do hallu wbiega zadyszany Karol Broszko. Bezradnie rozkłada ręce.

– Uciekła!

– Złapią ją, spokojnie! – Ton Marka ocieka profesjonalizmem. Patrzą na niego z podziwem. – Nic jej się nie stanie, jak trochę pobłądzi po parku. Uciec, nie ucieknie, posiadłość jest otoczona przez policję.

– Więc to z policją umawiałeś się przed południem? – pytam ze skruszoną miną.

– No a z kim? – Śmieje się. Nagle na przodzie jego koszulki zaciska się ozdobiona francuskim manikiurem dłoń. Jolka przyciąga go do siebie.

– Później sobie pogadacie, dobra? – syczy, a jej oczy ciskają iskry. – Przypominam, że ja tu rodzę!

– Dobra, dobra! Jedziemy! Gdzie najbliższy szpital, panie komisarzu?

– Śniadeckiego w Nowym Sączu. – Karol Broszko wygląda na przestraszonego. Marek podchodzi do niego i ściska dłoń.

– Bardzo dobra akcja, kolego. Dziękuję.

– Dziękuję... kuję. – Komisarz kraśnieje z dumy i podkręca wąsa. Stojąca obok niego Szparka patrzy nań z nabożnym podziwem.

– Jedziemy! – Marek chwyta pod ramię Jolę i pomaga jej wstać. Karol Broszko łapie ciężarną z drugiej strony i prowadzą ją pojękującą i postękującą w kierunku samochodu. Patrzą za nimi niespokojnie; chciałabym towarzyszyć Jolce, ale nie mogę w tej chwili zostawić pani Elizy i jej siostry, nie mówiąc nawet o wojowniczej Nadziei i mocno przestraszonej Szparce.

W drzwiach Marek przystaje i mruga do mnie wesoło.

– Czekaj na mnie z herbatą, hrabianko!

Dziwne. Taki przeciąg w tym hallu, a mnie tak gorąco...

A tak to się kończy...

Siedzę na chłodnym schodku i rozkoszuję się ciszą poranka. Po emocjonującej nocy takie wrażenia są mi potrzebne. Siedzę, wystawiam twarz do słońca i popijam kawę z dużego kubka. Obok stoi filiżanka wystygłej herbaty. Nic to, w taki upalny poranek nawet zimna będzie smakować...

Z jadalni dobiega mnie rwetes podniesiony przez rozemocjonowanych gości. Warszawiacy nie potrafią uwierzyć, że tej nocy tak wiele się wydarzyło, a oni najzwyczajniej w świecie wszystko przesпали. No i że ten miły pan Patryk okazał się dwulicowym rzezimieszkiem. Wzdycham głęboko i kręcę głową. Ja wiedziałam o tym od dawna, ale żeby aż tak? Najbardziej rozżalony jest pan Edzio, któremu Anna Ptak obiecała książkę z autografem.

– Taka piękna kobieta, patrzcie, patrzcie... – Kręcił głową nad talerzykiem z jajecznicą.

Nadzieja robi dziś za dworkową bohaterkę. Z butną miną paraduje w odświętnym fartuchu z koronką na obfitym biuście i z ochotą opowiada, że ten paniczyk od początku się jej nie widział i z chęcią przyłożyła mu w czerep. Jak się okazało, Nadzieja wcale nie zamordowała rzezimieszka wałkiem do ciasta, a jedynie skutecznie go ogłuszyła. Zaraz po tym, jak Marek i Karol Broszko odjechali z rodzącą Jolą w kierunku szpitala, zaroilo się od funkcjonariuszy przeszukujących park. Jeden z nich zebrał z podłogi Patryka i odprowadził na słaniających się nogach do dyskretnie zaparkowanego radiowozu. Annę Ptak zatrzymano kilka chwil później, kiedy usiłowała sforsować ogrodzenie i wydostać się z parku.



Upijam łyk zimnej już kawy i nagle dostrzegam samochód sunący podjazdem. Marek parkuje wóz na kamienistym placyku, podchodzi i siada obok mnie. Jestem zawstydzona i uporczywie wpatruję się w czubki butów, ale nie mogę tak bez końca, prawda? Patrzę więc na niego i widzę, że on też patrzy na mnie, a w jego oczach połyskują figlarne ogniki. Podaję mu więc wystudzaną herbatę, a on parska śmiechem, ale upija łyk.

– Fałszywy alarm – mówi, odstawiając filiżankę na stopień schodów. – Jola zdenerwowała się zaistniałą sytuacją i pojawiły się skurcze, ale dziecku nie spieszy się na świat. Zatrzymają ją w szpitalu do porodu, to kwestia kilku dni, może nawet godzin. Prosiła, żebyś do niej wpadła.

Kiwam głową.

– Biedna Jola.

– Biedna? – dziwi się. – Przecież to ona zwinęła ci faceta sprzed nosa i urodzi jego dziecko. Według mnie dostała to, na co zasłużyła. Z całą sympatią dla niej.

– Być może masz rację, ale jest też druga strona medalu. Gdyby nie zaszła w ciążę z Patrykiem, to ja zostałabym jego żoną i nieświadoma sytuacji odpoczywałabym, podczas gdy on dokonywałby zaplanowanego napadu!

– I na miejscu akcji zabrakłoby dzielnej hrabianki, która ruszyła w bój z przestępcami uzbrojona w encyklopedię! – Śmieje się. – Masz zupełną rację.

– Całkiem możliwe, że gdyby nasz ślub doszedł do skutku, nigdy bym tutaj nie przyjechała. Przecież Patryk mógł zjawić się w dworku wraz ze swoją kochanką pod całkiem innym pretekstem. – I nigdy nie spotkałabym ciebie, dopowiadałam w myślach i uśmiecham się do swoich konkluzji.

– Możliwe.

– Nadal nie wiem, skąd ty się tutaj wzięłaś? – Zerkam na niego.

– Cóż, Patryk Cieplak stanowił ogniwo grupy przestępczej związanej z kradzieżą i fałszowaniem dzieł sztuki, którą inwigilowaliśmy już od dawna. Od pewnego czasu mieliśmy go na oku w związku z zupełnie inną sprawą. Niespodziewanie zwrócił naszą uwagę swoim zainteresowaniem tym dworkiem. Nasz człowiek zdobył informacje na temat cennego obrazu, który przebywa w renowacji i ma tutaj powrócić. Byliśmy przerażeni niefrasobliwością tych dwóch starszych dam! – Śmieje się. – Przecież Liliana przewiozła obraz w bagażniku starego poloneza!

– Patryk częścią zorganizowanej grupy przestępczej... Jak mogłam niczego nie zauważyć? – mówię z rozpaczą.

– Jeśli ktoś może sobie zadawać takie pytanie, to prędzej Jola. Patryk Cieplak przez długi czas był płótką, zdobycie tego obrazu było jego pierwszym poważnym zadaniem. Akcja została zaplanowana na kilka tygodni przed waszym ślubem, więc ty byłaś zajęta organizacją wesela, a on... – Marek rozkłada ręce znacząco.

– Planowaniem akcji i Jolką! – mówię z goryczą.

– Anna Ptak zeznała, że grupa zdobyła informacje na temat obrazu z miejsca, w którym był on odnawiany. Sprawdzamy to. Patryk zdecydował, że nie dokonają klasycznego włamania, ale zjawią się w dworku pod pozorem odpoczynku. Żebyś niczego nie podejrzewała, Anna Ptak wysłała voucher na twoje nazwisko rzekomo od jakiejś ciotki. Niestety, Poczta Polska nie spieszyła się z doręczeniem przesyłki i list dotarł już po waszym rozstaniu... Patryk robił wszystko, by go odzyskać, ale ty podobno byłaś oporna. – Śmieje się.

– Nie zasłużył na wakacje – mruczę pod nosem.

– W tym czasie byłaś już obserwowana i wiedzieliśmy, że wybierasz się do dworku...

– Stąd moje zdjęcie pod twoim łóżkiem! – przerywam mu.

– Byłaś w moim pokoju? – Wygląda na zaskoczonego.

– Naturalnie – mówię z dumą. – Znalazłam moje zdjęcie i broń. Myślałam, że jesteś złodziejem i że chcesz... mnie zabić.

Marek śmieje się długo i serdecznie.

– Chciałem, żebyś wyjechała, bo martwiłem się, że coś ci się przydarzy. Zauważyłem, że wpychasz palce między drzwi i podejrzewałem, że narobisz kłopotów. Nie pomyliłem się. Jednak nie doceniłem cię także, nie miałem pojęcia, że grzebałaś w moim pokoju. – Ociera zażawione oczy i kontynuuje. – Wiedzieliśmy więc, że wybierasz się do dworku, nasz człowiek zrobił ci nawet zdjęcie na dworcu. Tymczasem Patryk Cieplak podążał za tobą. Kiedy zaaklimatyzowałaś się już w dworku, zdecydował się włamać i odzyskać voucher. Musiał to uczynić, ponieważ właśnie na nim nieroztropna Anna Ptak zapisała szyfr do sejfu.

– Skąd go mieli?

– Szyfr? Gadatliwa pani Liliana pochwaliła się swojemu przyjacielowi odnawiającemu obraz, że mają zamiar trzymać go w sejfie, a ten zdał relację grupie, której częścią był Cieplak. Obserwowali dworek i kiedy pani Eliza zdecydowała się konserwować sejf, podstawili swojego człowieka. Szyfr do sejfu otrzymała Anna Ptak, ale zapisała go tylko w jednym miejscu... właśnie na voucherze. Co najśmieszniejsze, pani Eliza po wyjściu fachowca zmieniła szyfr! Patryk nie miał o tym pojęcia, dlatego był wściekły, kiedy okazało się, że voucher stał się bezużyteczny przez twoją szminkę.

– Potem jednak zjawili się w dworku jeszcze raz...

– Nie osobiście. Przysłali jakichś chłystków z grupy, którzy mieli za zadanie poznać rozkład dworku. Cieplak chciał uniknąć wpadek, jak przy kradzieży walizki.

– Przecież mógł ten voucher wykraść, kiedy zjawił się tutaj z Jolą! Po co tak kombinował i wymyślał jakieś włamania?

– Twierdzi, że kiedy zobaczył, w jakim stanie jest domniemane spa, bał się, że weźmiesz nogi za pas albo z wściekłości podrzesz voucher.

– Najwyraźniej wcale mnie nie zna!

– Później zjawili się tutaj oboje, Anna Ptak i Cieplak. Pozostało im oczekiwać na przyjazd obrazu i zaplanowaną akcję. Nie wiadomo, w którym momencie Cieplak zdecydował się zrobić na szaro swoich bossów i ulotnić się z Anną i portretem za granicę...

– Lojalność nigdy nie była jego mocną stroną. Ale nadal nie wiem, co ty tutaj robisz!

– Chcieliśmy trzymać rękę na pulsie, więc kiedy natrafiliśmy na ogłoszenie pani Elizy dotyczące odnowienia fresku, wykorzystaliśmy je, żeby dostać się do dworku. Dzięki temu mogłem tutaj przebywać incognito i mieć wszystko na oku, nie rzucając się w oczy. Malowanie to takie moje hobby. – Uśmiecha się nieśmiało i robi przeproszającą minę. – Przykro mi, że musiałem zniszczyć twoją nimfę, ale trochę pokrzyżowałaś nam plany. Byliśmy przekonani, że przebywasz tutaj wypoczynkowo, a ty nie wiadomo czemu podałaś się za malarzkę! Ale... – wyjmując z kieszeni smartfon i uruchamia galerię zdjęć – ...mam coś dla ciebie na pamiątkę.

– Jednego nie rozumiem, kiedy spotkaliśmy się na drodze, pozwoliłeś mi wpuścić się w maliny i odjechałeś. Przecież musiałeś wiedzieć, że to ja!

– Naturalnie, że wiedziałem, że to ty! – Śmieje się serdecznie. – Kiedy, delikatnie mówiąc, próbowałaś mnie spławić, wpadłem w konsternację i nie wiedziałem, dlaczego nie chcesz dopuścić mnie do dworku. Skąd mogłem wiedzieć, że podszywasz się pod artystkę i obawiasz zdemaskowania? Postanowiłem odjechać i zjawić się w dworku z nienacka, abyś nie mogła temu zapobiec... No i, szczerze mówiąc, chciałem zobaczyć twoją minę...

Uśmiecham się do mojej nimfy uwiecznionej na zdjęciu. Była naprawdę piękna!

– I to już niemal koniec historii... – mówi.

– Niemal? – Spoglądam na niego zaskoczona.

– Cóż, minie trochę czasu, nim sprawa znajdzie swój finał. Zostało do załatwienia mnóstwo formalności, wiele zeznań do złożenia. Nie zabraknie okazji, aby spotykać się w Krakowie.

– To dobrze – mówię i uśmiecham się do niego ciepło.

– Wypijemy morze herbaty, hrabianko. – Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie. Siedzimy tak przez dłuższą chwilę. On popija zimną herbatę, a ja wdycham jego zapach. Jest blisko i czuję się z tym dobrze. Nie upolowałam rzeźmieszka, ale takie rozwiązanie absolutnie mi nie przeszkadza, być może

„upolowałam” coś lepszego? Mówiłam, że ci nie odpuszczę, malarzu!

O autorce



Joanna Szarańska. Osoba pogodna i czarująca świat swoim uśmiechem. Obserwuje mijające dni z niegasnącym entuzjazmem i oczekuje, że w swoim życiu zrobi coś naprawdę ważnego. Dla innych i dla siebie. Copywriterka o stu specjalnościach. Zakochana w piłce nożnej, języku hiszpańskim i książkach. Miłośniczka powieści Stephena Kinga. Tych najdłuższych. Blogerka z zamiłowania, pisarka dotychczas szufladowa i nałogowa marzycielka.

Współpracuje z Fundacją Miasto Słów i Klubem z Kawą nad Książką. Na co dzień mama, żona i opiekunka

najpiękniejszego pod słońcem schroniskowca rasy mieszanej.

Gdy cichną weselne dzwony, nadchodzi proza życia



Monika nie wierzy własnemu szczęściu. Wystawny ślub, którego zazdrości jej cała wieś, bogaty i przystojny mąż oraz wspaniałe życie w okazałej willi teściów na warszawskim Żoliborzu. Wielkie miasto otwiera przed dziewczyną nowe możliwości, ale kryje też wiele pokus. Coraz częściej ulega im Robert, który nawet w oczach żony przestaje być księciem z bajki. Młodych łączy jednak marzenie o dziecku. Gdy więc w wigilijny wieczór Monika ujawnia rodzinie wynik testu ciążowego, nic jeszcze nie zapowiada tragedii...

„Pozytywka” to słodko-gorzka opowieść o marzeniach, które potrafią się spełniać w zaskakujący sposób. O samotności pośród ludzi, którzy nie potrafią ze sobą rozmawiać. Wreszcie o stracie, która wyzwala najgorsze instynkty, ale też wielką siłę.



Jak połączyć studia, pracę i marzącego o małżeństwie partnera? Co zrobić, kiedy dzwony weselne brzmią jak marsz pogrzebowy? Narzeczony Julii to ideał: kocha dziewczynę na zabój i ofiarowuje jej miłość do przysłowiowej grobowej deski, a ponadto jest spadkobiercą starego pałacyku. Materiał na scenariusz o księżniczce i rycerzu na białym koniu? Na wielkie love story z happy endem? Nie tym razem!

W pałacyku narzeczonego Julia znajduje pamiętnik pensjonarki, który przenosi bohaterkę na dziewiętnastowieczny dwór księżnej Izabeli Czartoryskiej. Kryminalna zagadka relacjonowana przez autorkę pamiętnika coraz bardziej pochłania uwagę dziewczyny i rozbudza jej detektywistyczne zacięcie.

Jak przystało na prawdziwą desperatkę, Julia rozwiązuje tajemnicę dworku żywiołowo i z humorem. Przy okazji sporządza swój osobisty przepis na szczęście.



Czego może być pewna kobieta, którą zostawił mąż po osiemnastu latach małżeństwa? Tego, że jeśli ma czworo dzieci, dwa psy i całkiem sporo kotów, to nie pozwolą jej one długo zamartwiać się sobą. A już zwłaszcza wtedy, jeśli nastoletni syn informuje ją, że zostanie babcią, pięcioletnie bliźniaki cały czas zaskakują swoją pomysłowością w wymyślaniu nowych psot, a piętnastoletnia córka zakochuje się w miłośniku pircingu. Jeśli do tego dodamy żywiołową matkę i przyjaciela z dzieciństwa, który ni stąd, ni zowąd prosi o to, by udawać jego żonę przed jego rodzicami mieszkającymi na stałe w Szwecji, jedno będzie pewne – nie będzie mogła narzekać na brak zajęć.

Spis treści

[Tak to się zaczęło...](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[A tak to się kończy...](#)

[O autorce](#)

[Reklamy](#)